

Fermenty, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Fermenty

TOM DRUGI

I

— Przeniosą mężusia do Warszawy — wołała już od progu Zaleska.

— Była pani w Warszawie?

— Stamtąd wracam, bo jak tylko mąż się zgodził na mój projekt, o którym wtedy mówiła pani, pojechałam do kuzyna i tak prosiłam, aż się zajął wszystkim i przeprowadził szczęśliwie translokację. Z pewnością od Nowego Roku wyniesiemy się z Bukowca. Jestem szczęśliwa, bo moje marzenia zaczynają się spełniać: będę mieszkać w Warszawie, będę występować! Doprawdy, aż mi się tańczyć chce z radości. No, do widzenia, bo w domu jeszcze nie byłam, mężusiowi powiedziałam na peronie i wpadłam do pani. Czy pani chora, bo tak okropnie błada?

— Zdrowa jestem zupełnie, a jak teraz, cieszę się pani szczęściem...

— O tak, jestem szczęśliwa! Boże, jakże to daleko do Nowego Roku! Co, wyjeżdża pani gdzie?

— Dlaczego pani pyta?

— Te wielkie kufry...

— Kupowałyśmy je razem w Kielcach, nie pamięta pani?

— Prawda! Zapomniałam. Boże! jakże jestem roztargniona. Czy to nie dzieci moje krzyczą? — Przystanąła na środku pokoju i słuchała chwilę wrzasków, rozlegających się donośnie.

— Bawią się dzieci! — zauważyła cicho Janka, podnosząc na nią oczy.

— Panno Janino, więc pani nie wyjeżdża już do teatru? — zapytała, biorąc za klamkę.

— Nie.

— Aha! rozumiem, oświadczył się pani Grzesikiewicz! No, niech się pani nie wypiera, nie uwierzę.

— Skąd się pani wzięło to przypuszczenie? — zapytała ostrym, podniesionym głosem, ale ochłonęła i już łagodnie dodała: — Ma pani słuszność, istotnie, wyjdę prawdopodobnie za p. Andrzeja.

— A to winszuję pani serdecznie, serdecznie.

Chłodno przyjęła jej życzenia i pocałunki, tak chłodno, że Zaleska odczuła to, popatrzyła na nią jakby załęknioma i cicho wyszła.

A Janka z pewną goryczą myślała o jej szczęściu, ale już nie zazdrościła, już teraz nie umiała nawet zazdrościć, tak była zrezygnowana.

Napisała zaraz długi list do Głogowskiego i drugi do Cabińskich, odwołujący swój przyjazd.

Od tej nocy walki ze sobą zmieniła się ogromnie. Próbowwała się zobojętnić na wszystko, zamknąć serce i duszę dla wszystkich wrażeń zewnętrznych, ale pod tym chłodem tła nieugaszone zarzewie, a pod tą maską spokoju i rezygnacji ukrywała się beznadziejność. Nie żałowała niczego, bo przecież świadomie zdecydowała się pozostać w Bukowcu, ale nurtowała ją coraz głębsza niechęć do otoczenia i jakiś niesłychanie subtelny żal do wszystkich. Była za młodą, za silną fizycznie, za namiętną, aby ta walka mogła wyrwać z niej wszystkie pragnienia niezaspokojone; żyły i rozwijały się w głębi nieświadomej; unicestwiała je wołą, ale to ciche mocowanie się było męczące i bezpłodne. Stawała nieraz przy oknie i ponuro patrzyła w świat, zaciskając usta, aby nie krzyknąć, aby nie wołać, że cierpi; błędziła oczyma po lasach, białawych od śniegów, zimnych, mokrych, przejętych szarugą jesieni późnej, po stacji, jakby sennej, błyszczącej oślizgłymi od wilgoci niciami szyn i dachami budynków — i gdy padały deszcze lub śniegi puchami pokrywały ziemię, gdy wichry zimowe świsłały po lasach, gdy szły dnie tak krótkie, że prawie poranek łączył się ze zmrokiem i tak brudne, jak łachmany wytarzone po błotach, i gdy lasy krzyczały i mocowały się z wichrami, i gdy nie było ani nieba, ani ziemi, ani barw, ani światła, tylko jedna plama migotała przed jej oczyma i osnuwała duszę posępną melancholją — przesiadywała dnie całe w kuchni przed kominem, zapatrzona w ogień i nie myślała nic, czuła tylko jakąś zwierzęcą prawie przyjemność: ciepła i spokoju. Zresztą, patrzyła śmiało w życie, które ją ujęło w swoje jarzmo i nie miało nigdy puścić i widziała bez trwogi,

a nawet z jakąś dziwną przyjemnością, że ono gnębi ludzi. Zobaczyła po raz pierwszy, że otaczający ją, pomimo braku szerszych myśli i pożądań, jak myślała, także cierpią; zaczynała patrzeć i spostrzegać w tych szarych, grubych twarzach przeblęski dusz i zaczynała współczuć z nimi.

— Czy oni myśleli kiedy? czy pragnęli? czy miały nimi burze? — zadawała sobie pytania, przypatrując się ludziom. Nic nie mogła wyczytać ze spłowiałych i zatartych kart. Zatapiała się znowu w sobie i z pewną rozkoszą myślała, że po latach i ona zapomni o terażniejszości, że się wyzbędzie tego, co ją tak dzisiaj unieszczęśliwia, że się tak dopasuje do tego jarzma, jak i wszyscy, że będzie zupełnie taką samą, jak te wszystkie młodsze i starsze kobiety, których roślinne prawie życie płynęło tak wolno i tak spokojnie, i których oczy poza dom, dzieci, mężów nie wybiegały.

— Dobre takie ciche życie, dobre! — myślała i zaraz stwarzała sobie obraz i widziała się żoną Grzesikiewicza, kobietą starą, zajętą dziećmi i kłopotami i dwór krosnowski i czuła jakąś ciszę w sobie i spokój wegetacyjnego życia.

— Dobrze! — i zapragnęła, aby Andrzej się jej oświadczył jak najprędzej, aby się to już wszystko stało, co się stać miało.

Pragnęła spokoju za jaką bądź cenę.

Ten przykry nastrój potęgował się jeszcze obawą o ojca, bo to wstrząśnienie źle działało na jego mózg, gubiący się w mrokach obłądu. Okazywał jej pewną wdzięczność, ale czuła, że nie rozumiał wielkości ofiary. Oniemiał jakoś, siadywał wieczory całe z gazetą w rękę, której nie czytał i podejrzliwym wzrokiem ciągle śledził kąty ciemne mieszkania, a nawet raz kazał pozapalać wszystkie światła w domu i chodził po pokojach, jak senny, przystawał, oglądał się śpiesznie, szeptał z sobą i gdy się później zamknął w swoim pokoju, słyszała rozmawiającego półgłosem. Coraz częściej teraz mówił my, a nawet jednego dnia kazał położyć przy obiedzie jedno nakrycie więcej.

— Czy kto przyjdzie na obiad? — zapytała zdziwiona.

— Tak, Miecio zaraz tutaj będzie.

— Kto to taki?

— Nie znasz? Ekspedytor nasz przecież... — nie skończył, ukrył głowę w dłoniach i zamilkł, siedział tak dosyć długo, bo miał burzę pod czaszką, przez chaos rozprzegającej się myśli błyskały jakieś słabe włókienka świadomości i jednocześnie zalewał go okropny strach przed szaleństwem. Ta walka dwóch, odrębnie rozrastających się osobowości, tocząca się w jego organizmie, w pewnych chwilach przytomności przepełniała go niewypowiedzianym lękiem. Uciekał wtedy z domu, chodził po stacji, siedział pod rampą magazynową, mieszał się z ludźmi, rozmawiał, śmiał się z nimi, nie widział wtedy żadnych uchybień, tylko, o ile mógł, trzymał się ludzi, bo czuł, że ich obecność wzmacnia go, że wtedy szaleństwo jakby nie mogło się przedrzeć do niego przez wał zdrowych organizmów.

Jednego dnia, w początkach grudnia, w straszny dzień, bo deszcz ze śniegiem padał od rana, przyjechał Grzesikiewicz, w zwykłej porze, o zmierzchu, bo teraz przyjeżdżał codziennie prawie, ale dzisiaj, zanim poszedł na górę, wstąpił do kancelarii.

Orłowski podniósł się z sofki, na której leżał i, widząc śnieg przez okno, powiedział:

— Wygodnie nam tutaj, ciepło i zacisznie!

— Ale na dworze jest okropnie. Musiałem przyjechać powozem, żeby nie zmoknąć.

— Byłeś pan u Jani?

— Pójdę dopiero, muszę u pana nabrać nieco odwagi.

— Dobrze wszystko będzie, dobrze, coś wiem o tem — zawołał wesoło, chwytając brodę zębami.

— Czy naprawdę! bo już od kilku dni nie mogę zdobyć się na odwagę. Idę.

Zawrócił od drzwi i zapytał cicho:

— A jeśli będzie: nie?

— Ależ ręczę ci, że: tak — zawołał Orłowski, wziął go w ramiona, ucałował serdecznie.

— Idź, oświadczyć się, w karnawale się ożenisz, no i basta. No idź, nie marnuj czasu... — popchnął go lekko ku drzwiom, które za nim zamknął i położył się znowu na sofce.

— Widzisz, smyku, mówiłeś, że z tego małżeństwa nic nie będzie — szeptał drwiąco.

— Zaczekaj! zobaczymy po ślubie, jak odejdą od ołtarza, zaczekaj... — odpowiedział sobie, ale zupełnie zmienionym głosem i głową trząśł niedowierzająco.

— Co mi gadasz! Przysięgam Bogu, że jeśli mówię, iż wszystko się stanie, jak chcę, to tak będzie.

— Niezawsze, mój naczelniku, przekonałeś się już, że na córkę liczyć nie można.

— Cicho! Janka jest najlepszym dzieckiem, przysięgam Bogu, najlepszym.

— Ho! ho! ho! — śmiał się cicho. — Najlepsza, a całe lato bujała, a teraz chciała odjechać!

— Milcz! — krzyknął i z wściekłością kopnął nogą w próżnię i rzucił się na pokój, ale sobowtór rozwiął się, zniknął; napróżno zaglądał pod sofkę, pod stoły, szukał nawet w szufladach biurka i w małej kasie ogniotrwalej, wmurowanej w ścianę; nie znalazł nikogo, ale tak był pewny, że tamten był przed chwilą, że otworzył kasowe okienko i krzyknął na Rocha, chcąc się spytać, czy kto nie szedł przez korytarz. Roch się nie zjawił, a on powstał chwilę, skupiając myśli i poszedł do Zaleskiego.

Grzesikiewicz tymczasem, pomimo zapewnień Orłowskiego, szedł na górę z wielką obawą, bo sobie dokładnie uprzytomniał podobną chwilę na wiosnę, kiedy szedł tak samo się oświadczyć. Rozbierał się bardzo wolno w przedpokoju.

— Jest panna Janina? — zapytał Rocha, zdejmującego mu pałto.

— Jest! a juści, gdzieby miała być! Zaraz powiem panience, że jaśnie pan przyjechali!..

— Zaczekajno — zawołał za nim. — Roch się zatrzymał. — Andrzej obciągał surduta, zapinał się, wciągał rękawiczki, muskał wąsy, przyczesał włosy i zwłóczył wejście. — No, czegoż stoisz? — zapytał.

— A no, jaśnie pan kazali czekać...

— Tak, tak, chciałem ci dać coś, za różne usługi... tak, prawda... — Dał mu trzy ruble, Roch pocałował go w rękę i chciał starym zwyczajem objąć za nogi.

— Głupi jesteś, mój Rochu! no, idźże już sobie...

Wszedł wreszcie do saloniku. Zatrzymał się na środku, zdjął rękawiczki i niespokojnie patrzył na drzwi, prowadzące do jadalnego pokoju. Niecierpliwość i obawa ryły się ustawicznie w jego spojrzeniu. Łowił uchem najdrobniejszy szelest i wzdrygał się cały, chciał już wyjść, uciec i odłożyć wszystko na później, to znowu chciał, nie mogąc już wytrzymać, iść do pokoju Janki, ale usiadł i siedział, słuchał nawet z pewnym zajęciem dźwięków przyćmionych fortepianu Zaleskiej, która zaczęła grać zwykle, popołudniowe ćwiczenia.

Wreszcie Janka przyszła i, witając się, poznała po jego uroczystej twarzy, że to dzisiaj się rozstrzygnie. Wskazała mu miejsce jakimś sztywnym ruchem, poblądła od wzruszenia chwilowego, bo zresztą była zdecydowana przyjąć jego oświadczenia.

— Pani wygląda dzisiaj nieco cierpiąco? — przerwał milczenie.

— Migrena... nic więcej.

— O tak, na takie straszne powietrze to nic dziwnego...

— Nic dziwnego — odpowiedziała jak echo.

— Śnieg, deszcz, wichura i zimno... — ciągnął dalej, ale język mu się plątał, był wściekły na swoją nieśmiałość, czuł, że gada najgłupsze banalności, a nie był w stanie powiedzieć nic innego.

— Tak, śnieg, deszcz, wichura i zimno! Tak — powtórzyła ciszej, odwracając oczy do okna.

A jemu chciało się uderzyć głową w kant stołu, z gniewu na siebie. Patrzył na nią błagalnie, prosił spojrzeniem, żeby mu ułatwiła wyjście z tego zaplątania, ale Janka, z niedostrzegalnym uśmiechem w oczach, udawała, że nic nie rozumie. Targał rękawiczki, zapinał i rozpinał guziki surduta, zagryzał wąż i nie mógł nic mówić, myśląc tylko z wściekłością, że może go weźmie za głupca i niedołągę.

— Prawda, że jestem śmieszny? — zawołał szorstko.

— Nie, o, nie — powiedziała przeciągle, ale w oczach mignęły iskierki ironji — widzę tylko, że pan jakiś nieswój, jakby zakłopotany — dodała.

— Niech pani powie, że jestem ogłupiały, niby baran zbłąkany.

Roześmiała się głośno.

— Śmiejesz się pani ze mnie?

— Broń Boże, porównanie mnie to rozśmieszyło, a raczej, roześmiałam się bez przyczyny.

Podniósł się, przystanął przed nią na mgnienie i poszedł do okna.

— Była pani dzisiaj na dworze?

— Nie, za mokro i za zimno...

— Prawda!

— Wie pan, przypomina mi się rozmowa, jaką mieliśmy w tym saloniku na wiosnę — powiedziała spokojnie i umyślnie, aby powiedział czego chce, bo zaczynał ją niecierpliwie.

Odwrócił się szybko od okna, zbladł, pociemniałe oczy sygnęły mu iskrami.

— Panno Janino... panno Janino... pani pamięta? ależ ja strasznie pamiętam... — głos mu uwiązał w gardle, obtarł sobie czoło rękawem i ujął ją za rękę.

— Boję się, ale jeśli i dzisiaj ma mi pani powiedzieć: nie! to już nie wytrzymam. Nie, już nie jestem w stanie stłumić mojej miłości...! Kocham panią. Panno Janino... Kocham panią...tak... Nie umiem tego lepiej określić, nie umiem mówić, ale Kocham panią!.. — mówił prędko. — Kochałem zawsze. Pamięta pani, kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy? Jechała pani z Kielc, na wakacje... Od tego czasu Kocham panią i od tego czasu marzyłem o tem, abyś została moją żoną. Pani mi nie mówi, nie odpowiada, nie słucha?..

— Mów pan, słucham z radością — odpowiedziała miękko.

— Słucha pani z radością, więc się pani zgadza? Więc to prawda? Na Boga, niech pani mówi, bo oszaleję — krzyczał prawie, okrywając jej ręce pocałunkami. — Więc chce pani zostać moją żoną?

— Dobrze! — powiedziała dobitnie.

Andrzej się wyprostował nagle, jakby oszołomiony jej słowami i patrzył prawie przestraszonym wzrokiem w jej oczy.

— Pani powiedziała: dobrze? — pytał, nie wierząc uszom własnym.

— Powiedziałam.

Usiadł spokojnie, panował już nad sobą zupełnie, zaczął mówić cichym głosem, bo radość roztrząsała mu serce, drżały mu ręce i usta, oczy całowały jej twarz bladą i piękną.

— Wiem, że jestem tem, co się nazywa chamem; tak, jestem prosty człowiek, ale myślę, że zasłużę na miłość pani, przysięgam, że zasłużę. Marzyłem, że stworzymy rodzinę wzorową, którą ja będę podtrzymywał ramieniem, a pani będzie rozświecała i ocieplała uczuciem i inteligencją. Jestem olśniony, że marzenia moje zaczynają się spełniać. Człowiek dziki, taki, jakim ja jestem, potrzebuje kochać, musi kochać kobietę taką, jak pani! O tak, ja w tej chwili, patrząc na panią, czuję dopiero, dlaczego jesteś mi tak drogą i niezbędną do życia, bo Kocham panią, bo Kocham w pani piękno, inteligencję, Kocham w pani kulturę, dobroć, subtelność; Kocham w pani cały ten świat nowy dla mnie i wyższy. — Zaczął znowu całować ją po rękach, miał szaloną chęć wziąć ją w ramiona, okryć pocałunkami, przycisnąć do piersi i uciec z nią w jakiś gąszcz, zdala od ludzi! I mówił długo, opowiadał wiele, wyznawał swoje uczucia, swoje myśli, swoje pragnienia.

Janka słuchała, ale tkwiło w niej ciągle to uczucie, że jednak ten człowiek, ten przyszły jej mąż, jest dla niej zupełnie obcy. Ale brzmienie jego niskiego głosu, serdeczne akcenta, miłość ogromna, pocałunki, ta ufność bezgraniczna, jaką w niej pokładał, zaczęły przenikać ciepłem nieznanego uczucia jej wrażliwą naturę, zaczynał zwolna wzruszać jej serce, jednak pomimo to, powiedziała wkońcu z całą samowiedzą:

— A jednak pan nie zna mojej przeszłości... — i czekała z dziwnym uczuciem żalu, który zaczął przesączać jej duszę, że skoro usłyszy tę odpowiedź, wyjdzie i nie wróci więcej. Patrzyła na niego z jakąś niemą prośbą, a powiedzieć wszystko postanowiła.

— Przeszłość pani! Mój Boże, to tylko panią obchodzi... — powiedział prosto.

— Powinnaby i pana obchodzić.

— Nie, nie, nie, nie żąda pani spowiedzi ode mnie, więc nie mam prawa chcieć tego samego od pani. Życie nasze nie będzie miało: „wczoraj!” Zaczyna się od „dzisiaj” i będzie „jutrem”. Ach, jestem tak szczęśliwy, tak szczęśliwy! a jak się matka ucieszy! ona tak panią Kocha!

I znowu mówił, z ogniem i beładnością zakochanych.

Janka nie nalegała, żeby słuchał jej spowiedzi, była bardzo wdzięczna, że nie chciał, teraz dopiero odczuwała całą okropność swojego wyznania. Nie, nie powinien nikt wiedzieć, nie, i całą duszą zaczęła słuchać jego wynurzeń, przytakiwać mu, uśmiechać się, dawała się porywać jego miłości i tak szybko swoją wrażliwą, aktorską naturą weszła znowu w nową dla siebie rolę, i tak się nią przejęła, że bez udawania i przymusu, a z wielką

przyjemnością, grała rolę kochanej i kochającej narzeczonej. Sprawilo jej to ogromną ulgę, zapomniła prawie o przeszłości, śmiała się głośno i tak swobodnie, że Orłowski, który wkrótce nadszedł, usłyszawszy ten śmiech, zobaczywszy twarz rozjaśnioną Andrzeja, zrozumiał, że wszystko skończyło się dobrze.

— No, moje dzieci, bądźcie szczęśliwi, bądźcie szczęśliwi — szeptał, całując ich serdecznie. — Podobasz mi się, Jędrak, podobasz, przysięgam Bogu; co za chłop! co za zięć! he! he! — i klepał go, brał w ramiona i całował z serdecznością.

Wesoły nastrój ogarnął wszystkich.

— Już to i ładny i dobry mészczynna, już on panią na rękach nosił bedzie, już tam pani chyba ptasiego mleka braknie! — szeptała Janowa do Janki i dodawała: — żeby to moja pani córka takiego męża dostała! to jużbym piechty szła do Częstochowy i wszystkie piątki suszyła.

Janka się śmiała z jej życzeń, ale nie chciała myśleć o tem przyszłym życiu, tak była podniecona tą wspólną wesołością, że pobiegła do Zaleskiej, aby jej powiedzieć o wszystkim; ale, zobaczywszy ją grającą najspokojniej w pokoju prawie ciemnym i zimnym, ochłodziła. Zamieniła kilka słów i powróciła do domu.

Wieczorem, kiedy siedzieli przy kolacji, przyszedł Świerkoski i rychło z twarzy i rozmowy dowiedział się o wszystkim. W pierwszej chwili oniemiał prawie, oczy mu zamigotały złowrogo, ale siedział, jak zwykle, zgarbiony, z rękoma w rękawach, tylko oczy biegały mu po twarzach Janki i Andrzeja, a nogą przydeptywał ze złości ogon Amisa, aż ten ze skowytem wyrwał się i uciekł do kuchni.

Nikt nie zwracał uwagi na niego. Janka podawała mu herbatę, patrząc na Andrzeja i rozmawiała tylko z nim.

Świerkoski siedział jak na torturach, chwytając oczyma ich spojrzenia i gryzł aż do krwi wargi, żeby nie krzyknąć z żalu, jaki mu zakręcił wnętrzości. Wydało mu się, że jak Amis, z kuchni na niego, tak on na nich patrzy łakomym wzrokiem, z jakiejś głębi, że nikt tego nawet nie spostrzega i taka mocna, straszna zazdrość i ból ścisnęły mu duszę, że bezwiednie prawie ugryzł szklankę, z której pił herbatę, szkło rozprysnęło się w kawałki, a z ust pokaleczonych popłynęła krew.

— Co się panu stało? Szklanka w ręku pękła?

— W zębach! To nic — mruknął, obcierając usta chusteczką.

— Zgryzłeś pan kamienie, a teraz bierzesz się do szkła, jest w tem postęp i metoda.

— Zgryzę i twardsze rzeczy, panie dziedzicu — odpowiedział, wyszczerzając swoje wilcze zęby z uśmiechem. Krew płynęła mu obficie z warg, podniósł się i z chusteczką przy ustach szepnął głucho, nie patrząc na nikogo:

— Muszę już iść, a państwo przyjmijcie ode mnie szczerze życzenia na nowe życie, szczerze.

— Dziękujemy. Żeń się pan, to pan zobaczy, jak przyjemnie odbierać podobne życzenia.

— Poczekam jeszcze... poczekam — szepnął wolno i powłókł tak dziwnym spojrzeniem po Jance, że podniosła głowę i zadrżała z jakiejś trwogi, uśmiech zgasł na jej twarzy; patrzyła się chwilę w jego żółte oczy, nic nie rozumiejąc.

— Ale w każdym razie, my zapraszamy się zgóry na pańskie wesele.

— Taki zaszczyt!.. czyżbym mógł na serjo marzyć, aby ja, urzędniczyna, mógł gościć dziedzica dobrodzieja; nie, nie śmiałbym prosić, nie godnym takiego zaszczytu... — szeptał, uklonił się od progu i wyszedł.

II

Świerkoski stanął przed stacją pod ścianą, bo wszystko w nim zakotłowało i rwało mu mózg i wnętrzości bólem. Stał tak długo, przyciśnięty do tej ściany, z rękoma w rękawach, zgarbiony, nie zważając na zimno, na przemarznięty suchy śnieg, bijący mu w oczy, pies skomlał z zimna i tulił mu się do nóg; nie zważał na niego, pochłonięty tym strasznym żalem, ściskającym mu duszę, jakby obręczą. Zatapiał żółtawo, o fosforycznych blaskach, źrenice w ciemne przestrzenie, z których zaczęły wyłaniać się blade gwiazdy, bo mróz ścisnął ziemię, to w las, okryty śniegiem, przygięty, biały, jakby zasluchany w ciszę, jaka

zapanowała, — i jęczał przez zaciśnięte zęby. Poczul teraz, że kocha Jankę, że nietylko mu żal posagu, ale i jej...

Porwał się gwałtownie, bo taka dzika, wściekła złość nim zatrzęsała, że drżał cały, a palce kurczyły mu się i zakrzywiały, niby szpony; byłby chwycił, gdyby mógł, Andrzeja za gardło i darł go paznokciami. Nie poszedł do domu, tylko, namyśliwszy się, ruszył do Osieckiej, ale, przechodząc obok koni Andrzeja, stojących na podjeździe, nie mógł powstrzymać się, i uderzył z całej siły licowego pięścią w brzuch: zdawało mu się, że uderzył Grzesikiewicza. Koń porwał się zestraszony, i skoczył z powozem wbok gwałtownie; drzemiący na koźle stangret, poderwany tym ruchem, wypadł na ziemię, a konie poszły w las.

Świerkoski zniknął w lesie.

— Poczekam, chamciu! poczekam! — myślał, szczękając zębami z wściekłości, i aż przystawał, bo złość tamowała mu oddech i takim nastrojem napępiała całego, że prawie tracił przytomność. Zgarbił się i począł wyc przeciągle, aby sobie ulżyć. Amis mu wtórował tak głośno, że psy dróżnicze, przy pierwszych domkach, skomlały przeraźliwie i szczekały, a on wyl wciąż, aż po lesie leciały takie echa, jakby całe stado zgłodniałych wilków wyło.

— Poczekam! Hipcio czekać umie!.. — i żeby jeszcze energiczniej wyrazić złość swoją, i miłość, i nienawiść, zaczął strzelać z rewolweru w las; strzelał, bo ten huk, zapach prochu, urwane smugi strzałów, błyskające w ciemności, sprawiały mu rozkosz, uspokajały go.

Gdy przyszedł do Zacisza, był już zupełnym panem siebie.

Zastał Osiecką w jadalnym pokoju, przy stole. Zosia nalewała herbatę, Staś siedział i, niby zahipnotyzowany, wpatrywał się w nią. Tola jak zwykle sztywna i martwa, siedziała na swoim miejscu, wpatrzona w lampę. Była jeszcze jakaś nieznajoma młoda kobieta, o schorowanej twarzy, siedząca w fotelu, obłożona poduszkami.

Świerkoski przywitał się i zaraz szepnął Osieckiej, że ma pilny interes.

— Cóż takiego? Przestraszasz mnie pan złowieszczą miną! — zapytała, gdy się znalazła w sąsiednim pokoju.

— Grzesik oświadczył się dzisiaj i został przyjęty.

— Głupiec. To naturalne, że został przyjęty, onaby wyszła za tragarza, byleby ją tylko ten tragarz chciał.

— Przesadza pani! — szepnął; dotknęło go to niemile.

— Pan mi wierz.

— Wierzę, bardzo wierzę, ale pomimo tego, a może dlatego, oni się pobiorą...

— Ręczę panu, że nie. Zaręczyny to nie ślub. W tej chwili jadę do Głębińskiej, już ona ich rozerwie, choćby byli stałą spojeni. A, sprawiedliwość chodząca! Zedrzymy ci maskę, zedrzymy!.. — szeptała groźnie, i jej piękną twarz napiętnował wyraz takiej mściwości nieubłaganej, że Świerkoski z pewnym niepokojem patrzył na nią.

— Chodź pan, podwożę pana do stacji, pomówimy obszerniej w drodze.

Kazała natychmiast zakładać konie.

— Panie Stanisławie, zostanie pan, żeby się dziewczęta nie bały; no, kiedy mówię, że pan zostanie, to nie potrzebuje się pan szykować do wyjścia. Za dwie godziny najdalej powrócę.

Ubrała się spiesźnie i zaraz pojechali.

W pokoju zrobiło się cicho. Staś dzisiaj był bardziej niż zwykle nieśmiały, bo ostatni list matki, zabraniający mu kochać się w Zosi, przygnębiał go i pogrążał w rozpacz. Przez jakiś tydzień nie był w Zaciszu, ale nie mógł wytrzymać dłużej i przyszedł. Cały wieczór był mroczny i smutny, ten list w kieszeni palił mu piersi i przypominał ciągle, że postępuje naprzekór radom i życzeniom matki; czuł się winnym, nieszczęśliwym, przez tę walkę pomiędzy dwiema miłościami, i takie gorące spojrzenia rzucał na Zosię, że ta, zaraz po wyjeździe Osieckiej, przysunęła się do niego.

— Co pana tak martwi? — zapytała, pochylając się nad jakimś pismem, rozłożonym na stole.

— O, bo są chwile w życiu człowieka... że jest bardzo zmartwiony, bardzo — i bezwiednie dotknął piersi, na której spoczywał list matki.

— Boli pana serce?

— Nie, nie. Doprawdy, za łaskawą jest pani, zwracając uwagę na mnie...

— A jeśli mnie obchodzi, dlaczego, przez co pan cierpi?.. — powiedziała ciszej, pochylając niżej jeszcze głowę nad gazetą.

— Panno Zofjo! panno Zofjo! — wyrwało mu się z piersi.

— Niech mi pan powie, co pana tak martwi, proszę o to. Czy to służba?

— Nie, nie.

— Może mama chora, albo wuj który?

— Nie, nie... doprawdy...

— Aha! pewnie mama napisała jaki niebardzo słodki list. Opowiadał mi ktoś ze stacji, że pan wszystko mamie opisuje i tylko to robi, co mama zaleci lub poradzi.

— Tak, prawda; robię to, bo mama mnie przecież kocha i życzy mi najlepiej w świecie, więc byłoby niewdzięcznością z mojej strony, gdybym jej nie pisał o wszystkim, co robię. A zresztą, mama zajmuje się moimi interesami.

— Więc ostatni list od mamy był taki nieprzyjemny? — pytała trochę zirytowana.

— Tak, istotnie, był niezmiernie przykry, bardzo przykry — skarżył się płacząco.

— Cicho! — krzyknęła Toła, zaczęła nasłuchiwać i wyciągnęła próżną filiżankę do Zosi.

Zosia wstała, a chora, drzemiąca w fotelu, podniosła oczy na nich, uśmiechnęła się łagodnie, poruszyła ustami, i znowu powieki jej spadły i spała dalej.

Zosia, podawszy Toli herbatę, siadła przy nim.

— Musi mi pan pokazać ten list. Proszę o to, bardzo proszę, bardzo...

— Nie mogę, słowo daję. Są w życiu człowieka takie chwile, w których nie powinien ulegać... — bronił się i, jakby dla zabezpieczenia, wyjął list z kieszeni i ścisnął go w rękę.

— Będę się gniewała; ale prawda, cóż to pana może obchodzić, byle się mama nie gniewała... bo reszta dla pana obojętna. — Odwróciła się zadąsana.

— Gdyby pani wiedziała... gdybym mógł pani powiedzieć... gdybym...

— Trzeba się spytać mamy, czy pozwoli powiedzieć — szepnęła uszczypliwie.

— Panno Zofjo! — powiedział z wyrzutem, wstyd mu się zrobiło, że może ona myśli, iż boi się matki.

— Niech pan nic nie mówi, bo wiem, aż nadto dobrze, że jest mi pan niezyczliwy, chociaż ja...

— Proszę pani ten list! — zawołał z rozpaczliwą odwagą, dotknięty boleśnie jej akcentem głosu; — ale pani da mi słowo, że, bądź co bądź, gniewać się pani na mnie nie będzie.

— Panie Stanisławie, czy ja na pana mogłabym się gniewać? — powiedziała tak słodko, biorąc list, że Staś oblał się rumieńcem i radością niesłychaną.

Zaczęła czytać wolno. Staś patrzył na nią z niepokojem i teraz żałował serdecznie swojej odwagi; bał się patrzeć na jej twarz, kręcił się na krześle, odpinał surdut, bo i duszno mu było, i te nowe szelki wpijały mu się w ramiona i dodawały jeszcze męki.

Oddała mu list, patrząc nań z jakąś gniewną, litościwą czułością; nie miał odwagi nic pytać, unikał jej oczu, i coraz to nowa fala krwi rozczzerwieniała go na buraczkowo.

Zosia, bez słowa, podniosła się i poszła do saloniku.

Wstał, aby iść za nią, ale nie śmiał; usiadł zpowrotem bezradnie, a ze złością zaczął myśleć i buntować się przeciw tyranji matki, i zaczął uczuwać, że przecież jest mężczyzną, że przecież... Wyprostował się męsko, zapiął surdut na wszystkie guziki, poprawił niepostrzeżenie szelek, zrobiło mu się znacznie lepiej. Spojrzał zgóry na pokój, potoczył oczyma wyzywająco, zacisnął dłonie i nie śmiał iść za Zosią.

Chora się przebudziła, popatrzyła sennymi oczyma po pokoju i zawołała:

— Zosiu! Toła powinna iść już spać.

— Panna Zofja wyszła, w tej chwili poproszę — powiedział, idąc do saloniku.

Zosia siedziała przy fortepianie z twarzą ukrytą w dłoniach, podniosła na niego zaczerwienione, jakby płaczem, oczy.

— Panno Zofjo!... pani się gniewa na mnie, że ośmieliłem się pisać do mamy o pani, ale... ale... Toła powinna iść spać, ta pani chora woła panią; bo widzi pani: nie mogłem nie pisać, niemogłem, i pani mi wybaczyć musi... bo są chwile w życiu człowieka, że...

— Panie Stanisławie, trzeba być mężczyzną, nie można przecież nawet mamie mówić wszystkiego, co się myśli i czuje, nie trzeba. Ja, istotnie powinnabym się gniewać na pana...

— Ale mi pani przebaczy. Przysięgam pani, że od dzisiaj już będę inny, ma pani rację, będę mężczyzną!... tak!... — wyprostował się i z jakąś odwagą niesłychaną ujął jej rękę i podniósł do ust. — Ja panią przekonam, że, jak potrzeba, to jestem mężczyzną.

— Nie, nie, pan znowu o wszystkim napisze do mamy.

— Słowo honoru daję, że nie napiszę — powiedział energicznie i potrząsnął ją tak silnie za rękę, że mu prawie upadła w ramiona; jakoś się tak stało, że usta ich spotkały się w długim, palącym pocałunku. Ogarnęła ich oślepiająca jasność szczęścia — świat razem z mamą, z obawą i z ludźmi zapadł się gdzieś, pokój zniknął, pamięć wszystkiego sześcia, zostali tylko we dwoje i z ustami przy ustach, z sercem przy sercu, spleceni potężnym pocałunkiem pierwszej miłości. Odrywali się od siebie na chwilę, spoglądali sobie w oczy, w których było zdumienie szczęścia nadzwyczajnego, prawie przestraszonych, i znowu padali sobie w objęcia, oniemieli, bez tchu, bez przytomności, i wysysali z siebie życie, i dawali je sobie.

— Kocham! — śpiewały jej wielkie niebieskie oczy, pełne łzawych blasków rozkoszy.

— Kocham! — odpowiadały jego oczy.

— Kocham! kocham! kocham! — śpiewało im w mózgach, w duszach, w krwi młodej, i wszystko w nich, i wszystko dookoła śpiewało im ten hymn szczęścia, miłości, upojenia.

Zarzuciła mu bezwiednym ruchem rękę na szyję, oplótła go sobą, i przez łzy, przez miłość, przez bojaźń i rozkosz, szeptała upojona i porwana czarem tej chwili:

— Stachu mój! Stachu mój! kocham cię!

Nie mógł mówić ze wzruszenia, dopiero po chwili pewnej, klęknął przed nią i zapewnił drżącym głosem o swojej miłości wiernej, przysięgał jej na śmierć i życie.

Wreszcie, kiedy już powrócili do jakiejś takiej równowagi, Staś otrzepał chusteczką kolana, wytarł spoconą twarz, zapiął wszystkie guziki surduta, i poważnym, nieco drżącym głosem, rzekł:

— To ja pójdę pomówić z cicią pani...

Tak, teraz czuł się mężczyzną.

— Nie, nie teraz, nie śmiałybym spojrzeć jej w oczy, a zresztą nie przyjechała jeszcze, ale niech pan już idzie.

Pocałował ją w rękę i nachylił się, jakby chcąc pocałować w twarz.

— Nie, nie, Stachu... panie Stanisławie! — szepnęła, uchylając głowę, a wysuwając rozchylone karminowe usta.

Wyszli do ciemnej sieni, drżącymi rękoma szukali klamki, gdy Zosia cicho szepnęła:

— Stasiu!..

Wyciągnął ramiona i, pomimo ciemności, objął ją w namiętym uścisku.

— Idź już!.. idź, mój złoty!.. idź, bo się boję!..

Rozerwali się siłą prawie.

Staś wyszedł; zataczał się z upojenia, wracając na stację, nie wiedział, co się z nim stało, nie mógł przypomnieć sobie, w jaki to sposób usta ich się złączyły, dreszcz wstrząsający przenikał go jeszcze, czuł ją przy sobie, czuł ciepło jej ciała, jeszcze jej oddech muskał i pieścił mu twarz, słyszał ją, czuł ją całą w ramionach, na piersiach, bezwiednie otwierał rękę i zaciskał, jakby ją obejmował.

Szedł wolno, zatopiony w szczęśliwości niewypowiedzianej, i pierwszą jego myślą, pierwszym ruchem serca była chęć napisania wszystkiego matce, wypowiedzenia się przed nią, ale zaraz przyszyły mu na pamięć słowa Zosi. — Tak, przecież jestem mężczyzną — myślał, popuszczając szelek, żeby się uwolnić od tego piekielnego uciskania. — Dam sobie radę i bez mamy — rozumował energicznie, ale w głębi czuł się bezradnym i strwożonym wobec tego nowego życia, jakie go czekało, i tej samodzielności. — Zosia taka dobra, energiczna, mądra, przecież zostanie moją żoną! — Uspokoił się, powracała mu równowaga, bo nieświadomie jeszcze odczuwał, że Zosia w zupełności zastąpi mu matkę.

Przed stacją spotkał Osiecką, wychodzącą od Zaleskich, do których wstępowała tylko na chwilę, cofnął się w cień, jakby się bał spotkania z nią. Objął zaraz służbę po Zaleskim, który poszedł spać, i noc całą, pomiędzy depezbami i pociągami, w wolnym czasie, układał plany przyszłego życia, obrachowywał budżet, obmyślał umeblowanie i t. d., ale tak mu to szło ciężko, że kilka razy wyjmował papier listowy, pisał „Kochana mamusiu” i darł arkusik, bo sobie przypominał obietnicę, jaką dał Zosi, i jej słowa: „Trzeba być mężczyzną!”

— Tak, „trzeba być mężczyzną!” — powtarzał mocno. Odpiął zupełnie szelki, wytarł sobie skronie kamforą, połknął kilka homeopatycznych pigułek dla orzeźwienia, i czuł się silnym, pełnym woli mężczyzną.

III

W kilka dni po oświadczeniach Grzesikiewicza, najniespodziewaniej przyjechał Głogowski. Janka przywitała go radośnie.

— Chciałam widzieć pana, ale się nie spodziewałam, dziękuję bardzo za pamięć, za odwiedzinę.

— Daj pani spokój, w odwiedzinę! — przerwał jej szorstko. — Jestem w Bukowcu, bo uciekam w świat. Rzuciłem do diabła swoich Syngalezów.

— Już się pan pożegnał ze Stabrowskimi?

— Ciekawa pani przedewszystkiem: dlaczego? Naturalne zapytanie, bo u kobiet prędzej przychodzi słowo na usta, aniżeli myśl do mózgu. — Powiedział twardo, zwichrzył gwałtownie włosy i wielkimi krokami zaczął obchodzić stół.

— Ano dlaczego? bo wytrzymać nie mogłem. Godny dom, a jakże, sześć razy dziennie siadają do koryta, uważa pani, sześć razy! Niech pioruny spalą, to i świniaby nie wytrzymała. A jacy wszyscy porządni ludzie! jak Boga kocham, automaty! mąż do produkowania pieniędzy, a żona głupstw. Wyobraź pani sobie najregularniejszy kwadrat szablonu, konwenansów, formuł i porządku! Niech pioruny spalą wszelką regularność, wszelki porządek i wszystkich porządných ludzi! — I zatopił chude, nerwowe palce, o mocno rozwiniętych stawach, w zwichrzonych włosach i usiadł.

— Nie, już nie mogłem, nie mogłem; jesień taka straszna, zimno, ciemno, mokro, nudnie, że położyć się w błocie i wyc z rozpacz.

— Jadę do Paryża! Szóste pięterko, obiad w gargocie, co drugi dzień, to głupstwo wszystko, bo człowiek przytem będzie wolny, będzie mógł oddychać powietrzem, będzie się mógł włóczyć, gdzie oczy poniosą, a to rozkosz, tęsknię za tem. Uważa pani, ta Stabrowska zupełnie sfiksowała, smaruje sążniste głupstwa i tak mnie zaczynała niemi opychać, że zbuntowałem się i powiedziałem jej, dosyć zresztą grzecznie, że to, co pisze, i funta kłaków niewarte, że lepiejby zrobiła, pilnując udojów i kur. No, niechby pisała, jest to taka sama dobra choroba, jak katar chroniczny, lub ślinienie się, ale czemu pragnie zarażać głupstwem ludzi, czemu czytuje swoim i obcym, znajomym i nieznanym?.. Właściwie, poco ja się irtuję, co to mnie obchodzi? a niech sobie zdycha świat cały, wszystko mi jedno. — Gadał prędko, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, roztrzęsionym, zdenerwowanym głosem.

— Tak, to prawda, poco się irtować?

— Irytują się ludzie, mający krew, a zresztą, co ja będę gadał! — machnął ręką.

— Skończył pan *Ludzi niezłomnych*?

— Nie, nie, nie! — krzyczał jakimś wysiłkiem nerwowym i twarz mu poczerwieniała, a w oczach zabłysnął ponury, rozpaczliwy ogień. Posmutniał nagle, oparł czoło o dłoń i głosem znękanym zaczął mówić dosyć beładnie i cicho, jakby mówił do siebie.

— Nie skończyłem i nie skończę, dosyć mam literatury, dosyć mam tego głupiego kuglarstwa, zdycham z tego. Co mi daje ta kochana sztuka? szczęście może — a jakże, daje mi tylko coraz głębsze uświadomienie, że jestem ślepiec i idjota, że nic nie umiem, nic nie rozumiem. Dałem już spokój wszystkiemu.

— Jakto? więc możesz pan już nic nie pisać, nic nie robić?

— Nie będę, a raczej nie powinienem, przekonałem się, że nie powinienem brać pióra do ręki. Właściwie, to napisałem *Niezłomnych*, włożyłem w nich pół roku pracy, pół roku myślenia, podlewałem krwią, żeby rośli i żyli, dawałem mózg, chuchałem, ochraniałem, modliłem się do nich, cierpiałem z nimi i za nich, żyłem tylko nimi — i przez pięć minut byłem pewny, że stworzyłem arcydzieło! A wie pani, co jest naprawdę? Manekiny bez kropli krwi, bez jednego prawdziwego tętna w papierowych piersiach!.. Gadanie jest, nie ludzie, gadanie, nie życie, odbicie prawdy, cień! Rozpacz mnie ogarnęła! o! ja mam tych ludzi w sobie, są we mnie z krwią i kośćmi, mam ich dusze w swojej, to wszystko trzepie się we mnie, jak ptactwo, które chce wyrwać się z klatki i lecieć, te dusze płaczą, krzyczą, proszą się o światło dzienne, proszą się o ciało, chcą żyć samodzielnie, męczą

mnie okropnie! — a ja, jak marny pastuch, który widzi cud, który czuje cud i nie może go pojąć i nie może go niczem zakłąć, żeby trwał!.. Ach! i ja nie mogę wyrwać tych dusz z siebie, nie mogę ich uzewnętrznić!.. — O, nie mów pani, nie, bo mnie gorycz zalewa, niemoc ogłupia, rozpacz żre; nie chce pani nic, bo chce nawet nie warto, nie pragnij pani niczego, bo niczego pragnąć nie warto, bo się nie urzeczywistni, bo tylko to straszne jarzmo własnej niemocy człowiek silniej czuje, bo poznaje całą swoją marność i nędzotę, bo później najprostszej ludzkiej przyjemności nie odczuje. Szczęście nie jest tam, gdzieś, w marzeniach o sławie, w sławie samej, nie jest poza nami, nie szukajmy go poza sobą, bo ono jest w nas. Głupcy! głupcy! głupcy! — wołał podniesionym głosem. — Naśladujmy woły, co z wiecznie pochyloną głową ciągną pługi i nigdy nie patrzą w niebo; naśladujmy drzewa, którym wystarczy rosnąć, kwitnąć, uczuwać ciepło, pić słońce, kołysać się z wiatrami, usypiać o każdej jesieni i budzić się z pierwszym drgnięciem wiosny, bo szczęście jest w trwaniu, w istnieniu i w spokoju!

Zamilkł ze zmęczenia, po twarzy przelatywały mu błyskawice gniewu i żalu, który mu serce przeorywał boleśnie, szamotał się w niemocy. Targał piersi, jakby chcąc wydrzeć z siebie te uczucia i porywy, myśli i marzenia, tę przyrodę swoją, która nim rzucała po świecie. Wił się ciągle, wznosił na wyżyny i opadał wdół świadomej niemocy.

Siedział teraz niemy i w szarych, zaszklonych oczach tlił się krwawy ból i zmęczenie. Janka słuchała tego długiego, bezładnego wybuchu uczuć z jakąś gorzką przyjemnością, ale i ze zdziwieniem, bo go znała jako nieugiętego bojownika, który szedł śmiało od porażki do porażki, bo wierzył, że zwycięży wkońcu.

Współczuła mu serdecznie, ale w tem współczuciu była jakaś odrobina zadowolenia z tego, że nietylko jej się źle dzieje, nietylko ona się męczy.

— Tak mi pana żal szczerze, że...

— Nie kończ pani, nie przyjechałem po słowa pociechy, ani współczucia, bo te mi nie pomogą. Przyjechałem, aby panią zobaczyć, aby powiedzieć to, co mówiłem, bo się już przepełniło we mnie, a czy pani słuchała, czy mnie żałuje, grubo mi to obojętne. Tak, tak, tak! — wołał, uderzając ze złością w stół.

Uśmiechnęła się cierpko, bo ją nieco dotknęły te słowa.

— Odebrał pan ostatnie listy moje?

— Odebrałem.

— I nic pan mi nie powie?

— Powiem: powinna pani była tak zrobić, jak pani zrobiła.

— Czy powinnam? — powiedziała z naciskiem, bo ją podrażniło to: powinna.

— Mniejsza o wyraz; dobrze pani zrobiła, pozostając przy ojcu. Cóżby pani miała w teatrze?.. rozkosz, sławę, nieśmiertelność?.. Nic z tego, walkę tylko, walkę marną o marność, walkę o cień, którego nikt jeszcze nie uchwycił.

— A cóż tutaj?

— Chociażby i spokojne wegetowanie.

— To jest: prawidłowość i porządek, rodzina, mąż, dzieci i obowiązki. Znam to! Zaleca mi pan to, co sam od siebie odrzuca ze wstrętem. Trochę wydaje mi się to sprzecznem...

— Niech się pani nie wydaje, bo się pani źle wydaje. Odrzucam je, bo odrzucać mogę, bo tam, gdzie jałowiec może rosnąć i żyć, tam dęby schną i umierają.

— Dobrze pan rozgatkował — szepnęła z goryczą.

— Znowu o wyraz się gniewamy, nie chodzi mi o to, tylko, że jeden człowiek może żyć sto lat rzepą pieczoną i czuć się szczęśliwym, a drugi rzepą żyćby nie mógł.

— Skądże pan wie, że akurat ja jestem jałowcem, że akurat ja jestem tym człowiekiem, który rzepą żyć może?

— Nie mówiłem tego do pani, ale ogólnie.

— Ponieważ mówiliśmy o mnie, musiałam wziąć to do siebie.

— Kobiety zawsze sprowadzają wszystko do swojego ja.

— Więc?.. — rozdrażniła się coraz głębiej.

— Więc, ja nie wiem, kto pani; ale wiem, że każdy silny człowiek bierze swój krzyż na ramiona i idzie w świat, lub kładzie się gdzieś pod płotem i zdycha, jeśli mu się tak podoba.

— A ja wychodzę zamąż!.. — szepnęła jakoś urągliwie i oczy jej rozbłysły gniewem.

— Najlepszą rzecz pani robi, jaka pozostała do zrobienia.

— I ostateczną...

— Przedramatyzowuje pani. Kobiety zawsze wpadają w ostateczność.

— Żółcią pan dzisiaj oddycha i goryczą.

— Nie miodem mnie życie poi. Zresztą, czas przerwać dialektyczne obelgiwanie się i wspólne lamenty na los. Każdy dostaje to, co mu się należy.

— A należeć mu się powinno szczęście, a tego nie dostaje.

— Dlaczego mu się należy? skąd pani to wie, że człowiek powinien być szczęśliwym?

— Bo chce.

— Więc niech je pani wyrwie skąd bądź, jest do wzięcia zawsze.

— Gdzie?

— W nas samych i tylko w nas samych.

— Niema go we mnie! — odpowiedziała cicho.

— Ha! to go niema dla pani nigdzie...

Nie odpowiedziała, oczy miała pełne łez, a serce goryczy i żalu.

— No, dosyć, czas mi już odejść, pociąg zaraz nadejdzie. Żegnam panią i życzę z całej duszy szczęścia, którego pani tak łaknie bardzo, a wszystko się gniew przed duszą w ekstazie, powiada Avicenna, stary scholastyk.

— Nie zobaczymy się pewnie prędko — mówiła smutnie i żalność ją ogarnęła za tą jedyną duszą, którą ceniła wysoko i kochała miłością przyjaźni.

— Myślę, że nigdy. — Głos mu zadźwięczał surowo, stanął przy oknie i patrzył szklistym wzrokiem w dal jakąś.

— „Nigdy” powinno się wykreślić z języka ludzkiego, brzmi w tym rozpacz i nicość nasza.

— Dwie jedyne rzeczy, które nie zawodzą nikogo. No, do widzenia. Teraz jadę do Warszawy, a po świętach — w świat. Jeśli mi będzie bardzo źle, albo bardzo dobrze, napiszę do pani, bo tego nie zapomnę, że w tym dzikim zakątku jest jedna dusza przyjazna i cierpiąca.

— Dziękuję, ale ogromny mi żal stracić pana.

— Nie żałuj pani, właśnie i w tym szczęście, że człowiek może zapominać. Ja nie potrafię zapomnieć pani, ale to co innego. Być może, iż gdybyśmy żyli bliżej, znienawidzilibyśmy się i pogryźli jak psy, za blisko siebie przykute i rywalizujące o miskę i o powietrze.

— Nie, bo ustąpiłabym panu — powiedziała poważnie.

— Do widzenia!.. ciężko mi się odrywać. — Wziął jej obie ręce, ucałował i patrzył długo w jej twarz, jakby chcąc zapamiętać na zawsze.

— Niech mi pani wybaczy... serce mi się rwie z bólu... życie mnie gryzie!.. gryzie... Obejrzał się po pokoju i wyszedł śpiesznie, obcierając na schodach oczy załzawione.

Janka patrzyła oknem, jak chodził po peronie z ojcem, który mu oddawał ten jej dawny dług, jak się całowali na pożegnanie. Widziała go jeszcze wyglądającego z pociągu. Przesłał jej ukłon, pociąg ruszył i wszystko zniknęło w śnieżnym tumanie.

Ciężko się jej zrobiło na sercu. Czuli, że go już może nie zobaczy nigdy, że z nim pękają ostatnie nici, łączące ją ze światem, że rwą się i zalewają ją ciężkim, przytłaczającym smutkiem osamotnienia. Oddalała się teraz od swojej przeszłości z szaloną szybkością.

IV

Kilka godzin chodziła jakaś martwa i taka smutna, że gdy przyjechał Andrzej, szepnęła:

— Dobrze, żeś pan przyjechał, czekałam z upragnieniem.

Nie kochała go przecież, tylko samotność ciążyła jej strasznie. Przystosowywała się z wolna do jego zwyczajów i pojęć, ale często nudził ją swoją miłością, raził prostactwem, bo, pomimo swojej wolnomyślności pod każdym względem, miała już we krwi poczucie niezliczonych formułek towarzyskiego *savoir-vivre'u*, a Jędrus, jakgo poufale nazywał Orłowski, pomimo pewnego wykształcenia, zresztą czysto specjalnego, był zupełnym barbarzyńcą w bliższych stosunkach.

— Wytresuje mnie pani, jak konia dzikiego — usprawiedliwiał się nieraz i całował po rękach.

Czyniła mu uwagi nieraz bardzo szorstko, bo ją irytowało jego nieuctwo i Andrzej obiecywał poprawę, ale w duchu było mu to obojętnem, wprost niebardzo rozumiał, czego

ona chce i dlaczego. Gospodarstwo pochłaniało wszystkie jego siły i władze i zresztą tak był zakochany, że resztę spełniał prawie odruchowo, automatycznie. Pociągała go coraz więcej tem, że wobec niej czuł się onieśmielonym i że była dla niego jakąś istotą wyższą, był z niej dumny.

Rozumował nieraz sobie, że do ich bogactw potrzeba takiej właśnie, jaką ona jest, przedstawicielki, takiej „pani”, jak ją określała jego matka. Codziennie jeździł do Bukowca i codziennie powracał do domu więcej upojony i szczęśliwszy i nieraz późno w nocy siedział u matki i opowiadał jej o Jance nieskończone szczegóły, albo jechał do Witowskich i przed panną Jadwigą spowiadał się do dna. Żył w gorączce przygotowań przedślubnych, nie zważając na szpilkowe i nieraz bardzo bolesne słowa Józki, która teraz często przyjeżdżała do Krosnowy i z nienawiścią i z żalem przyglądała się restauracji wnętrza pałacu.

— Królewskie mieszkanie!.. i dla kogo?.. — szepnęła raz drwiąco.

— Dla mojej żony... nie wiedziałaś?..

— O, wiedziałam, wiedziałam i wiem jeszcze więcej. — Odwróciła się i poszła.

— Moja siostra bardzo mnie kocha... — powiedział ojcu, który słyszał ich rozmowę.

— Co prawda, to prawda, ale diabli to potem, aksamity, dywany, złocene meble... tfu!.. twoja matka mieszkała w karczmie, jak wyszła za mnie i było dobrze, jak Boga Kocham.

— Bo ojciec nie miał pałacu, ani matka nie wносиła trzydziestu tysięcy posagu.

— Phi!.. trzydziestu tysięcy, ładny grosz, juści, ale... jak Boga tego Kocham, zginiecie w tylu pokojach... pięć, sześć... to przecież i biskup więcej nie potrzebuje.

— A my potrzebować będziemy szesnastu...

— Poco, co z nimi będziecie robić?

— Będziemy w nich mieszkać... — powiedział mocno, bo stary zaczynał go irytować.

— Poręby z Ługów nie starczy na jedną zimę, żeby ogrzać te landary.

— To są jeszcze krosnowskie lasy, są na Jakóbowie...

— A juści... są, ja wiem, że są, nie potrzebujesz mnie uczyć, gdzie są lasy moje, gdzie są moje poręby!... — zawołał z przyciskiem. — Jak Boga tego Kocham, moje!... rodzono!...

— A ojciec nie potrzebuje mi ciągle mówić, że to moje lasy, moja ziemia, bo ja bardzo dobrze wiem i nie czyham na to — zawołał podniesionym głosem.

— Jędrak! ej, Jędrak!... stul pysk, bo ci takiego figla spletam, że pożałujesz!...

— Dam sobie radę!... — szepnął Andrzej lekceważąco, bo stary w ten sposób dawał mu uczuwać, że może cały majątek zapisać Józki.

— Jucha, chłopak!... — myślał stary, z jakąś gniewną rzewnością patrząc za odchodzącym Andrzejem i sam, pomimo, że tylko z pomocą kija i ścian chodził, poszedł na pilnowanie i pogawędkę do pokojów, w których robili stolarze i tapicerzy.

Stara także po kilka razy dziennie zaglądała do pałacu, przechodziła na palcach przez pokoje parterowe, już prawie gotowe, przyglądała się tym wspaniałościom z podziwem i dumą, gładziła jedwabie i aksamity, wzdychała, jakby z żalem za pieniędzmi, ale synowi nie mówiła nic. Wieczorami długimi siadywała w kuchni z kołowrotkiem, albo z pierzem wpośród swoich dziewczek i parobków, którzy byli na stole dworskim i niezmiernie lubiła słuchać, jak służba wychwalała jej Jędrusia, a często nie mogła się powstrzymać i opowiadała sama o Jance, o jej piękności i uczoności.

Andrzej często robił matce wymówki za to poufalenie się ze służbą i opowiadanie.

— A, mój Jędrus, a gdzieże pójde pogadać, co?... tylko do swoich; nie bój się, oni mnie rozumią i pewnikiem, że mi lepiej życzą, jak pani Kossowska, albo Witowska, albo insze; to przecie swoje, nasze ludzie... — usprawiedliwiała się cicho. — Prędko się żeń, to se będę przychodziła do pani synowej na pogadanie — dodała.

Rozbroiła go temi słowami, że nic już nie mówił.

— Ale, Jędrus, poproś panny Janiny, niech przyjedzie zobaczyć; może się jej co nie podoba, to można teraz jeszcze zmienić.

— A racja! jadę zaraz do Bukowca.

— Tak, może będzie potrzeba postawić pałac w innym miejscu, tam, na wyspie, byłoby ładniej, a może każe go przenieść na górę, do lasu, stamtąd są śliczne widoki — syknęła Józka, gdy Andrzej wyszedł.

— Ty, Józka, masz żądętko, he! he!... powie słówko, to jakby żgnął pod zebro, jak Boga tego Kocham! — zaśmiał się stary.

— Niechże ja chociaż mam oczy, kiedy ich nie ma ojciec, ani mama, bo o Andrzeju już nie mówię. Zobaczy ojciec, że jak ta jaśnie pani tu przyjdzie, to w parę lat zostaną strzępy z Krosnowy...

— A juści... a ja to nie żyję, co?... patyczki stróżą, a ptaszki jeszcze w lesie.

— Cóż z tego, albo Andrzej nie robi, co tylko chce... Ileż tysięcy kosztuje odnowienie pałacu i poco takie wydatki, co?... Dla jakiejś zawiadowcówny!.. nos już dzisiaj zadziera do góry, jak jaka hrabianka, a to... — nie dokończyła, żółte jej oko zaczęło drgać newralgicznie, a błękitne znieruchomiało i patrzyło ponuro; założyła binokle.

— Cicho, Józia!.. ożeni się Jędrak, sprowadzi żonę, zobaczymy, co będzie. Nie bój się, już ona Jędrka nie będzie za nos tak wodzić, jak ty swojego Głębika.

— Tyle razy mówię ojcu, że mąż mój nazywa się Głębiński, ale z ojca cham nigdy nie wyjdzie.

— No, dobrze, moja ty szlachcianko, grafinio, dobrze! ale powiedz jaśnie panu na Ługach Głębińskiemu, że już tydzień czekam na ratę dzierżawną.

— Może ojciec poczekać jeszcze miesiąc.

— Józka! — krzyknął, uderzając pięścią w stół ze złością; — tak mi nie gadaj, z pieniędzmi niema żartów; pamiętaj, że nie mówi do ciebie ojciec, a tylko wasz dziedzic, słyszysz?..

— Słyszę, poco się ojciec irytuje, czy to nie płacimy?..

— Tak, choroba takie płacenie... trzeba każdego rubla z gardła wyciągać!..

— Ale wkońcu ojciec wyciągnie co do jednego, nie daruje i grosza.

— A niby za co miałbym darować, he?... za co?... jak Boga tego Kocham!..

— Ależ mój ojcie, przecież my nie chcemy żadnych darowizn. Nie zapłaciliśmy teraz raty, bo musiałam posłać pieniądze do Wiednia, za dzieci, to przecież pierwsze. Zaczniemy pojutrze młócić pszenicę, to się z pierwszych pieniędzy odda — tłumaczyła się miękko.

— No, dobrze, a sprzedać zaraz, bo teraz pszenica stoi fajnie.

A Andrzej rad, że ma powód, pojechał po raz drugi dzisiaj do Bukowca i zaraz od progu zaczął:

— Przyjechałem prosić pani o odwiedzenie Krosnowy. Ponieważ tam zawieszają portjery, firanki i obrazy, a ja, ani moi, niebardzo się znamy na tem, więc, jeśliby pani była łaskawa pojechać i zobaczyć i co złego pani spostrzeże, powiedzieć, to się przerobi tak, jak pani będzie chciała, dobrze? — prosił, całując ją po rękach.

— A dobrze, miałam chęć pojechać trochę sankami.

— To się przejedziemy.

— Ale warunek, a raczej prośba!..

— Spełnię sto i jeden.

— Będziemy jechali prędko.

— Jak wicher, bułanki moje nie lubią człapać wolno.

— A sanna przetarta?

— Jak po szkle, tak wyszlifowana.

— Na szosie?

— Wszędzie.

— Ślicznie!.. poszalejemy!.. — zawołała wesoło, bo poczuła ogromną chęć ruchu.

— Jedziemy zaraz?

— Nie, jutro!.. przyjedzie pan do nas na obiad, a po obiedzie pojedziemy hulać po drogach.

— Gdzie oczy poniosą! — zawołał, porwany jej ogniem.

— A raczej, gdzie bułanki i drogi poprowadzą.

Odjechał.

V

Wieczór siał się nad ziemią; wieczór zimowy, mroźny, cichy, wyiskrzony miliardami gwiazd, oślepiająco biały, przesycony ciemno-błękitnymi cieniami, jakie kładły szkielety drzew na śniegi. Stacja milkła, a na długiej i krętej linii kolejowej, wijącej się wskroś białych płaszczyn i gnących się pod śniegami lasów wykwitwały złotawe światełka latarni strażniczych, niby sznur promieniejących pereł.

Zaleska grała, jak zwykle o tej godzinie, muzyka sączyła się przez ściany łagodnymi dźwiękami, ale brzmiała tak smutnie jakoś, że Janka zdrząła, zabolęło ją serce, czuła, że jakieś lży niewyplakane jeszcze ma w duszy, że ta muzyka kołysze nią i budzi przygasłe nieco marzenia, rozpala jakieś ognie. Nie, nie chciała tego. Chciała być silną, chciała to jarzmo, które sama sobie włożyła na barki, nieść świadomie i wytrwale. Chciała zupełnie zapomnieć, czekała nawet dnia ślubu z pewną niecierpliwością, bo pragnęła się już znaleźć u siebie, pragnęła już zacząć żyć tem nowem życiem. Pragnęła i dlatego, że wtedy będzie prędzej mogła namówić ojca do porzucenia służby i zamieszkania przy niej, bo objawy jego obłędu, coraz częstsze, przejmowały ją trwogą.

Pozamykała drzwi, żeby nie słyszeć muzyki, i usiadła w stołowym pokoju, zamienionym teraz na rodzaj pracowni krawieckiej, gdzie dwie szwaczki szyły rozmaite szczegóły wyprawy; jedna, młoda dziewczyna, sprowadzona z Kielc, a druga, stara, siwa, o pomarszczonej, żółtej twarzy i wybladłych oczach niebieskich kobieta, której całe życie zeszło na szyciu wypraw po dworach i dworkach, i która była wyrocznią w tych niezliczonych drobnościach, tyjących się wypraw.

— Proszę pani!.. — zaczęła, biorąc igłą wiśnię z konfitur, ze stojącego przed nią spodka. — Czy monogramy na pościeli gotowe?

— Są, wczoraj przysłała dopiero hafciarka. Chce pani widzieć?

— Ślicznie prosilibym. — Pochyliła się uniznienie, i znowu igłą wzięła wiśnię.

Janka przyniosła cały stos rozmaitej bielizny i położyła przed nią.

— Iiii! bez koron, a któż to słyszał co podobnego?.. same tylko litery, to dobre dla żydówek, albo jakich lyczek! — szepnęła pogardliwie, ściągając usta. — Przecież państwo mają prawo do korony pięciopalkowej? — zapytała ostrożnie.

— Tak, ale sądziłam, że nie potrzeba, bo... — zarumieniła się pod badawczym i nieco aroganckim wzrokiem szwaczki.

— Nie potrzeba?! szlacheckiej korony nie potrzeba?... co też pani mówi?... A to znam rozchwiane małżeństwo, właśnie przez to, że panna młoda chorowała na taką sawantkę i nie chciała, żeby znaczone i malowano jej znaków herbowych i szlacheckich. Panna Górnicka, w Płockiem, magnacki dom!.. szylam wyprawę, bieliznę obszywało się prawdziwymi walansjenkami. Porcelanę sprowadzono wprost z Sèvres... rozchwiało się, panna później rozpaczęła, ale nic nie pomogło; jak to, żeby panna nie chciała i wstydziała się herbów swoich?... to koniec świata!.. to zgroza!.. — szepnęła rzeczywiście oburzona, i zamilkła, zagłębiając się w robocie.

Maszyny dudniały głucho, szyjąc bez ustanku.

— Moznaby jeszcze pododawać te korony, prawda? — zapytała Janka po chwili.

— Ślicznie radziłabym zapakować wszystko i odesłać zpowrotem.

— Panno Martyno, odkąd mają zaczynać się te wody w kaftaniku? — zapytała młodsza, mizerna, blada, o sinawej twarzy i czarnych włosach, gładko rozdzielonych nad czołem.

— Panna nie wie!.. — wykrzyknęła z wyniosłością i podziwem. — To koniec świata, to zgroza!.. ale to naturalne, panna jest z pierwszorzędnego magazynu!.. — uśmiechnęła się zjadliwie, biorąc igłą wiśnię. — Pamiętam, szylam wyprawę dla panny Wojna, w Lubelskiem, magnacki dom!.. sprowadzili mi do pomocy pannę z pierwszego magazynu, z Warszawy. Ho, ho!.. ślicznotka, w kapeluszu modnym, żurnalowa panna, miała całą walizę listów miłosnych i kosmetyków!.. Wszyscy byli nią zachwyceni, bo i mówiła po francusku, i grała na fortepianie, i nawet śpiewała, ale była taka uzdolniona, że sukni upiąć nie umiała!.. Odesłałam ją po tygodniu do Warszawy!.. — zakończyła ciszej, i z wielką powagą poniosła na igle wiśnię do ust.

Milczenie zapanowało.

— Tę suknię należałoby przybrać aksamitem, welwet za ordynarny. Pamiętam, że u państwa Mielżyńskich, w Poznańskiem, hrabiowski dom!..

— Proszę panienki! — zawołała Janowa z kuchni.

Janka, nie słuchając końca opowieści, wyszła.

— A to od kilku dni jużem chciała panience podziękować za służbę od Nowego Roku... — zaczęła nieśmiało, całując ją w rękę.

— Dlaczego?... a ja myślałam, że Janową wezmę z sobą do Krosnowy...

— Nie mogę, panienko!.. z panią Zaleską się zmówiłam, bierze mnie z sobą do Warszawy.

— Jeśli Janowej za mała pensja, to mogę płacić więcej.

— Panienko, tu nie o zapłatę chodzi, to marna rzecz jest, a ja panią tak kocham, kieby rodzoną swoją panią córkę, ale cknij mi się do mojej Anusi, okrutnie mnie prze zobaczyć ją.

— No, to można to zrobić; ojciec da wam bilet wolny do Warszawy i zpowrotem. Pojedzie Janowa, zobaczy, nacieszy się córką i powróci.

— Hale!.. juści, mogłoby tak być, juści... — szeptała zakłopotana. — Ale juści tak wprost, kiej kulą w płot, nie pójdę prosto do niej... nie można!.. Muszę ino utrafić, i kiej bendzie szła do szkoły, to mogłabym popatrzeć na nią, albo i porozmawiać.

— Dlaczegoż Janowa nie pójdzie wprost do państwa Zielińskich, i nie zażąda widzenia się z córką?..

— Prawda, że tak byłoby dobrze... ale państwoby się gniewało, że przeszkadzam, a i Anusi nie byłby honor, że to przy służbie, i przy innych państwach przychodzi do ni taka chłopka, że to matka... juści...

Jance żal się zrobiło tej matki, której córka się wstydzi, i która sama nie śmie się upomnieć o swoje prawa, zaślepiona miłością i pragnieniem szczęścia dla dziecka; ale nie powiedziała jej nic, co myśli o córce jej, nie chciała odbierać jej złudzeń, któremi stara żyła jedynie.

— Niech Janowa jedzie z panią Zaleską, jeśli tak będzie wygodniej; ale kiedy bądź Janowa zechce wrócić do mnie, zawsze miejsce będzie.

— A Bóg zapłać panience, niechta pan Jezus wynagrodzi na szczęściu i na zdrowiu, i na dzieciach, i na majątku, bo ja tak se pocichu kalkulowałam, że od świętego Jana, kiedy już moja Anka z państwem przyjadą do Zielonki na lato, to wróciłabym do pani, do Krosnowy, bo byłoby mi blisko do niej, ino bez pola...

— Dobrze. Jak i kiedy tylko Janowa zechce. Niech Janowa podaje już samowar, a wy, Rochu, idźcie prosić pana na herbatę.

Orłowski przyszedł zaraz, przebrał się tylko w swój stary, bez guzików mundur, którego używał w miejsce szlafroka, i siadł do stołu.

— Panno Martyno, panno Marjo! proszę na herbatę.

Marja usiadła przy stole, ale Martyna wzięła szklankę i postawiła ją na maszynie.

— Niechże się pani przysunie do stołu, będzie wygodniej — zapraszał Orłowski.

— Ślicznie dziękuję, ślicznie... — rzuciła druzgocące spojrzenie na Marję i siadła przy maszynie.

— Może ojciec chce pojechać jutro do Krosnowy? pan Andrzej przyjedzie do nas na obiad, a po obiedzie obiecałam mu jechać do nich.

— Jedź, dziecko, my nie mamy czasu, koniec miesiąca, śniegi, pociągi się ciągle spóźniają, zadymki i przerwy w komunikacji spodziewamy się lada dzień, więc ani na godzinę ze służby zejść nie mogę — odpowiadał spokojnie, ale głosem urywanym, chwilami zawieszając głos w połowie wyrazu, oglądał się za siebie, przecierał oczy i ciągnął dopiero dalej.

Przesiedział cały wieczór i z niesłychanym zajęciem przyglądał się robocie i wypytywał o rozliczne szczegóły, Martyna odpowiadała mu z szacunkiem i powagą, i kiedy odszedł już do swego pokoju, szepnęła cicho do Janki:

— Ojciec pani ma ogromnie pańską, arystokratyczną twarz, bardzo... znam się na tem, a pani nie chciała koron!.. Pamiętam, na Podolu, u państwa Kruszelnickich, magnacki dom... Stary pan Kruszelnicki, szyła wyprawę dla wnuczki...

— Skończmy na dzisiaj te roboty!.. — przerwała Janka, już znudzona nieco jej przypominieniami, i poszła do swojego pokoju, ale przez drzwi słyszała przyciszony głos Martyny:

— Jak pani śmiała się do stołu razem z państwem?.. to koniec świata, to zgroza!.. że oni proszą, powinni prosić, bo tylko prostacy nie proszą, ale że pani nie rozumie tego, że za grzeczność pańską trzeba grzecznością odplacić. Ślicznie pani postępuje, ani słowa!

— Ależ, panno Martyno, cóż złego pani w tem widzi?

— Gorzej niż złe, bo niewłaściwe; ja, gdybym była panną Janiną, nie zniosłabym. Zresztą trzeba nieraz udawać nieśmiałość, szacunek, zdumienie, zachwyt... trzeba... szep-
tała dalej tak cicho, że Janka nic nie słyszała, i wkrótce usnęła.

Obudziła się niedługo; przez szpary w zapuszczonej portjerze światło z pokoju jadal-
nego wdzierало się do jej ciemnego pokoju. Wstała, żeby zobaczyć, która z nich siedzi
tak długo i co robi.

Uchyliła portjery i zajrzała: łóżko Marji zasłonięte było parawanikiem, a Martyna
stała przed lustrem, ubrana w welon ślubny, i udrapowana w biały atlas, z którego miała
być zrobiona suknia Janki. Lustro, chociaż skośnie stojące od Janki, odbijało całą figurę
Martyny, która zapuściła welon na twarz, ukłękła, i z ręką wyciągniętą, niby do wiązania
stułą, szeptała coś cicho. Potem odgarnęła welon z twarzy, i długo, bardzo długo patrzyła
się w lustro; lzy płynęły wolno po jej starej, zmiętej, poźłobionej zmarszczkami i brózdami
twarzy, a sine, obrzękłe wargi drżały jej w jakimś serdecznym, utajonym bólu. Przeszła
cicho kilka kroków po pokoju, tak ociężale, jakby zwieszała się na czyjś ramieniu;
potem, zdjęwszy welon, poodpinała przypięte szpilkami do swojej sukni bryty atlasu,
poskładała na dawne miejsca, i z twarzą jakąś dziwną, rozjaśnioną, rozumienioną, pełną
trwogi i szczęścia zarazem, z oczyma pełnemi jakiegoś niezrozumiałego zachwytu, zagasila
lampę i poszła spać.

Janka powróciła na łóżko, zdumiona tem dziwnym zachowaniem się i sceną. Nie
rozumiała z niej nic i na drugi dzień przypatrywała się z wielką uwagą Martynie, ale na
jej twarzy nie było nic znac; tak samo opowiadała niestrudzenie o rozmaitych wypra-
wach i domach magnackich, tak samo strofowała swoją pomocnicę i cały dzień jadła igłą
wiśniowe konfitury.

Janka była podrażniona, ale powiedzieć jej o tem, że była świadkiem tej nocnej sceny,
nie śmiała.

Grzesikiewicz przyjechał na obiad i zaraz po nim pojechali do Krosnowy.

— Walek! w konie! — zawołał do stangreta, skoro tylko wjechali w las.

— Nie teraz, dobrze? zpowrotem, wyjedziemy na szosę, tam szerzej... — prosiła.

— Słowo daję, niema i tutaj obawy, pomimo, że droga wąska.

— Nie boję się, tylko chciałam przypatrzeć się lasowi, nie byłam tutaj po śniegach.

Jechali stępa.

— Cudownie! panie Andrzeju, patrz pan! — zawołała z uniesieniem, zakreślając ręką
szerokie koło.

Istotnie, było przepięknie. Las stał cichy, jakby senny, pod masą śniegu, wiszącego
na gałęziach, i skrzył się cały w blaskach słońca, i okrywał subtelnym obłokiem błękitu.
Droga była jakby zasypana puchem, który pod uderzeniami płóz i nóg końskich roz-
pryskiwał się tumanem. Konie parskaly radośnie, a dźwięczny, wesoły głos dzwonek
rozlegał się po lesie bez echa; kłęby sinawej pary, słupy, całe fontanny wisiały nad san-
kami. Taka cisza panowała pod tą białobłękitną kopułą lasu, wśród tych nieskończonych
szaro-zielonawych kolumn, w tych głębiach perłowych, zionących chłodem, że każda
szyszka spadająca, każda gałązka sucha, która pękała pod naporem śniegu, co wtedy ka-
skadą pyłów spływał na ziemię, rozlegały się ostrym dysonansem w tej symfonji milczenia.
Przez dolinki, przez moczary, zarosłe żółtemi, poschłemi wicinami, wily się pasy stru-
mieni stalowo-modrych o zimnym blasku, nad którymi ciężkim, skośnym lotem unosiły
się wrony.

Jechali w milczeniu, bo Andrzej nie śmiał mówić, tylko patrzył na rozumienioną
twarz Janki, i biegł za jej oczyma, błędzającymi z rozkoszą po nagich, pustych i białych
polach, na które wyjechali z lasu, i taka go dziwna a wielka radość przepełniła, że chciało
mu się wstać w sankach i krzyczeć ze wszystkich sił, ale nie podniósł się, tylko delikatnie
wyjął jej rękę z mufki i ucałował. Nie bronila mu, uśmiechnęła się łagodnie i szepnęła
bezwiednie, przyciskając się ramieniem do niego:

— Dobrze tak jechać... dobrze...

— Nie zimno pani?... — zapytał troskliwie, otulając jej nogi futrem.

— Nie.

— Może jechać prędzej?

Skinęła głową.

Dał znak stangretowi i konie ruszyły z kopyta, sanki świszczały tylko w locie szalonym.

Zaraz też ukazały się zabudowania krosnowskie: park, wieś, nad którą unosiły się błękitne słupy dymów, i rzeka niezamarznięta miejscami, błyszcząca złotymi taflami wody w słońcu.

Pod kolumnadą podjazdową pałacu, gdy dojechali, ukazał się stary Grzesikiewicz, odświętnie ubrany, w długie buty świeżo widocznie wysmarowane, bo w załamku cholew bielili się resztki skrzepłego tłuszczu, w czarny kożuszek, podbity zwykłymi baranami, od którego zdaleka bił zapach skóry niewyprawnej, siwawe włosy miał gładko przyczesane, a twarz sino-czerwoną; końce wąsów, przyciętych nad ustami, buńczucznie wykręcał do góry.

— Witam! witam wielmożną panią! — zawołał, wysadzając Jankę, ale zamilkł i omroczył się, bo syn uderzył go oczyma za tę „wielmożną panią”. Odzyskał prędko równowagę i rubasznie, z mlaskaniem, ucałował ręce Janki, wiodąc ją do środka pałacu.

Z Grzesikiewiczową przywitały się serdecznie, i gdy Janka pocałowała ją w rękę, stara chwyciła ją w ramiona i rozplakała się ze wzruszenia.

— Kto łzami wita, z miłości kwita! — zaśmiał się stary. — Pozadawała pani moim na kochanie, czy co?.. bo ani moja stara, ani Jędrus nie mogą już żyć bez pani, — powiedział wesolo i ujął ją pod ramię. — Jędrus, idź se synku miedzą, tam, gdzie gapy siedzą; ja panią sprowadzę.

— Pan się fatyguje, ależ ja nie pozwolę, — protestować zaczęła, zobaczywszy, że ledwie wlecze nogi.

— Ale, ale! oberkabym jeszcze zatańcował z panią, jak Boga tego kocham.

— I mój ojciec cierpi na reumatyzm, więc wiem, jaka to przykra choroba.

— Niechno się pani dotknie, aksamit, prawdziwy aksamit!.. jak Boga tego kocham!.. Jucha, Jędrak, jeździł po niego sam do Warszawy!.. — mówił, pokazując pokrycie wielkiej, staroświeckiej kanapy. — I sprężyny nowe, o!.. — grzmotnął pięścią, aż zadźwięczały. — Pod bykiemby się nie złamały, a cóż dopiero pod panią, jak Boga tego kocham.

— Wierzę — szepnęła, tłumiąc śmiech.

— A oto, uważa pani, malunki dawniejsze. — Pokazywał jakieś mitologiczne sceny. — Ksiądz nasz na nie trochę się skrzywił, bo to, za pozwoleniem, ździebko za gołe są te pannice, ale wyrzucić było mi szkoda, bo ramy massyw... stuknął kijem z rozkoszą w bronz. — Więc co by oczów nie paskudziło, kazałem stolarzowi, jak Pana Boga tego kocham, lakierem trochę popendzlować, i jest fertig!.. co, ładne?..

— Bardzo ładne!.. — przypatrywała się z zajęciem wspaniałym ramom w stylu cesarstwa, bo obrazu nie było widać, szerniał pod lakierem stolarskim, tylko dwie główki bogiń jaśniejszą plamą wychylały się z tej czerności.

— Ale to pokój stołowy. Uważa pani, jakie to wszystko!.. — zaczął otwierać kredens, wysuwał szuflady, próbował kluczy, dzwonił z rozkoszą pięścią w deski i blaty stołów.

— Dąb rzetelny, jak Pana Boga tego kocham, u nas wszystko musi być faj!..

— Istotnie, bardzo ładny pokój... — odparła, z zajęciem przypatrując się widokowi, jaki się roztaczał przez okna, na jeziorko i park.

— Co?.. ładne?.. aha!.. mówiłem sam, że się to pani będzie podobać, latem to tylko ptaszyszków bywało za dużo, darły się całe noce, że nie można było spać, ale jak je Jędrus przestrzelał, to ich teraz mniej.

— Słowiki?

— Jest tego paskudztwa najwięcej. Chodźmy do salonu, bo to wszystko nic, ale zobaczy pani, jak Jędrus zmyślnie wszystko wykalkulował; jucha chłopak, do wszystkiego zdatny, jak Pana Boga tego kocham. — Odchylił kijem portjerę i puścił ją naprzód.

Salon był ogromny, o czterech oknach, bardzo wysoki, z rodzajem estrady dla muzyki, i przeladowany cennymi meblami i sprzętami.

— He, he!.. jak Boga tego kocham, niby kościół, niby królewski dom!.. a co?.. niechno pani weźmie! — zawołał, podając jej koniec stopy z jedwabnej gipjury. — Materja! a jaka gruba! co?.. takich sam sędzia Łomiszewski nie ma. A jakie to cacane, kiejbę z cukru! a co!.. — wołał, wskazując kijem garniturek mebli w stylu rococo, ozdobiony złoceniami i malowidłami ręcznymi na jedwabnym pokryciu. — Trochę to puszczalo, rozłaziło się, ale tapicer wyreparował, wymalował, matka wycerowała, i teraz fertig!.. a!.. fajnowe, jak Boga tego kocham.

Janka z wielką ciekawością, a nawet zdziwieniem, przypatrywała się ślicznym wazonom z saskiej porcelany, stojącym na ogromnym, marmurowym kominku.

— Porcelena! rozbiła się, jucha, ale stara lakiem skorupy zlepiła i ślicznie, jak Boga tego kocham... albo te malunki! i w kościele niema lepszych, a co ramy, to nasze sto razy więcej warte, żyd chciał je kupić na funty, ale szelma!..

— Mój ojciec, na chwileczkę!.. — zawołał Andrzej, wchodząc do saloniku i, usłyszawszy rozmowę, odciągnął starego trochę w bok, coś mu szepnął takiego, że stary odsunął się gniewnie, stuknął kijem, nasrożył wąsy i szepnął:

— Mówię ci, głupiś! ja wiem, co mówić! — i wrócił do Janki.

— Panie Andrzeju, ależ to same prześliczne antyki te meble.

— Szczęśliwy jestem, że się pani podobają! — odezwał się uradowany.

— Jeszczeby też!.. za samo odnowienie wezmą te skurczybyki!..

Niechże ojciec nie nudzi pani takimi szczegółami. Panno Janino, czy tak, jak jest urządzony i ustawiony, zostać może?.. podoba się pani?.. — mówił prędko, przysuwając się do niej, aby odgrodzić od ojca.

— Podoba mi się bardzo, chociaż zaproponowałabym maleńkie zmiany.

— Niech pani będzie tak dobra wskazać tylko, co zmienić, co przestawić, co wyrzucić, a wszystko natychmiast się zrobi.

Stary szturchnął go kijem z tyłu, przestraszony, że obiecuje wyrzucać takie cenne rzeczy.

— Wie pan, teraz niech tak zostanie wszystko, to już chyba później pomyślimy, razem.

— Tak, tak, ma wielmożna pani rację, jak Boga tego kocham. Las kupuj latem, a ścinaj w zimie, będziesz spał w pierzynie. Ha, ha!.. a co?.. Co się odwlecze, to nie uciecze. Kto robi później, sakwy nie wypróżni! Rozum w głowie ma wielmożna pani fajna.

Przeszli do dalszych pokojów, cały parter był już zupełnie skończony. Janka oglądała długo, bo to mieszkanie imponowało jej swoim wielkopańskim wyglądem: nie dostrzegła ani starości i zniszczenia mebli, ani grubej, ordynarnej roboty odnawiaczy, bo ją olśniewały wspaniałe dywany, portjery aksamitne i jedwabne, pokrycia mebli, meble złożone, stoliki inkrustowane metalami i kością, biurka i szafeczki z mahoniem, z ozdobami z brązu i z nogami świeżo dopasowanymi, powleczonymi czerwonym bejcem; marmurowe kominki z kratami ze złożonego brązu wywierały na nią wpływ magnetyczny — kiedyś marzyła o takich kominkach, spotykała się z nimi dotychczas w romansach tylko. Wielkie zwierciadła przeźółkle, w połowie ośleple, we wspaniałych, świeżo odzłożonych ramach barokowych, patrzyły ze wszystkich stron, jak zamierające smutne oczy; nie widziała tego, bo rada spostrzegła odbicie swojej postaci, bo ją porywało to mieszkanie. Oglądała po kilka razy jedno, cieszyła się, jak dziecko, ze świetnie błyszczącej zabawki, ale nazewnątrz nie objawiała zadowolenia, tylko chodziła wyniosła, majestatyczna, wspaniała, bo te wielkie i wysokie pokoje, te sprzęty staroświeckie, ten przepych butwiejący oddziaływał na nią szczególnie, czuła się, jakby na scenie, jakby w jakiejś roli margrabiny, więc bezwiednie przybierała odpowiednie ruchy, gesty, spojrzenia, nawet dźwięk głosu modulowała inaczej.

Kończyli już oglądać, gdy stara się zjawiała, zapraszając na podwieczorek do siebie.

Przez korytarz, łączący pałac z oficyną, i kuchnię pustą, bo wszystkie służące uciekły do sieni, i tylko przez szparę niedomkniętych drzwi widać było ich oczy, przeszli do jadalnego pokoju Grzesikiewiczów. Przy stole panowało milczenie, bo stary nie wiedział o czym mówić, matka krzątała się, przynosząc całe góry rozmaitych przysmaków, a Andrzej był onieśmielony spojrzeniami Janki, jakimi obrzucała pokój i rodziców.

Dopiero pod sam wieczór, kiedy ostatnie miedziane zorze zapalały się na zachodzie, przyjechała Józia i rozmowa się ożywiła.

Głębińska była w szczególnie wesołym usposobieniu dnia tego. Ucałowała Jankę z serdecznością, śmiała się, żartowała z Andrzeja, piła wódkę z ojcem i co chwila zarzucała przyszłą bratową gradem całym zachwyty, wypowiedzianych w połowie po francusku, w połowie po polsku.

— Matka, słyszysz?.. Józia gada po zagranicznemu! — zawołał zdumiony Grzesikiewicz, bo uczenie się francuskiego języka Józia trzymała w wielkiej tajemnicy.

— A juści, abo to w klasach była! abo się uczyła od gubernantek?.. — wątpiła prosto stara.

Józi kolorowe oczy zamigotały wściekłością, przykryła je śpiesznie binoklami i szepnęła ironicznie po francusku do Janki.

— Musi się pani uzbroić w wielki zapas pobaźliwości dla naszych rodziców.

— Józia, a to jak Boga tego, mów no po ludzku, człowiek siedzi, jak na kazaniu niemieckiem, a to ino szerc... szerc... — zaczął komicznie przedrzeźniać.

— Ach, jaka pani dobra, jaka dobra, tego nie wypowiem, że pani nas odwiedziła, i myślę, że i o mnie nie zapomni pani. Proszę o to koniecznie, z całą serdecznością, no, dobrze?.. panno Janino!..

— A i owszem, jeśli pan Andrzej zechce mnie zawieźć do pani.

— Kiedy tylko pani rozkaże, jestem przecież na rozkazy.

— Przyjedźcie, tylko z pewnością, będzie to prawdziwe święto dla nas, moja droga panno Janino!.. — i tak się przymilała, tak łasiła, takimi pieszczotliwymi akcentami drgały jej słowa, że stary szepnął cicho do żony:

— Jucha, musiała kogo oszwabić, kiedy taka ucieszna dzisiaj.

— Widziała pani już pałac?.. prawda, że ładny.

— Bardzo ładny, nie myślałam nawet, że tak w nim pięknie.

— Królewskie mieszkanie, ale dla pani niema nic zbyt wspaniałego, nic, słowo honoru daję, że jestem z pani dumna.

Jankę mieszały jej słowa, odczuwała pod temi gładkimi i pięknymi frazesami nie-szczerość, zresztą była bardzo czuła na szarżę, a Józia przesadzała w czułościach i komplementach, nawet Andrzej spoglądał na siostrę trochę niespokojnie i ze zdziwieniem, nie poznawał jej.

Gdy zmierzch się zrobił i księżyc wypłynął z nad lasów, Janka podniosła się do odjazdu. Pożegnała się ze wszystkimi bardzo serdecznie. Stary sam ją wsadzał do sanek, okrywał jej nogi, i gdy sanki pomknęły z brzękiem z pod oficyny, szepnął:

— Jucha ten Jędrek, wybrał se pannicę niby łanię, jak Boga tego kocham, będzie chłop używał.

Józia spoglądała za odjeżdżającymi ironicznym, drwiącym wzrokiem.

VI

— Pojedziemy się przejechać, panno Janino!

— Gdzie tylko pan chce.

— Walek, jedź do szosy. Co było niewłaściwym, to niechże nam pani daruje!.. — zaczął nieśmiało.

— Ależ, panie Andrzeju, daję słowo, że te kilka godzin, przepędzonych u państwa, sprawiły mi prawdziwą przyjemność, za którą panu serdecznie dziękuję.

— Gdyby pani wiedziała, jak panią kocham, jakiego szczęścia pragnę dla pani! — mówił gorąco, okrywając jej ręce pocałunkami. Zamilkł, bo wjechali na szosę i konie ruszyły z kopyta; przygarnął ją do siebie ręką i siedzieli tak, milcząc i poddając się rozkoszy: on siedzenia przy niej, trzymania jej prawie w objęciu, że czuł jej oddech na twarzy; ona zaś temu nieokreślonemu uczuciu zadowolenia, jakie wywiozła z Krosnowy.

Konie biegły tak szalenie prędko, że w półtorej godziny zrobili trzy mile. Stangret wjechał do Miechowa i przystanął przed cukiernią.

— Jaśnie panie, koniom trza dać zipnąć i przegryźć co — tłumaczył.

— A dobrze, wytrzyj je, pookrywaj, niechaj wytchną, bo za godzinę wracamy. Panno Janino, wstąpimy do cukierni na herbatę.

— Doprawdy, wołałabym poczekać w sankach.

— Nie, nie zgodzę się na to, zaziębiłaby się pani.

— Tak, ale znowu... — wahała się chwilę, wreszcie wysiadła i weszli do cukierni. Wybrała jakiś zacieniony więcej stolik.

Kończyli prawie herbatę, gdy przed dom zajęchały z brzękiem sanki i do środka wpadł młody, czarno ubrany człowiek.

Andrzej podszedł do niego i zaraz go przyprowadził i przedstawił.

Był to Witowski.

— Wyjechaliśmy z Krosnowy przejechać się, ale że sanna świetna, konie szły dobrze, więc znaleźliśmy się aż tutaj — objaśniał Andrzej, robiąc mu miejsce obok siebie.

— I mnie spotkało coś podobnego. Jadzia pojechała do Jasinowskich, wybrałem się po nią i po drodze wstąpiłem na czarną kawę.

— No, po drodze nie tak bardzo, dziesięć wiorst wbok — zaśmiał się Andrzej.

— Tak, ale mojemu końmi dwadzieścia minut.

— Kiedyż jedziesz za granicę?.. chłopiec! kawy gorącej i koniaku!

— Dopiero po ślubie państwa! — skłonił głowę przed Janką. — A czekam dosyć niecierpliwie, pomimo, że Ada chce mnie powstrzymać, jak można, najdłużej.

— To musi być dosyć nudne jechać daleko koleją.

— Jak dokąd, jak z kim i jak kiedy!.. — odpowiadał i pił wolno czarny ukrop, biorąc szklanek w obie ręce i ustawicznie przyglądał się nieznacznie rzucanymi spojrzeniami Jance, która siedziała milcząca i zmieszana nieco: i jego obecnością i swoim sam na sam z nimi; przytem mieszały i irytowały ją jego spojrzenia jakiegoś badawcze, a lekceważące, jego ton poufały i obejście swobodne.

— Lubi pani sannę? — zapytał, stawiając szklanek.

— Czemuż pan nie zapytał, czy ser lubię?.. i tem możnaby zacząć rozmowę — odpowiedziała dosyć porywczo, bo ją oburzył impertynencki, niedbały ton zapytania.

Witowski odwrócił się cały do niej. Przez chudą twarz o czarnych, głębokich oczach, przebiegł jakiś twardy ton, skłonił się z powagą.

— Ponieważ nie zawiniłem, więc niesłusznie mnie pani karze; ale, że widzę panią po raz pierwszy, że jest pani narzeczoną Andrzeja, że chcę żyć w zgodzie, więc niech mi pani zapomni przykreść mimowolną. — Wyprostował się na krześle i spojrzał na nią prosto.

Zmieszała się, bo to spojrzenie miało taką siłę, że głowa jej drgnęła jakimś poprzecznym ruchem, poprawiła się na krześle.

— Pani mi odpowie? — dodał.

— Tem, że sannę lubię bardzo.

— Przypuszczam, że pani nie zna prawdziwej sanny, bo konie Andrzeja, chociaż nie-
złe, ale człapak, chodzą trochę szybciej od wołów.

— Przesadzasz i to bardzo, trzy mile jechaliśmy półtorej godziny.

— To większa przesada, daję ci słowo, ale co tam, jedźcie państwo ze mną, odwiozę was do Bukowca. Zobaczycie pani i poczuje prawdziwą jazdę sankami.

— To znaczy, z wywróceniem — uśmiechnęła się.

— O, nie, a zresztą, to zależy od szczęścia.

— Miałaś pojechać po pannę Jadwigę — wtrącił Andrzej, bo nierad był z propozycji Witowskiego.

— Jasinowski ją odwiezie. Ale uprzedzam, że będziemy jechali szalenie.

— Zgoda, ale wracam do wywrócenia...

— O tem nie mogę nic mówić. Mnie to nie obchodzi zupełnie, bo wiem, że jeśli się to stanie, to mnie nic nie będzie, ale czy państwu nie, tego nie wiem.

— Bardzo ciekawa pewność, z jaką pan mówi, że nic się panu nie stanie. Gdybym była panem Andrzejem, wystawiłabym ją na próbę — mówiła wesoło, bo wydał się jej zarozumiałym pozerem.

— O, lubi pani eksperymentować...

— Jedyne sposob sprawżenia.

Zamilkł na chwilę, zaczynała go interesować, bo przedtem był prawie pewny, że skoro jest narzeczoną Jędrusia, więc musi być, ot, zwykłą sobie gąską, tymczasem zdziwiła go. Znajdował zupełnie co innego.

— Dobrze, spróbujemy! — ściągnął brwi, aż mu na czole wystąpiły podłużne pręgi, formujące rzymską piątkę. Kazał zajeżdżać swemu stangretowi.

— Więc jedziemy?

— Nie, dajmy spokój, panno Janino, z tego może być jeszcze nieszczęście.

— Może być, ale czas jeszcze się cofnąć — szepnął ironicznie Witowski.

— Sprawdzimy. Przecież pana Witowskiego konie nie mogą prędzej biec od pańskich?

— A to djably, nie konie. Więc, chce pani? — zapytał, myśląc jeszcze, że Janka się cofnie.

— O, proszę tylko — odpowiedziała stanowczo, bo przysłonione oczy Witowskiego jakby szydziły.

Andrzej kazał swojemu jechać za sobą. Wsiedli w sanki Witowskiego, długie i wysłane niedźwiedziem futrem.

Stangret ściągnął lejcami niewielkie, w białe łaty, zmudzkie koniki, pokrywane siatkowymi kapami i obejrzał się na sygnał.

Janka siedziała w środku.

— Ruszaj!.. a za miastem ze wszystkich sił! — zawołał Witowski.

Istotnie, za ostatnim domem, stangret zaczął świstać batem, i konie ruszyły jak strzała, prostą, wyszlifowaną drogą.

Noc się rozciągała nad ziemią; po granatowych głębiach, roziskrzonych miliardami gwiazd, płynął księżyc, rozsiewał i mżył pyłem świetlistym po śniegach stwardniałych, przesrebrzał nagie przydrożne drzewa, pokryte osiędzielizną, co puchem szklistym zwieszała się i trzęsa za każdym drgnieniem powietrza; drzewa stały długim, nieskończonym szeregiem szkieletów, jakby z masy perłowej i rozwichrzonemi, pokreconemi żałośnie koronami patrzyły w niebo i w tę noc dziką zimy i pól pustych, otoczonych na dalekim widnokregu sinemi wałami lasów, niby jakiegoś morza falami, co zastygły i skamieniały. Po drodze, wytartej płozami sań, po śniegach, pokrywających pola jednostajną zimną białością, po drzewach, po krzyżach przydrożnych oszroniałych, wyciągających czarne ramiona na rozdrożach, włóczyły się i przebiegały błyski świetliste i skrzyły się tajemniczo i nieuchwytnie, niby jakieś widmo światła i barw lata umarłego. A tam, pod wzgórzami białymi, siedziały cicho wsie długie, jakby wielkie jakieś ostygłe potwory, o setkach czworokątnych czerwonych oczu i zdawały się uciekać z pośpiechem wtył.

Mród brał coraz siarczystszy, konie pokryły się białą pianą i tak leciały, że prawie brzuchami dotykały drogi i tylko od czasu do czasu kwiczały dziko i biły kopytami coraz szybciej.

— Dobrze pani? — zapytał cicho Witowski.

— Prędejj! prędejj!.. — szeptała, upojona tym ruchem szalonym.

Witowski skoczył na kozioł, schwycił lejce i zaczął poświstywać na konie; zarżały radośnie, świsnął je batem; tak poderwały sanki i poniosły, że gdyby był Andrzej wpół nie uchwycił Janki, byłaby wyleciała z siedzenia.

Zaczęła się prawdziwie szalona jazda. Tchu nie mogli złapać. Wsie, drzewa, krzyże, karczmy, przestrzenie, wszystko to zlało się w jakiś kłęb splątany, migający, niewyraźny, który się przewalał z niezmierną szybkością i toczył jakby w przepaść jakąś; a oni porwani, oniemieli, z dziką radością w sercach lecieli... lecieli... lecieli...

Śnieg, pryskający z pod kopyt końskich, zasypywał im twarze i palił płomieniem.

— Czy teraz dobrze? — rzucił drwiąco.

Nie odpowiedziała, bo nie miała sił i strach jakiś bezwiedny jeszcze przysłał jej oczy krwawym tumanem; przyciskała się do Andrzeja, który ją trzymał silnie, ale i w nim niepokój rósł co chwila większy, bo konie szalały, zaczęły kwiczeć dziko i rzucać się wbok, ale Witowski trzymał je na wodzy żelazną ręką, smagał potężnie, zmagając do biegu i od czasu do czasu Janka widziała jego profil, zwrócony do siebie, i czarne, zimne oczy i ten uśmiech dziwny, który ją przejmował dreszczem, ale za nic na świecie nie przyznałaby się do obawy; zaczynała tracić przytomność, zesłabła, czuła szalony zawrót głowy, porywały ją te charakterystyczne mdłości, jak przed chorobą morską, omdlewała ze wzruszenia, ale milczała.

Przelecieli las jak burza, tylko ostre, gwałtowne dźwięki dzwonek pozostały po nich i leciały po cichym, oniemiałym lesie, i, jak burza, wpadli przed stację. Zatrzymał konie tak gwałtownie, że zaryły nozdrzami w śniegu.

— Nie chciało się nas uczyć nieszczęście! — rzekł Witowski spokojnie, oddając lejce stangretowi.

Janka wysiadła śpiesznie, ale, stanąwszy, zachwiała się i upadła zemdlnona w śnieg.

— Histeryczka! — mruknął Witowski, obwinał się futrem i, nie żegnając się z nikim, kazał wykręcić i odjechał.

Andrzej, przestraszony, porwał Jankę na ręce. Panna Martyna i Marja z Janową zajęły się nią i przywracały do przytomności, a on, nie śmiejąc wejść do pokoju, siedział w kuchni i gryzł ręce i wąsy ze złości na siebie.

Przysłuchiwał się przez drzwi narzekaniom kobiet i płaczom żalonym Janowej i taka go rozpacz ogarnęła, że tłukł obcasem w skrzynkę, aż deski pękały, rzucał się do drzwi i chciał wejść siłą do pokoju, gdzie leżała Janka, ale Martyna rozkrzyżowała się we drzwiach i głosem wyniosłym powiedziała:

— Nie można!.. jaśnie pan wiedzieć powinien, że nie wypada panu tutaj wchodzić.

Ale w kilkanaście minut okropnych dla niego, bo zdawało mu się, że Janka już umarła, usłyszał jej głos. Wpadł, niby wichura i, nie zważając na kobiety, przedarł się do sypialni i upadł przy łóżku na kolana, okrywając jej ręce pocałunkami i przeprasząc najszczerzej jak mógł.

— Moja wina, niech mi pani daruje, znam przecież tego djabła, onby poświęcił cały świat, ale pocom się ja zgodził. Doprawdy, myślałem, że pani już nie żyje.

— Nic mi nie jest, zwyczajne omdlenie z nadmiaru takich silnych wrażeń, za silnych — mówiła z uśmiechem i przymykała oczy, przechylała się nieco wtył na poduszce, bo się jej wydawało, że jeszcze jedzie.

— Nie, jak Pana Boga kocham, nie daruję! — wykrzyknął.

— Przeciwnie, proszę pana bardzo o to, zapomnijmy... to była moja wina, ja tego chciałam. Czy pan Witowski już odjechał?

— Zapewne już w domu.

— Pierwszy raz w życiu zemdlałam, zrobiło mi się tak słabo, tak się zakręcił świat ze mną, że pamiętam tylko tyle, jak upadałam, a później nic. Może się umiera tak samo.

— Niech pani nie mówi o śmierci.

— Boi się pan śmierci?

— Przyznam się szczerze, że przedewszystkiem staram się nie myśleć o niej, bo mnie zaraz dławi jakiś okropny strach. O, tak, boję się śmierci, boję.

Rozmawiali jeszcze chwilę i wkrótce Andrzej odjechał, a Janka, nie mogąc usnąć, rozmyślała o Witowskim. To oczy jego wyglądały ze śnieżnych, roziskrzonych przestrzeni i chwiały się z powiewem wiatru, płonął ponuro; to profil jego suchy, twardy, migotał tuż przed nią, to ten spiżowy głos słyszała tak wyraźnie, że przejmował ją dreszczem, i jakieś ciepłe nieznane fale pulsowały w jej żyłach.

Zaczynał zajmować jej wyobraźnię, myślała o nim dłużej i aż się zdziwiła, uswiadomiwszy sobie, że tak wiele się nim zajmuje; ale, pomimo, że odsunęła go w głąb pamięci, chciała się dowiedzieć bliższych szczegółów o nim. Zaciekawiał ją i podrażniał.

Miała się spytać Andrzeja, który na drugi dzień przyjechał wcześniej, aby się dowiedzieć o jej zdrowie; ale, spojrzawszy w jego szczerze, pełne miłości oczy, zaniechała, bo przesunęła się przed nią twarz tamtego, i bezwiednie porównywała.

— Może i dzisiaj zechce się pani przejechać trochę? — proponował.

— Dziękuję, ale na dosyć długo starczy mi wrażeń wczorajszych.

Nie szła im rozmowa dzisiaj, Jankę mieszały jego czyste, gorące spojrzenia, jakimi ją obrzucał, głos jego ją drażnił, bo z powodu przeziębienia chrząkał trochę, zawadzał jej, bo musiała z nim siedzieć, i nawet z pewną ulgą pożegnała go i powróciła do szwaczek, które już kończyły szyc wyprawę. Martyna śpieszyła się gorączkowo, bo czekały na nią konie z jakiegoś dworu, gdzie miała zaraz jechać.

— Jadę do państwa Borzęckich; magnacki dom; starsza córka, panna Cecylja wychodzi zamąż, za jakiegoś Wiśniewskiego, doktorzynę z Warszawy; mezaljans, ale podobno się kochają! — skrzywiła się ironicznie. — Jakże się pani podobał przysły pani dom? — zapytała i pochyliła głowę nad spodkiem z konfiturami, nabierając wiśnie na igłę, żeby ukryć drwiący uśmieszek, jakiego powstrzymać nie mogła.

— Bardzo mi się podobał, prześlicznie urządzony, z przepychem niesłychanym.

— Chamskim! — myślała Martyna i wybladłe jej oczy zaświeciły pogardą.

— Wie pani, będzie temu dwa lata, szłam wyprawę u państwa K. na Litwie, magnacki dom, jedynaczka ich wychodziła zamąż za pana Włodka, prześliczny mężczyzna. Na tydzień przed ślubem pojechali na spacer sankami, panna się zaziębiła i zachorowała, nie umarła wprawdzie, ale małżeństwo się rozwiło, bo rodzice uważali, że to zły znak.

— Więc?.. — zapytała się Janka, odwracając się szybko do niej.

— Ja nie chcę przez to powiedzieć, nie, tylko mi na myśl przyszło pani zemdlenie i przypominałam sobie tę historję. To się czasem tak dziwnie składa, to takie dziwne rzeczy nieraz przychodzą, niewiadomo skąd... — mówiła takim złowróżbnym głosem, że Janka zirytowała się i odeszła do swojego pokoju, ale Orłowski zawołał ją do saloniku i zaczął cicho wypytywać o Krosnowę i o jej zdrowie.

Opowiadała mu szczegółowo, zdawał się nie słyszeć, patrzył tępym, zmąconym wzrokiem w okno i automatycznie gładził brodę; gdy skończyła, rzekł najspokojniej:

— Jakże tam w Krosnowie? pałac ładny? przyjęli cię szczerze?

— Ależ w tej chwili opowiadałam o wszystkim, nie słyszał ojciec, co ojcu jest?

— Nic, nic, a prawda, słyszałem, dywany, bronzy, porcelana sewrska, stołowy wykładany dębem, prawda, słyszałem. Więc idziesz za Andrzeja? — zapytał, podnosząc na nią ciężko oczy i z takim dziwnie przejmującym akcentem, że zadrżała.

— Dlaczego ojciec pyta się w ten sposób? — zawołała przestraszona i chciała go ująć za rękę.

— Nie, nie!.. — zakrzyknął, cofając się gwałtownie. — Widzisz, myślałem, żeś się rozmyśliła, że... że... — mówił wolniej i raptownie podniósł się i wyszedł do swego pokoju.

— Chory! — pomyślała i w chwilę potem zajrzała za nim.

Orłowski stał przed biurkiem z twarzą pochyloną do ściany, nieruchomo i cicho.

Cofnęła się z niepokojem w sercu i napróżno starała sobie wytłumaczyć jego stan, ale uspokoiła się, bo przy wieczornej herbacie, gdy zostali sami — szwaczki już odjechały — Orłowski był w zwykłym usposobieniu, zauważyła tylko jakiś ledwie pochwytany odcień zdumienia, czy przestachu, jaki miał w oczach, i to, że, odchodząc spać wcześniej niż zwykle, nie pocałował jej.

Przeczuwała, że ma jakieś wielkie zmartwienie, że musiało go coś spotkać na służbie i, chcąc się dowiedzieć, poszła do Zaleskich. Byli oboje w domu, ona grała, a on próbował śpiewać jakąś wielką arję, bo teraz słyhać go było na stacji dnie całe wyśpiewującego nieustannie.

Usiadła, milcząc, żeby doczekać się końca śpiewu. Henio wypręzał się po bohatersku i z ręką na sercu, w pozie tenora heroicznego wydzierał wprost głos z siebie i rzucał zabójcze spojrzenia na żonusię, która, jakaś rozpromieniona, z rozrzuconą grzywką, spotniała od wysiłku, zdenerwowana, poddawała mu głosem i dźwiękami tony i wybijała jeszcze od czasu do czasu takt nogą.

— Jakże się pani mój głos podoba, prawda, że jest? — skromnie pytał po skończeniu.

— Zdumiewający! przepraszam, że przeszkadzam, ale przyszedłam z prośbą.

Henio się wyprężył, wyciągnął mankietki, musnął wąsiki, skłonił nisko, przysunął krzesło, usiadł z miną bardzo poważną i bardzo wdzięczną i słuchał.

Opowiedziała mu swoje przypuszczenia co do ojca.

— Nic nie wiem, nic, daję słowo! — rzekł patetycznie, ale jakoś zeszytywniał, spoglądał przelotnie, porozumiewająco, na żonusię, która słuchała rozmowy z twarzą zatopioną w nutach rozłożonych na pulpicie. Jankę zdziwiło jego zachowanie się, odczuła, że ukrywa coś przed nią, i utwierdziła się jeszcze bardziej w przypuszczeniach. Pożegnała się prędko i wstąpiła do kancelarji, aby zapytać się Stasia, bo obawa jakaś ciemna, a bolesna, przepętniała jej serce, ale w kancelarji był Karaś, pokazywał pod światło karty z pornograficznymi rysunkami i śmiał się jakimś ohydny śmiechem, podobnym do rechotania świń. Staś, rozczzerwioniony, z oczyma na wierzchu, niby żaba wpatrująca się w słońce, stał i patrzył. Zamknęła prędko drzwi i wróciła na górę.

— Dlaczego ja się denerwuję? — myślała. — Przecież nic się nie stało, nic! — i szukała myślą przyczyn tego dziwnego nastroju; nic nie znalazła, ale, pomimo to, zdenerwowanie nie ustępowało, niepokój rósł i coraz gęstszymi włóknami opasywał jej serce.

Następnego dnia Andrzej nie przyjechał wcale; czekała go do późna.

— Musiał gdzie pojechać... nie mówił mi, że wyjedzie... — przypominała sobie i po kilkakroć szła do kuchni, aby oknem popatrzeć na rozszerebrzony las, na pusty podjazd i na długą białą wstęgę drogi, ginącą w lesie. Pusto było wszędzie i cicho.

Orłowski milczał cały wieczór i chodził zgarbiony dokoła stołu, targał brodę, rzucał ramionami i znowu, nie całując jej na dobranoc, odszedł do siebie.

— Co to jest? dlaczego? — myślała.

Następnego dnia Andrzej także się nie zjawił.

Janek zaczęły trapić dręczące, złe przecucia.

Szły na nią, jak te chmury ołowiane, ciężkie, jakie zaczęły zasnuwać horyzont i zaciemniać świat, jak te wichry, które zrywały się z pól, porywały kłęby śniegu, tarzały się w śnieżnych tumanach i ginęły w nagłej, przerażającej ciszy.

Niepokoilo ją niepokazywanie się Andrzeja, przstraszał ojciec, który całą noc chodził po swoim pokoju i rozmawiał z sobą. Dręczyło i rozdrażniało ją wszystko.

Nie mogła spać w nocy, bo Zaleska grała dłużej i smutniej jakoś tego wieczora; słuchając tych oddalonych łkających dźwięków, zdawało się jej, że to las tak płacze i skarży się. Wyglądała oknem w noc ciemną, burzliwą, rozwianą wichrami, szalejącą, i uczuwała, że ją dławi strach mocny i okropny, patrzyła się rozszerzonymi oczyma w zawieruchę, co, niby orkan, kłębiła się, wirowała w olbrzymich lejach i biła niestrudzenie w las, który się pokładał, jęczał, gwał, ale wstawał i rozsrożony, straszny jakiś, w obłokach kurzawy, huczał ponury hymn walki.

— To okropne! — szeptała, siadając na łóżku, a nie mogąc wysiedzieć, zrywała się, jakby chcąc uciekać, i padała na małą otomankę, skręcała się w kłębek, chowała głowę i leżała tak długo, uspokajając się powoli rozmyślaniami.

Andrzej znowu nie przyjechał. Janka, pomimo, że ciągle sobie przypominała, iż go nie kocha przecież, że nic jej nie obchodzi, czy on jest, lub go niema, powiedziała ojcu, że należałoby posłać do Krosnowy i dowiedzieć się, co się tam stało.

— Widziałem pana Grzesikiewicza w bufecie — powiedział Świerkoski, słysząc jej słowa.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Przywidziało się panu. Ręczę, że gdyby był w bufecie, byłby i tutaj! — odpowiedziała gniewnie. — Czego ten idjota chce, poco dzisiaj przyszedł? — pomyślała.

— Ręczę pani, że w bufecie był. Wydawał się jakiś zmartwiony, wpadł do bufetu, siedzieliśmy z Karasiem i oglądali nowe karty, jakie sprowadził z Sosnowca, przystanął przy nas, popatrzył i zaraz wyszedł; myśleliśmy, że poszedł, jak zwykle, do państwa.

— Nie był, musiał mieć ważny interes i brakło mu czasu... — szepnęła, jakby usprawiedliwiając.

— O tak, przecież narzeczony może mieć interesa ważniejsze, niż odwiedzanie... może... tak...

— Z czegoż się pan śmieje? — zawołała porywczo, bo po ustach Świerkoskiego przesunął się zjadliwy uśmiezek.

— Nie śmieję się, wydaje się pani — powiedział poważnie, wsuwając ręce w rękawy.

Spoglądała na niego podejrzliwie, bo ją uderzył jego suchy, szydzący akcent.

Świerkoski dzisiaj był szczególny; nie poruszał się prawie na krześle, siedział prosto i sztywno, tylko oczy z błyskawiczną szybkością biegały mu po pokoju. W twarzy zamkniętej, więcej poóółkłej i bardziej jeszcze podobnej do pyska wilka, tkwił jakiś wyraz głębokiej radości, siłą powstrzymywanej, i triumfu, mówił bardzo mało i grał w warcabym z Orłowskim, a tak spokojnie przegrywał, że zawiadowca, zapominając o kłopotach, podrwiwał z niego.

— Dlaczego nie wstąpił, co to się dzieje? — myślała Janka, z odrazą odwracając oczy od Świerkoskiego i zadumywała się, nie odpowiadając na jego zapytania.

Nuda jakaś obrzydliwa i okropna po tem zdenerwowaniu przyszła i ogarniała ją całą, przesycała nawskroś i gnębiła niesłuchanie.

VII

Leżała na otomanie bezmyślnie zapatrzona w sufit, gdy Janowa przyszła powiedzieć, że pan z Krosnowy przyjechał i czeka w saloniku.

— To dobrze, zaraz przyjdę! — zawołała tak żywo, że aż się zarumieniła i długo patrzyła w lustro i poprawiała sobie włosy, nim wyszła.

Andrzej zerwał się z krzesła, pocałował ją w rękę i usiadł znowu, w roztargnieniu pokręcając wąsy.

— Co się z panem dzieje, czy pan chory? chciałam już dzisiaj z zapytaniem posłać Rocha.

— Zdrow jestem, nawet zupełnie zdrowy jestem, tak... tak... — mówił urywanie, podniósł się i patrzył na nią wahająco.

— Pan taki strasznie zmieniony!.. — spostrzegła jego dziwną, sinawą błądź, oczy podkrążone i świecące gorączką, usta białe i popękane.

Nie odpowiedział, zrobił kilka bezcelowych kroków, strzepnął kurz z serwety na stole, przekręcił nieco abażur, przystanął. Patrzył się teraz prosto w jej oczy, ale takim zmęczonym, bezbrzeźnie żalonym wzrokiem, że zatrzęsła się z trwogi. Drżącymi rękoma rozpiął surdut i długo szukał portfela, z którego wyjął niewielki, w długiej kopercie list i podał jej. Potem upadł na krzesło, jakby z absolutnego braku sił, oparł czoło o stół i szeptał głucho:

— Niech pani przeczyta, niech pani przeczyta, niech pani... — urwał, brakło mu głosu i sił do mówienia.

Janka najspokojniej wzięła list i czytała.

„Panie! Bardzo życzliwa osoba poczytuje sobie za święty, chrześcijański obowiązek przesłać panu ostrzeżenie: Ta, której pan dajesz swoje nazwisko, która ma być matką twoich dzieci, żoną twoją, jest najpospolitszą awanturnicą. Że była w teatrze, wie pan o tem, ale o tem, że była kochanką niejakiego Kotlickiego, później Głogowskiego literata, a wkońcu Niedzielskiego, zwykłego szubrawca teatralnego, o tem zapewne szanownemu panu nie zdążyła jeszcze powiedzieć ta, która z taką pogardą patrzy na świat i zwykłych uczciwych ludzi. Nie powiedziała prawdopodobnie i o przyczynach, jakie ją zmusiły szukać przed hańbą ucieczki w samobójstwie. Spytaj się jej pan.

Złączam adres osoby, u której mieszkała w Warszawie, ta panu może bliższe, ciekawsze szczegóły opowiedzieć. Później, kiedy pan odtrąci ją od siebie, kiedy odetchnie powietrzem czystym i uspokoi się, osoba, która pana ostrzega, da się poznać, żebyś wiedział, kto czuwa nad twojem nazwiskiem, a przedewszystkiem, nad twojem szczęściem”.

Podpisu nie było żadnego, data z przed trzech dni.

Janka czytała wolniej, coraz wolniej, odrywała oczy od listu, patrzyła chwilę przed siebie, oddychała głęboko i czytała dalej, chwilami nie rozumiejąc nic, bo litery zlewały się w jedną czarną plamę i krew z takim szumem napływała do głowy i huczała w skroniach, że chwiała się z nią wszystko.

Upadła na krzesło, taki okrutny spazm żalu ścisnął jej serce. Opuściła głowę bezwładnie, bo wszystka moc ją odbiegła, tylko zażawionemi oczyma patrzyła w próżnię i zdawało się jej, że słyszy jakiś potwarczy, nieubłagany głos, mściwie krzyżący:

— Była kochanką Kotlickiego! Głogowskiego! Niedzielskiego! — i ten głos smagał ją okropnie, rozdzierał jej wprost mózg hukami i rozpręzał wszystkie tętnice bólem.

Andrzej patrzył na nią i pił spojrzeniem z jej źrenic każdy błysk i każde uczucie.

— Czy to... prawda?... — zapytał wolno, ale tak wolno i ciężko, jak pyta umierający. Pot zalewał mu oczy świecące krwawo i rozpaczliwie, opierał się o stół, bo wydawało mu się, że zaraz padnie i umrze.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego takim dziwnym, okropnym wzrokiem, pełnym krzyku i rozpacz, że zadrżał, jakiś błysk nadziei przeleciał mu przez mózg: usta, oczy, cała twarz zaczęła mu latać, rękoma bił powietrze, nie mogąc tchu złapać i nagle, oślepiąca, śmiertelna radość, niby burza, zerwała się w nim; nie mógł mówić, trząsł się ze wzruszenia i rzucił się jej do nóg z okrzykiem jakimś dzikim i zaczął okrywać jej stopy i suknię pocałunkami.

Odsunęła go łagodnie, podniosła z ziemi list i oddała; a kiedy odbierał go, nie rozumiejąc nic, pochyliła się szybko, pocałowała go w rękę i wyszła z pokoju.

Stał osłupiały, zmartwiał, nieprzytomny i patrzył na drzwi, które wyszła.

— A! a! a!... — wyrwało mu się z gardła. Ubrał się cicho i wyszedł.

Siedział do sanek nieprzytomny i patrzył na stada wron, tłukących się po drodze, po kupach końskiego nawozu; uciekały przed końmi i opadały zpowrotem na dawne miejsca. Obejrzał się za niemi.

— Walek! gdzie ty jedziesz? Przecież mówiłem, że jedziemy do Bukowca! — zawołał ostro, spostrzegłszy, że jadą lasem.

— A dyć, jaśnie panie, przecie jedziemy z Bukowca.

— Głupis, zwracaj do Bukowca! To idjota dopiero!.. — dokończył ciszej i, gdy stan-gret spełnił rozkaz i wykręcił, Andrzej zaczął naciągać machinalnie rękawiczki, a kiedy

w parę minut zatrzymali się przed stacją, wysiadł, poszedł na górę i zadzwonił najspokojniej. Dopiero zobaczywszy Janową, która mu drzwi otworzyła, ocknął się, przypomniał sobie wszystko, zatrzęsł się cały i uciekł, rzucił się do sanek i krzyknął:

— Ruszaj!... prędziej!... — konie pomknęły tęgim klusem.

— Prędziej!... — wołał, wyrwał Walkowi bat z ręki i z całą wściekłością bił konie, aż zaczynały stawać dęba i rzeć.

— Prędziej!... prędziej, psiakrew, prędziej!... — krzyczał ochryplym głosem i bił zapamiętałe. Wreszcie upadł w sanie, zatkał sobie usta futrem, żeby nie krzyzczeć ze strasznego bólu, jaki mu żarł duszę.

— Ta święta! Janka! jego narzeczona, jego ideał, jest... Jezus! Jezus! Jezus!... ratuj, bo zwarzuję... — jęczał przez łkanie.

Chwilami siedział sztywno i bezmyślnie, patrzył na drogę, na las czarny, otrząśnięty wichrami ze śniegu, na sroki, które w porębie wieszały się na nasiennikach i krzyczały, i wtedy jakaś chwilowa cisza rozlewała się w nim i przytłumiła burzę.

Zamknął się u siebie i rzucał po mieszkaniu, jak rozszalałe zwierzę, tłukące głową o pręty klatki, która się nie otworzy. Ale ból i chaos nie ustępowały; wściekłość tylko dzika miotała nim coraz srożej i ten straszny, nieopowiedziany ból zawodów miłosnych przeplatał go nawskroś i gryzł. Po kilka razy chwycił rewolwer ze stolika i kładł go po chwili, bo zapominał o myśli, z jaką go brał, bo ten zamęt rozsadzał mu wprost czaszkę i wszystkie myśli i uczucia płałał i rozkładał.

Poszedł w podwórze na wieczorny przegląd gospodarstwa, ale na nic nie patrzył i nie pamiętał. Chodził z tym bólem, niby z nożem w sercu, i za każdym uświadomieniem sobie własnego stanu, chwiał się i potykał i chodził dalej bezprzytomny. Przy kolacji dopiero zwrócił uwagę na ojca, który, pijany potężnie, krzyczał o wódkę.

— Niech mama nie daje! — krzyknął ze złością i rozsrożył się.

— Jędręk, cicho!.. jak Boga tego kocham, cicho!.. matka, gorzałki postaw! — bełkotał stary i bił pięścią w stół. — Dziedzic tu jestem, to mnie słuchać, bo jak Boga tego kocham... pszoł wszyscy!.. Matka, mówię ci po dobremu, gorzałki postaw!.. — i kiwał się sennie i pluł co chwila na własny brzuch i na talerze, rozstawione do kolacji.

Stara przestraszona postawiła butelkę.

Andrzej ją porwał i rzucił pod piec.

Stary wytrzeźwiał odrazu, siadł prosto i zapytał:

— Coś ty Jędrus zrobił?

— Widzi ojciec, co zrobiłem; dosyć tego pijaństwa!.. — ojciec opija się, jak zwierzę.

— Bo mi się tak chce, Jędrusi! bo mi się tak podoba, synku! jak Boga tego kocham.

— Ale mnie się tak nie podoba, ja nie chcę, żeby się ojciec zapijał.

— Nie chcesz, Jędrusi! nie chcesz, mój jaśnie panie synku! aha, to niby ty chcesz, żeby ja nie pił... — przekomarzał się stary i oczy mu zaczęły błyskać wściekłością, a zęby latały jak w febrze.

— Niech mnie ojciec nie irytuje, bo... — krzyknął Andrzej, hamując z trudem gniew.

— No bo co?.. zbijesz mnie, wyrzucisz na śmieci, nie dasz jeść?..

— Pietruś! ady na rany Chrystusowe, proszę was, ludzie!.. — błagała stara, czepiając się obu i starając zażegnać burzę.

— To niby ja ci zawadzam, jużbyś wszystko chciał zabrać, jak Boga tego kocham... poczekaj jeszcze, poczekaj dzieciątko... mnie ta niepilno do Abramka na piwo... oho, jeszcze długo musisz tylko wachać mój majątek. To mnie żałujesz gorzałki, a całe tysiące rubli pakujesz na swoją grafnię!.. to se kupujesz jaksamity i sajety, a mnie nie chcesz dać gorzałki; a przecie to wszystko moje... a przecie ja tu dziedzic i pan, jak Boga tego kocham... a tobie od wszystkiego wara, jak psu!.. jak ci każe polizać, to liź! ale ugryźć nie wolno, bo nogą w zęby i za drzwi!.. pszo!.. jucho jedna, pszo!..

Andrzej się zerwał gwałtownie, ale rzekł dosyć spokojnie:

— To dobrze, niechże sobie ojciec zostaje dziedzicem, ja jutro wyjeżdżam.

— Jedź, Jędrus! jedź jaśnie synku do Italji z jaśnie synową, na pomarańcze, ale pierwej rachunki z foliawków złóż, wylicz się!.. Ho, jaki mądrała, jak Boga tego kocham... obłowił się niezgorzej, a teraz powiada: pocałuj psa w nos, odjeżdżam!..

— Co wzięłem, gdzie się obłowił, com ojcu ukradł? — krzyczał Andrzej z wściekłością. — Daje mi ojciec chociaż grosz na pensję? Ile razy ojciec naciągał mnie na po-

życzki? kiedy rachunków nie składałem? co?.. a odnawiam pałac, to ojciec dobrze wie, że za oszczędności, za konie, które mi wolno chować, mam to w kontrakcie. To zato, że robię i za pana i za parobka, że cały dzień, jak pies z wywieszonym ozorem, latam przy gospodarstwie; to zato, że zaprowadziłem gospodarstwo leśne, że zaprowadziłem płodozmian, że podniosłem dochód w dwójnasób, że pracuję jak wół — ojciec robi mnie jeszcze złodziejem!.. Mnie złodziejem zato, że ojciec się upija, jak świnia i nie wie, co się z nim robi i ojciec mi tak śmie powiedzieć?

— A śmiem, dziedzic tu jestem, bo pan tu jestem, słuchać i basta, a nie, to... pszo!..

— Ja złodziej, ja!.. — krzyczał, zerwał się z krzesła, chwycił starego za kłapy i zaczął trząść nim z całej siły, niby snopem słomy. — Żeby mi to powiedział kto obcy, to zabiłbym jak psa...

— Puść, Jędrus, Jędrus, puść!.. — jęczał stary i znowu poczuł, że jest pijany; przymknął oczy i czekał, rychło go syn zacznie tłuc o piec.

Stara z płaczem rzuciła się pomiędzy nich.

— Karczmarska dusza, psiakrew!.. — syknął Andrzej, rzucił starego niby pęk łańców na łóżko i wyszedł.

— Pietrus! laboga Pietrus!.. — zawołała matka, potrząsając rozpaczliwie starym, bo leżał chwilę, jak kłoda nieruchomy, ale wkrótce otworzył oczy i podniósł się przy jej pomocy, obmacał sobie głowę i boki i rzekł trzeźwo:

— Dobra nasza! niczego w kosteczkach nie brakuje! A to honorna ścierwa, jak Boga tego kocham, kiej szlachcic... — zakończył z jakąś głęboką satysfakcją i podziwem.

— Ty pijanico! piekło zrobiłeś, a jak Jędrus pojedzie sobie, to będziesz miał...

— Głupiaś, stara, a gdzie to pojedzie, hę?..

— A juści, to un, co taki uczony, niby nie poradzi sobie; a zresztą, bo to jego panna nie ma pieniędzy?.. to ty będziesz moją pociechę, mojego jedynaka wyganiać, co?..

— Głupiaś, nie wydziwiaj! Jędrus nie pojedzie, bo mu zaraz jutro u regenta zapiszę wszystko. Wart tego, juści że prawda, ale co honorna jucha, to honorna... — podrapał się po głowie. — A mocny, jak koń; rzucił mnie, kiej snopek. Ho, ho!.. udał mi się parobek, jak Boga tego kocham, udał mi się. Pójdę i przeproszę go, co?.. jak matka zrobić? iść, czy nie?

— Idź!.. przecież, że trza go przeprosić; jaby sama poszła, ino śmiałości nie mam.

Stary poszedł, ale trochę nieśmiało, wstyd mu było własnego uniesienia.

Andrzeja nie było w mieszkaniu, wybiegł od rodziców w najwyższym rozdrażnieniu; klótnia, do której zresztą nie przywiązywał wagi, bo podobne często bywały, dopełniła miary jego zdenerwowania.

Poleciał naprzelaj polami do Witowskiego.

VIII

Noc była chmurna i wietrzna; od północy ciągnęły nieskończonym szeregiem szare, bezkształtne chmury, podobne do porozrywanych bel bawełny: wiatr miękki prześwistywał i niósł szum lasów huczących woddali jak burza, śnieg prószył mokremi płatkami i opadał ciężko na ziemię.

Andrzej szedł śpiesznie, do Witowa było tylko 5 wiorst, ale śniegi i ta droga przez zaspy i zagony zmęczyły go potężnie. Ochłonął z gwałtowności, ale samowiedza nieszczęścia przenikała go żalnością rozpaczliwą. Skarżył się w duchu tym obszarom nocy. Czuł się tak nieszczęśliwym, że przystawał i obrzucał przestrzenie wzrokiem błagającym o pomoc, o zmiłowanie i szedł dalej z tą niepewnością człowieka, który stracił drogę i znaleźć drugiej nie może.

Do Witowskich pchała go siła przyzwyczajenia i to, że Witowski panował nad nim. Andrzej nietylko go słuchał, ale wierzył mu zupełnie, bo w swoim osamotnieniu miał duszę przyjazną, przed którą mógł się wywnętrzać. Witowski nigdy go nie oszczędzał i zawsze go ciął, niby brzytwą, sarkazmem, ale go kochał. Były to dwa szczyty: pierwszy, człowiek z ludu, silny i prosty, w połowie tylko okrzesany cywilizacją — i przerafinowany potomek wojewodów, histeryk prawie, a z pewnością neurastenik.

Dopełniali się.

Andrzej przeszedł most, bo wielki dom, dawny zameczek obronny, stał na wysepce i wszedł do przedpokoju.

Lokaj w liberji oczyścił go ze śniegu.

— Gdzie państwo?

— W biblijotece.

Przeszedł wielki ciemny salon, jakiś mniejszy pokoik i zatrzymał się przed zapuszczoną portjerą, z poza której rozlegał się monotony głos lektorki:

„Panie! otom jest w przygodzie: ciało moje chore, a serce udręczone smutkiem, który je uciska. A teraz cóż powiem? Niech Twoja wola się stanie!”

Nie słuchał więcej, odchylił portjerę i wszedł.

— Miałem posłać po ciebie — powiedział Witowski, ściskając mu rękę.

— Myślałam dzisiaj o panu! — odezwała się panna Jadwiga, siedząca w głębokim fotelu.

— Jedziesz z domu, czy od narzeczonej?

— Z domu przyszedłem... ale przeszkadzam, to zabiorę pani brata i wyjdę.

— Nie, nie zgodzę się na to dzisiaj. Panno Aureljo, odłóżmy czytanie! — zwróciła się do lektorki, która zaraz wyszła. — Masz na dzisiaj dosyć Naśladowania!.. namówiłam po raz pierwszy, żeby słuchał... — zwróciła się do Andrzeja.

— I słuchałem. Dziwna rzecz, jak te słowa są przesiąknięte łzami, poddaniem się, ufnością bezgraniczną; co w tem poezji!

— Może jeszcze tak samo będziesz wierzył! — szepnęła jakimś srebrnym głosem, zwracając na niego cudne, ale bez blasku, martwe oczy.

— Od zachwytu do wiary znacznie dalsza droga, niż nam się zdaje.

— Sądzę, że nie.

Zaczęli jedną z tych przesubtelnych rozmów, w których nietylko słowa i pojęcia, ale ich najłżejsze odcienie rozcina się i przepatruje. Andrzej zwykle milczał, bo albo nie rozumiał, o czym mówią, albo się nudził, ale dzisiaj opuścił się w krzesło i nic nie słyszał zupełnie, a czuł się tak wyczerpanym, rozbolełym, zmiażdżonym, że siedział w uroczystej ciszy duszy, omdlewający z nadmiaru cierpienia.

— My mówimy, a pan Andrzej cicho milczy zawzięcie.

— Jeść mi się chce — powiedział szczerze, bo w tej chwili przypomniał sobie, że nie jadł od rana i głód zaczął mu ssać wnętrzności.

— Od trzech dni mało co jadłem — usprawiedliwił się.

— O, to coś niezwykłego! co ci się stało? konie padły, owce zdychają?

— O, nie, nie!.. — zaprzeczał smutnie, nie odczuwając ironji.

— Z rodziców które chore? — zapytała Jadwiga ze współczuciem — bo po głosie czuję, że pan cierpi.

— Niesłychane! Andrzej cierpi i cierpi nie z powodu strat materialnych... aha, możeś ty chory?

— Zdrow jestem, ale uważasz mnie za proste zwierzę, bez duszy i bez serca.

— Nie, ale myślałem, że te organa nie funkcjonują u ciebie.

— Więc za kogóż ty mnie masz? — zapytał mocno dotknięty.

— W każdym razie za człowieka, a uważaj, że Jasinowskiemu już tego przyznać nie mogę.

— Dziękuję, boć to zaszczyt być zakwalifikowanym przez ciebie do ludzkiego rodzaju.

— Gatunku!.. — poprawił Witowski, unosząc głowę z fotelu, na którym bujał.

— A, tak, marnego, podłego, stadowego gatunku, który nie umie kochać, nie może cierpieć... tak, rozumiem cię, rozumiem was!.. — zaczął się unosić, głos mu brzmiał gorczą i żalem, a w oczach płonął ponury ogień. — Któż ja jestem?.. cham, prosty cham... bydlę prawie dla ciebie... o, tak, my nie cierpimy, my nie kochamy, my nie czujemy. Tak, cóż ja jestem? zwierzę pociągowe; człowiek, który widział tylko z cywilizacji ubranie i potrzeby niektóre; ty przecież mówisz mi codziennie o tem, bo sobie nie zadajesz trudu zajrzeć do mojego wnętrza, bo nie wierzysz, żebym mógł myśleć i zajmować się nietylko końmi, gospodarstwem, lasem, ziemią... a zresztą, co mnie to obchodzi!.. — dokończył ciszej i zamilkł.

— Pan cierpi bardzo, panie Andrzeju?.. pokaż się pan!.. — ujęła go za rękę i podprowadziła pod lampę, okrytą jedwabnym, zielonym abażurem i zbliżyła mu w oczy.

— Bardzo pan cierpi... — szepnęła smutnie, usta jej drgnęły wielką litością. Wróciła do swojego fotelu, delikatnie rozpoznając drogę rękoma, bo sprzęty rysowały się jej niby w mgle niezdecydowanymi konturami.

— Może poradzimy... jeśli można, powiedz pan, co się stało?.. każde serce ludzkie, to wszechświat zaludniony miliardami bólów. Straszne, straszne!.. — szeptała cicho i cudną głowę zwiesiła na piersi, a w martwych, wystygłych oczach błysnęły łzy.

Andrzej poruszył się, spojrzął na nią z wdzięcznością i uwielbieniem, ale pochwycił przelotnie wyraz twarzy Witowskiego, jakiś pogardliwy, i całe wyznanie, jakie miał już na ustach, zamknął w sobie. Zesztywniał nagle, zapiął bezwiednie surduty, jakby go mroźne tchnienie owiało i, podkręcając wąsa, mówił, siłąc się na spokój i obojętność:

— Bagatela!.. słowo pani dając... małe nieporozumienie domowe...

— Domowe... — szepnęła przeciągle Witowski, leżąc w fotelu, zapatrzony w malowane na suficie Trytony, dmące w muszle.

— Ach! te niesnaski rodzinne są zwykle najboleśniejsze, bo sączą w duszę rozdrażnienie i złość, niby z czary pękniętej, kropla po kropli i ani się spostrzeże człowiek, jak zmienawidził ten swój dom, przystań jedyną... jak przeklina; a to wszystko z powodu braku pobłażliwości, wyrozumienia.

— Tak!.. — szepnął znowu Witowski, ziewając głośno.

— Szczęście, że my ze Stefem nie kłócimy się nigdy; nawet w czasach najcięższej nędzy, kiedy nas dławiała w Londynie, żaden cień nie mącił naszego przywiązania.

— Stawiają też państwa, za wzór zgody i miłości rodzinnej.

— I warjactwa! — dorzucił szyderczo Witowski.

Przyniesiono stolik, pokryty potrawami, przed Andrzejem. Zaczął jeść chciwie.

Milczenie zaległo pokój.

Witowski patrzył wciąż w sufit z ironicznym, gryzącym wyrazem ust, a Jadwiga wstała i zaczęła chodzić wzdłuż pokoju, wyciągniętymi rękoma dotykając sprzętów i tą cudowną intuicją ślepych omijając zawady.

— Kiedyż pan mnie zaznajomi z narzeczoną? pragnę się jej dotknąć i poznać. Myślę, marzę nawet, że stworzymy sobie we czworo mocny związek dusz zbratanych, oddanych zupełnie sobie.

— Liljowy bukiet dusz, związanych surowcem — rzucił Stefan, spoglądając na Andrzeja.

Andrzej udał, że nie rozumie przycinku.

— To moje głębokie marzenie: mieć naokoło siebie dużo dobrych ludzi i wtedy, kiedy już świat zniknie zupełnie dla moich oczu, kiedy ta wielka noc zatopi moje ciało, czuć przy sobie serca dobre i czerpać z ich życia trochę sił do znoszenia ciężaru własnej egzystencji. O, to są egoistyczne uczucia, wiem; ale tak mi trudno się ich wyrzec, tak trudno... — mówiła, stojąc na środku pokoju, z oczyma wzniesionymi do góry i z rękoma wyciągniętymi. — Nie mogę znaleźć innej radości, a chociaż nie mam prawa już do żadnej...

— Ada! — powiedział z uczuciem Witowski, podchodząc do niej. — Nie mów tak, nie myśl o tem, bo mnie to rozdziera i ciebie wzburza i przyspiesza ten kres straszny. Nie mów, uśmiechnij się, siostrze! — prosił głębokim, przejętym łzami głosem, bo jej twarz jasna, wzniesiona nieco, była pełna surowości bólu, jaki szarpał jej sercem.

Dotknęła się jego twarzy jakimś matczynym, pełnym czułości ruchem i uśmiech, podobny do uśmiechów kwiatów konających, przysypanych ziemią, wykwitł na białych ustach.

— Myśli są niby ptaki; zrywają się z gałęzi, aby usiąść na drugiej, ale padają daleko, daleko, daleko... bo już w locie spostrzegłszy wynioślejszy wierzchołek, wirują dokoła niego, nim spostrzegą, że i tam odpoczynku niema... Kiedy mnie pan zaznajomi z narzeczoną?.. chciałabym ją poznać jak najprędzej. Stef mówił, że taka piękna!..

— Nie mam już narzeczonej!.. — odpowiedział wolnym, drżącym głosem.

— O, o, o!.. — wymawiał wolno Witowski, leżąc znowu w fotelu, i odrywał zwolna oczy z sufitu i coraz silniej świecił niemi, przenosząc je na twarz Andrzeja.

— I marzenia są jak ptaki, gdyż krążą upojone siłą własną, weselem, pięknem, radością czystą istnienia i wtedy zdają się dosięgać słońca i świat zabarwiać; a jastrząb spada i rozbija harmonję i ginie radość, uniesienie... i ginie szczęście i giną marzenia; złe wieści, to

jastrzębie, co szponami wiszą u serc i krzyczą, śmierć i zatracenie! Bardzo bolesną wieść pan przyniósł, bardzo... — mówiła ze smutkiem.

— Złe wieści, to wilki, to węże, co oplatają serca i mózgi potwornymi skrętami i gryzą... gryzą... gryzą... — powtarzał wolno Witowski z wykrzywioną twarzą i takim ciężkim i bolesnym głosem, jakby wszystkie żmije bólów ocknęły się w nim i zaczęły mu gryźć duszę.

— Dobranoc! — powiedział Andrzej, powstając nagle od niedokończonego jedzenia, bo ton ich słów, wyrazy ich twarzy, ta tragiczna cisza pokoju i przypomnienia schwyliły go za gardło okropnym łkaniem i serce ścisnęły mu tak strasznie, że nie mógł nic więcej mówić i wyszedł.

I szedł zpowrotem temi samymi polami i jakby ze śmiercią w sobie — i przez łzy, które mu przysłaniały oczy, przez ból, przez całą nędzę swojego stanu szeptał chwilami:

— Janka!.. Janka!.. — i wyciągał ręce do tych bezmiernych, pustych przestrzeni niebios, w których gdzie niegdzie w przerażającej głębi migotały gwiazdy, przysłaniane chmurami, pędzącymi z szaloną szybkością.

— Biedny człowiek! ta miłość tak go podnosiła i tak uszczęśliwiała!.. — szepnęła ze współczuciem Jadwiga.

— Tak, ale ta boleść go uczyłowieczy.

— Biedny człowiek, czym on żyć będzie? przecież w tę miłość włożył całego siebie. Zostaniesz?... pójde się modlić...

— Ada! znowu wzruszenie?... a czyż my nie cierpimy? On mniej cierpi, bo cierpi jak człowiek dziki, który tylko czuje; ale my srożej, bo uświadamiamy sobie i nie widzimy ratunku na ból. Rano pojadę do niego, rozpytam, będę chciał ich pogodzić.

— Dobranoc! — Dotknęła ustami jego czoła, przesunęła ręką po włosach i twarzy i wyszła.

Szła długim, sklepionym korytarzem, pociętym z jednej strony oknami, zupełnie klasztorne, bo w głębokich niszach wisiały wielkie krzyże, oświecone lampkami oliwnymi. Dotykała się ich, przystawała chwilę w głębokim skupieniu przed każdym i weszła do ogromnej kaplicy. Była to dawna zamkowa kaplica, zajmująca narożną dwupiętrową basztę, zupełnie bez ozdób i przerażająca swoją surowością i ciszą kamienną. Ściany były czarne od starości, poplamione zielonawymi plamami wilgoci, która ściekała na posadzkę kamienną, ułożoną z tafli białych i czerwonych. Kilka wąskich i długich strzelnic w środku murów nie przepuszczało prawie światła, tak były zasnute pajęczyną. Od wiązań dachowych spuszczał się prosty sznur i trzymał lampę, podobną do róży złotej, która drżała ustawicznie i rozsypywała nieco blasków zimnych na kłęcznik, stojący pod nią i na prosty ołtarz, na którym stało sześć żelaznych lichtarzy, z żółtymi woskowymi świecami. Na tle tej czarności grobowej, nad ołtarzem, wisiał ogromny Chrystus, z kości słoniowej, przepyszna kopja z Donatella, z pałacu Pitti; dwie lampki o purpurowych szklach, stojące pomiędzy lichtarzami, rzucały krwawy refleks na Ukrzyżowanego, którego głowa zwieszona bezsilnie na piersiach, tragiczna smutkiem, wychylała się z cieniów i jakąś nadludzką bladością promieniowała.

Jadwiga uklękła na kłęczniku i zatopiła się w modlitwie.

IX

— To i po wszystkim! — powiedziała Janka, zamykając się w pokoju, po rozstaniu z Andrzejem.

— Po wszystkim! — powtórzyła głucho, usiadła na otomanie, ukryła twarz w dłoniach i siedziała kilka godzin w najsroźszej z mąk duszy — w męce upokorzenia i w męce wstydu. To okropnie palące uczucie przepełniało całą jej istotę, paraliżowało mózg, odbierało świadomość i paliło, paliło, paliło.

Orłowski wszedł i chodził po pokoju, co chwila przystając przed nią; nie spostrzegła go nawet.

— Andrzej był?..

Drgnęła na ten dźwięk, podniosła oczy i odpowiedziała bezdźwięcznie:

— Był...

— I więcej już nie przyjedzie... — dokończył wolno; oczy zaczęły mu latać, szarpał palcami guziki munduru, ale powstrzymywał wybuch, rozpierający mu piersi.

— Nie przyjedzie... — powtórzyła jak echo.

— Wiem! nie potrzebujesz mówić tego! — krzyknął, przyskakując do niej z zaciśniętymi pięściami, ale ręce mu opadły, obejrzał się w bok, i znowu zaczął chodzić.

— Wypędziłaś go znowu — rzekł spokojnie.

— Nie... sam odszedł — mówiła jakimś echowym głosem, bo sił już jej brakło, i siedziała w biernym opuszczeniu, gotowa teraz poddać się każdej sile, któraby ją porwała. Patrzyła w oczy ojcu prosto, bo czuła, że on wie wszystko, i wielka litość nad jego cierpieniem zaczęła się podnosić w jej sercu.

— To go wypędziło, ty ulicznico... — wybuchnął, rzucając jej w twarz zmięty list, bo i on dostał anonim.

Pochyliła głowę i łzy zaczęły wolno spływać z jej oczu; nie powstrzymywała, patrząc z poza nich bezbrzeżnie smutnie.

— Orłowska miała kochanka! moja córka! krew z krwi mojej! — krzyczał coraz głośniej. — Dobrze, dobrze! musi się to wszystko skończyć, musi, bo ja nie zniosę...

— Niech się skończy, niech mnie ojciec zabije. Tak mi jest ciężko, tak strasznie źle, że zrobi ojciec dobrodziejstwo. Proszę cię całą istotą moją, zabij mnie, zabij!.. — błagała, osuwając mu się do kolan. — Zhańbiłam ci nazwisko, unieszczęśliwiłam ciebie i Andrzeja, robiłam tylko złe, i sama jestem taka nieszczęśliwa, taka okropnie nieszczęśliwa, że błagam cię, zabij mnie. Niech się już wszystko skończy. — Upadła przed nim, objęła jego nogi rękoma i z płaczem całowała.

— Nie dotykaj mnie, bo powalasz! — krzyknął wściekły i odepchnął ją z taką brutalnością, że upadła nawznak. Zerwała się, twarz jej pokryła się purpurą, oczy rozgorzały płomieniem i całą ją przejął nagły, oślepiający, niepowstrzymany krzyk poniżenia i dumy.

— A! dosyć tego! to nie jest kara, tylko zemsta. Ojcu nie wolno tak postępować ze mną! Ja zabraniam ojcu, nie pozwolę... — krzyczała obłąkanym, przejmującym głosem. — Za cóż ojciec poniewiera mną tak, co? że miałam kochanka! ale ojciec mnie się nawet nie pytał, czy to prawda, tylko na mocy marnego oskarżenia poniewiera mną, odtrąca od nóg, jak ostatnią!

— Prawda! prawda!.. — szeptał, zalękniony.

— Dlaczego mnie to spotkało? dlaczego ja mam rachunki składać z życia? Nie spytał mnie ojciec, ilem wycierpiała przez to, jak drogo okupiłam swój błąd. Przez trzy miesiące było ojcu obojętnem, co robię, czy mam co jeść, czy się nie sprzedaję wprost z nędzy, a całe życie ojciec mnie tylko tyranizował i trzymał w jarzmie upokorzeń, nienawiści, męki... Zamordował ojciec matkę, mordował ojciec mnie, naginając do swoich zachcianek, nie dbając, czy się połamię lub nie, byle się stało zadość kaprysowi! A teraz ojciec przychodzi i płaci mi zniewagą! Dlaczego ja mam spowiadać się ze swojego życia, kto ma prawo karać mnie, że żyłam tak, jak żyłam, kto? — wołała w najwyższym wzburzeniu, sina aż z wysiłku i gniewu, ze spojrzeniem, rozgorzałym nienawiścią i buntem.

— Ja, ojciec, mam to prawo, mam to prawo? — pytał cicho, jakby siebie, i rozglądał się nieprzytomnie po pokoju.

— Nie, tylko jeden Bóg ma prawo, bo on wie, co wycierpiałam. On jeden zna wszystkie łzy moje, wszystkie cierpienia. O Boże, Boże, Boże!.. — szeptała coraz ciszej i spazm takiego żalu ścisnęła jej serce, że straciła przytomność i upadła na podłogę.

Orłowski rzucił się na ratunek, poniosł ją na łóżko, zaczął krzyczeć na Janową, która przybiegła natychmiast, i nagle wszystko się w nim rozprzęgło i zmaciło, przystanął przed łóżkiem, zatarł ręce i śmiał się cicho i długo.

— Dobrze! dobrze, Miciu! — Poklepał ręką próżnię na wysokości ramienia i wyszedł przed stację. Popatrzył na las, na podjazd, zajrzał do kancelarii, stał dosyć długo na korytarzu, bo z głębin zaczęły mu się wyłaniać jakieś strzępy przytomności i łączyć. Powrócił szybko do Janki, która, już przytomna, leżała na łóżku.

— Janiu! — szepnął nieśmiało, nachylił się, aby ją pocałować, ale cofnął się prędko, jakby szarpnięty wtył przez niewidzialną rękę, przetarł czoło i usiadł przy łóżku.

— Daruj mi... Uniosłem się, ale ja cię tak kochałem, tak cię jeszcze Kocham... — potarzał wolno, odwrócił szybko głowę i, patrząc w jakąś próżnię, spochmurniał, oczy mu

zamigotały surowością i mówił twardo i prędko: — Jeżeli chcesz jechać gdzie odpocząć, jedź! Może do tej swojej przyjaciółki. Pamiętasz, jak cię zapraszała?

— Pojadę. Odzyskam trochę sił i zaraz pojadę — odpowiadała ze drżeniem, bo widziała, co się w nim dzieje, jak się zmusza do uprzejmości i spokoju, jak tłumi w sobie grozę i wstręt nieledwie.

— Nie myśl o Grzesikiewiczu, to cham, prosty cham. Dobrze, że się tak stało, bo teraz czuję, że nie byłabyś za nim szczęśliwą. Prawda, co to za rodzina — szynkarska. Jakbyś tam mogła wytrzymać pomiędzy starym pijanicą, chłopką prostą i mężem parobkiem! Jedź, nie krępuj się, że ja sam zostanę, siedź u nich do wiosny. Od kwietnia wezmę dymisję. Dostyc mam służby. Wyjedziemy do Warszawy, albo dokąd zechcesz.

— Wszystko mi jedno, dokąd ojciec zechce, tam pojadę.

— Będziemy spokojni, tak, tak, należy się nam odpoczynek — powtarzał smutnie. — Głupia cała ta służba, głupie wszystko, poco to?.. Cicho, nic nie mów. — Słuchał chwilę, pokiwał głową i mówił dalej:

— Skończy się to wszystko, skończy, przejdzie, zapomnimy, prawda?

— Zapomnimy — odpowiedziała głębokim głosem pragnienia, i chciały już, w tej chwili, zanurzyć duszę w zapomnieniu i nie pamiętać nic, nic.

Orłowski odszedł i nie widziała go dni kilka, bo kazał przynosić obiady do kancelarii, herbatę rano i wieczorem pijał w swoim pokoju.

Nie zwracała prawie uwagi na niego, apatycznie poddawała się wszystkiemu i tak była zmęczona i wyczerpana, że nic jej nie obchodziło. Jeżeli pragnęła czego i myślała, to tylko, aby gdzie przepaść i utonąć w ciszy i zapomnieć.

Chciała jechać do Heleny, bo nie miała żadnych innych znajomych, i czuła, że tam u nich, zdala od miast i kolei, na szczerzej wsi, znajdzie tę ciszę upragnioną.

Kilka dni zwłóczyła z wyjazdem, bo tkwiła w niej głęboka jakaś nadzieja, do której się nawet nie przyznawała, że Andrzej powróci, bo zresztą wielką przykrość sprawiła jej myśl, że się z nim rozstaje w gniewie i żalu. Nie kochała, nie byłaby teraz za nic w świecie wyszła za niego, ale ten ból, jaki w nim czuła, wzbudził w niej szacunek.

Andrzej nie dawał znaku najmniejszego, nawet przez te kilka dni nikt z jego ludzi nie zjawił się na stacji.

W dniu odjazdu, gdy już wszystko było gotowe, popakowane, walizy powynoszone na sanki, czekające przed dworcem, Orłowski odezwał się, dając tę samą wielką kopertę z pieniędzmi.

— Weź z sobą, to twoje pieniądze, a mieszkanie zostanie puste, więc mogliby złodzieje... — nie dokończył i cofnął się do saloniku i chodził.

Janka pożegnała się z Zaleską, która jej pomagała pakować, i zaczęła się już ubierać w futro, gdy zjawił się Świerkoski, wyświeżony, paradnie ubrany, uroczysty jakiś.

— Byłbym się spóźnił... — powiedział z ulgą.

— Z czym? — zapytała niechętnie.

Świerkoski stanął przy stole, nachylił się nieco ku niej, i, nie podnosząc oczu, któremi biegał po stole, mówił:

— Natychmiast powiem, mogłem to dawniej mówić, ale czekałem, bo... Grzesikiewicz był jeszcze narzeczonym pani; czekałem, nim być przestanie.

— Zechce pan mówić prędezej, bo nie mam czasu.

— Jestem pewny, że skoro pani powiem to, z czym przyszedłem, to znajdzie pani czas dla mnie...

Usiadła gwałtownie, miała ochotę zawołać na Rocha, żeby go wyrzucił.

— Słucham...

— Nie umiem mówić pięknie, ale każde moje słowo ma wagę.

— Kamieni — wtrąciła ironicznie.

— Rubli choćby, czegoś solidnego zawsze. Otóż przyszedłem z propozycją, jakby to krócej powiedzieć, że mogę się z panią ożenić! — wyrzucił mocniej i utkwil żółte oczy w jej źrenicach, i głąkał psa, który się spinał obok niego na stół.

— Pan dostałeś pomieszania zmysłów! — zawołała, zrywając się z krzesła.

— Nie, słowo daję, że ja tu obecny, jestem przytomny i, po długim rozmyślaniu, postanowiłem przyjść i prosić o pani rękę, pomimo wszystkiego... — zakończył z naciśnięciem.

— Jakto?.. co pan mówi?.. nic nie rozumiem...

— Ano... bo słyszało się coś niecoś o tem, jakto tam było w Warszawie... wiem, że Grzesikiewicz zerwał przez to z panią, ale to cham, nie ma wyrozumienia, że przecież i panny... mnie tam wszystko jedno. Co to mnie obchodzi, możemy i tak żyć w zgodzie przecież. Ja jestem dobry człowiek i myślę, że pani żałować wyjścia za mnie nie będzie.

Janka patrzyła na niego nie tylko ze zdziwieniem, ale i przestachem.

— Myślę, że się pani zgodzi, no bo jak taki porządny człowiek, mający nieco kapitałów, chce się ożenić z panią, to niema żadnej racji do odmowy. Wyniesiemy się do wielkiego miasta, nikt nas znać nie będzie, będzie nam dobrze, bo będziemy się jeszcze tak kochali, niby turkawki hi!.. hi!.. hi!.. — zaczął się śmiać jękliwie i błyskać oczyma.

— Precz! — krzyknęła, bo przysuwał się ku niej tym cichym, krętym ruchem wilczym, i niby wilkowi błyszczwały mu żółte oczy, a zęby ostre i długie kłapały ze wzruszenia.

— O! Takaś to! o! — wykrzyknął i zgiął się, jakby do skoku.

— Precz natychmiast, bo ludzi zawołam.

— Ostrożnie, z Hipciem ostrożnie, ostrożnie, piękna pani, ostrożnie ty moja caceńka... bo wszystkie ząbki wytrząskam, żebyś nie ugryzła — syczał w strasznej złości i palce mu się gięły i rozprężyły, jakby chciał ją schwycić za gardło i zdusić, wyciągnął ku niej rękę.

— Ojczy! — krzyknęła i z jakąś niesłychaną siłą porwała krzesło z pod siebie i rzuciła w niego. Zawył głucho, skręcił się we dwoje i byłby się rzucił na nią, ale Orłowski wpadł, schwytał go za kark i rzucił pod piec.

Zerwał się natychmiast. Krzyczał straszonym głosem, szukał po kieszeniach, trzął się, obłąkany z gniewu, rwał włosy.

— Amis!.. bierz go! — krzyknął wreszcie, nieprzytomny.

Dog zebrał się cały i rzucił się prosto na piersi Orłowskiego, ale ten, jakimś odruchem, z taką potężną siłą kopnął go w brzuch, że Amis zaskowyczał przeciągle i upadł jak martwy. Świerkoski wtedy oprzytomniał, rzucił się na psa, zaczął mu dmuchać w nozdrza i trząść nim, ale pies się nie ruszał, więc go chwycił w ramiona i, pozostawiając palto i czapkę, uciekł z nim, jak szalony.

— Jedź już, jedź. Bez czułości, przysięgam Bogu! obejdzie się! — krzyknął, widząc, że Janka chce się z nim pożegnać.

— Dobrze — szepnęła.

Odwrócił się, żeby nie widzieć jej spojrzenia, a ona pożegnała się z Janową, zalecając raz jeszcze czuwanie nad ojcem i pojechała.

Nie odwróciła głowy z sań, aby spojrzeć po raz ostatni na stację, na okno, w którym stał Orłowski i przekrwionemi, obłąkanemi oczyma patrzył za nią dotąd, aż zakrył ją las.

— Samiśmy teraz, Mieciu, co? Sami, sami... — odpowiadał, zacierając ręce. — Zjemy sobie dobry obiad i pójdziemy do roboty, obiad z winem, co? — zapytał i odpowiadał sobie, ale przytomniał chwilami, biegł do okna i stał przy nim, i długo patrzył na pustą, białą drogę i na las cichy.

Wracał do stołu i jakiś strach szaleństwa mącił mu mózg, zrywał się, jakby chciał uciekać, tarł sobie czoło i uspakajał się znowu.

— Siadaj, Mieciu! Janowa! Dwa nakrycia połóż, bo będziemy jedli obiad razem.

*

A Świerkoski leciał oszalały trwogą, bo już nie pamiętał odmowy, ani uderzenia krzesłem, ani uderzenia o piec, widział tylko, że jego Amis nie żyje...

Wpadł do mieszkania i, nie pomnąc o śniegu na butach, wleciał do salonu, położył Amisa na otomanie i zaczął go przywracać do przytomności.

— Amis! Amis! piesku mój — wołał czułym, zrozpaczonym głosem, przewracając psa na wszystkie boki. — Franek! śniegu prędzej, okłady mu zrobić! — krzyknął na chłopaka, ale i okłady nie pomogły, pies leżał nieruchomy, wyciągnięty i bez oddechu.

— Amis! — krzyknął mu do ucha; pies ani drgnął. Wtedy Świerkoski, oszalały z bóleści po stracie psa, zaczął biegać po pokoju, a że zagroził mu drogę mały, inkrustowany stoliczek, uniósł go i z taką siłą rzucił o podłogę, że rozleciał się w kawałki.

— Masz żonę! masz pieniądze, masz spokojną przyszłość... masz... masz... A durniu!... a głupcze... dobrze ci tak... — krzyczał coraz głośniejsze i nieprzytomniejsze.

— Masz państwo i miliony, nędzarzu... masz... A żeby cię, psiakrew, najjaśniejsze pioruny! A żeby cię! — zaczął ryczeć na cały głos i rzucił się na kanapę z jakąś dziką wściekłością, darł pokrycie nogami, rękoma i zębami; wywłóczył włosie, odrywał poręczce i łamał, krzyczał, gryzł i chrypiał oszalały.

— Psiakrew!... psiakrew!... a!...

Wkońcu, zmęczony, bezprzytomny z gniewu, długo leżał w niemem, rozpaczliwym milczeniu. Przycichnął zewnątrz, ale w duszy zaczęły mu się podnosić gryzące żale, dawne straty, zawody, przegrane stawki, ciągłe i daremne usiłowania wypłynięcia nawierzch i zostania bogatym, wieczne marzenia o życiu spokojnym i dostatnim — i tak go gryzły w sercu te przypomnienia, że jęczał z bólu, ścisnął głowę rozpaczliwie, i od czasu do czasu, potężnym odruchem kopał w próżnię, lub bił pięścią w sprężyny kanapy. To uspokajał się i chciał coś myśleć spokojnie o jutrze własnym, ale nie mógł, bo pamięć tej ostatniej sceny z Janką z taką wyrazistością stawała przed nim, że rozszalały potężnym, oślepiającym przyplwem gniewu, zrywał się i chciał biec, bić, łamać, krzyzczeć, mścić się... ale stawał na środku z zacisniętymi pięściami, wodził roziskrzonym wzrokiem dokoła po pokoju, zarzuconym szczątkami stolika i kanapy i siadał.

— Amis! — Pies nie przyszedł, bo Franek jeszcze go przywracał do życia. — Amis! — szepnął ciszej, i przerażonym wzrokiem spostrzegł teraz dopiero zniszczenie; oglądał aksamit podarty, poręczce połamane, resztki porozrzucone i przesycił się coraz głębiej żalem, który nim wreszcie tak zatrzęsł, że oprzytomniał zupełnie.

Oblał się zimną wodą, ochłodził się jeszcze chwilę przed domem na mrozie, i zaczął zbierać po podłodze porozbijane kawałki mebli.

— Franek! ugotuj kleju, chامية, a prędko! — krzyknął do chłopaka i cały się teraz zagłębił w reparację i dopasowywanie.

— A, jakież głupiec ze mnie! Tyle szkody! tyle szkody! — mruzczał żałośnie, i z całą pasją i namaszczeniem zszywał, układał, kleił. Nie zapytał nawet o Amisa chłopaka, który mu klej przyniósł. Zapomniał o całym świecie, na czworakach zbierał szczątki inkrustacji, obmuchiwał, wycierał, całował miejsca już zreparowane, oblewał prawie każdy kawałek, każdą drzazgę, każdy płat podartego aksamitu — łzami żalu i radości, jeśli udało mu się coś zreparować, że znać nie było.

Nie widział, że zmrok zapada, że wichura się zrywa i bije w okna suchym śniegiem, nie słyszał wycia lasu, coraz potężniejszego, ani huku i gwizdań pociągów przebiegających.

— Amis żyje, proszę pana — krzyknął Franek, wtykając we drzwi uradowaną twarz; i tego nie słyszał.

— Amis żyje, proszę pana — powtórzył chłopak głośniejsze.

Świerkoski podniósł głowę, pomyślał przez chwilę i dopiero poszedł do psa.

Amis kręcił ogonem i lizał go po twarzy i rękach, i zaczął wyskakiwać i szczeekać z zadowolenia. Świerkoski wyłaskał go, wycalował i zmarszczył się groźnie. Pies zadrżał, przypadł na podłogę i pokornym, żebrzącym wzrokiem patrzył w niego, a bił niespokojnie ogonem.

— Do nogi! — zawołał, uśmiechając się złowieszczo, wyjął z zanadru swój bat i zaczął czolgającego się psa bić z całych sił.

— A piesku, a synku, to ja przez ciebie miałem tyle strachu, przez ciebie tyle szkód sobie zrobiłem, co? a synku! — i bił go coraz zaciekłej. Pies chował się pod łóżka, pomiędzy sprzęty, rzucał się na drzwi, skakał do okien, ale Świerkoski wszędzie go znalazł, wyciągał i bił, wyladowując wszystkim ból, wszystkim swoją dziką rozpacz w ten sposób. Pies przyczołgał mu się w ostatku do nóg, nie widząc już nigdzie ratunku, i zaczął wyc żałośnie, błagając, rozpaczliwie.

Świerkoski rzucił bat, oczy mu zasły łzami, rzucił się na ziemię obok psa, objął go za szyję i zaczął ryczeć i wyc razem z nim, tarzał się po ziemi, niby w epilepsji, aż zmęczony, wyczerpany, opadł z sił, przycichł i usnął na podłodze; Franek podłożył mu później

poduszkę delikatnie pod głowę, a Amis leżał przy nim i drzemał, tylko od czasu do czasu otwierał oczy, przysuwał się bliżej, i z jakąś nieopowiedzianą czułością przyciskał swój płowy łeb do jego piersi i lizał go po twarzy i rękach, i spozierał w okno, którym biała, rozwichrzona, grudniowa noc zaglądała.

X

— Przeczytam ci nowinę, Janiu, sądzę, że...

— Tatusiu ja na barana, mnie węź, mnie. Fela nie była grzeczna.

— Tatusiu, Fela na balana ce, Fela ce, tatusiu!

Krzyczały dzieci w niebogłoty i, rozbawione, śmiały się i wdrapywały na Wolińskiego, który w połowie leżał na wielkiej sofie i sam krzyczał i śmiał się najgłośniej.

— Cicho! ależ własnego głosu nie słyszę — wołała Helena, zatykając uszy i tupotała nogą, ale twarz i usta śmiały się jej do tych jasnowłosych, różowych krzykaczów, tarzających się po sofie. — Mój drogi, widzę, że ty najlepiej się bawisz, bo najgłośniej krzyczysz.

— No, cóż ja im zrobię? Cicho, dzieci, mamusia przeczyta, dzieci będą grzeczne, a później tatko zrobi konia — tłumaczył dzieciom, zdejmując je z siebie.

— Więc czytam: „P. Głogowski, młody, utalentowany dramaturg i nowelista, złożył dyrekcji teatrów najnowszy swój dramat p. t. *Niezlomni*. O ileśmy mogli poznać, z pośpiesznie, bo na krótko nam udzielonego rękopisu, rzecz to wspaniała, w duchu Ibseno-Maeterlinkowskim, o scenach niezmiernie wstrząsających”.

— A rozpaczał przede mną, że dramat ten absolutnie nic niewart — zagadnęła Janka.

— Dziwadło, przyjeżdżał od Stabrowskich kilka razy do nas.

— Dziwadło! być może, ale bardzo utalentowane i najlepsze pod słońcem.

— Oceniliśmy go tak samo wszyscy. Był rozrywany w sąsiedztwie, nawet przez niego, wiem to z pewnością, bo od panny, jedno bliskie małżeństwo się zerwało. Urządził kilka odczytów, na które panny zjeżdżały tłumami.

— Gąski zawsze rzucają się na owies.

— Dlaczego ma pani to za złe?

— Nie za złe, bawi mię tylko ta panińska łapczywość, z jaką rzucają się na wszelką nowość, bez względu co ona w sobie zawiera.

— Ba, od tego jest młodość, żeby się zapalała. No, dzieci, zrobimy konia?

— Posyła pan jutro konie do Bukowca?

— Tak się stało, że nie, ale jeśli pani potrzebuje, to posłać mogę.

— Nie potrzebuję, przecież człowiek pójdzie i tak po gazety.

— Nie miałś jeszcze listu od ojca?

— Nie, dziwi mię to i niepokoi. Przez te trzy tygodnie pisałam cztery razy, a miałam odpowiedź jedną, boję się, czy nie chory.

— Myślę, że jest przeciwnie, dlatego, że zdrowy, nic nie pisze.

— Cichocie no... — zawołała Helena, podnosząc rękę do góry.

— Nic, psy się gryzą w podwórzu, muszą im jeść dawać.

— A mnie się wydało, że słyszałam najwyraźniej płacz... — powiedziała Helena.

— Et... zdawanie — mruknął i znowu zaczęły się krzyki i śmiechy dzieci.

Helena odczytywała gazety, przerysowywała monogramy z Błuszczu, a Janka siedziała bezczynnie i w milczeniu przypatrywała się, jak na czworakach, z jednym dzieckiem na karku, a z drugim na plecach, skakał po dywanie i udawał rżenie konia. Nie zwracała na to uwagi, chociaż z początku z podziwem patrzyła na niego, że wszystek wolny od gospodarstwa czas poświęcał dzieciom i kamieniem przesiadywał w domu.

Nie zajmowała się zresztą nimi zbyt silnie, bo własne troski pochłaniały ją w zupełności. Czekala listu od ojca; tylko od ojca, ale w głębi ciemnej nurtowało ją pragnienie otrzymania choćby kilku słów od Andrzeja. Nie przyznawała się przed sobą do tego, myślała nawet o nim z niechęcią; ale były chwile, że wyglądała na podjazd, na szeroką, wysadzoną topolami drogę, wiodącą z Rozłogów do Bukowca. Wiedziała, że stamtąd do niej nikt nie przyjedzie, a nieraz się jej wydawało, że widzi wdali zaśnieżonej bułanki znajome, i zawód powlekał jej czoło smutkiem i goryczą.

Zresztą, nudziła się tutaj. Helena dzień cały była zajęta dziećmi i gospodarstwem, on tak samo, a ona przestawała samotna z myślami swojemi i wspomnieniami. Czytać wprost nie mogła, tylko gdy dni były piękniejsze i suchsze, ubierała się ciepło i szła, tą wielką aleją, na spacer, ale i to ją wkrótce znudziło, bo śniegi były wielkie i na drodze panował ruch nieustanny, więc musiała się spotykać z ludźmi, co ją rozdrażniało.

Lubiła samotność zawsze, a teraz pokochała tę dobroczynną, słodką, upajającą przyjaciółkę dusz chorych, lub zmęczonych życiem. Cofała się od życia i spraw jego w głąb jakąś, z której cały świat i ludzie, i namiętności — wydawać się jej poczynały dosyć sobie marne i głupie, i widziała z tej głębi i siebie także, i długo patrzyła, tak długo, dobrze i jasno, aż opadły jej ręce i dusza załkała ze zgrzyoty, że marnowała życie na głupstwa, że gonila majaki, że, chcąc i pożądam szczęścia, robiła wszystko, aby je sama popsowała.

— Jak mogłam! jaka ja byłam ślepa — szeptała ze smutkiem w tych chwilach poznawania. I teraz, patrząc na Wolińskiego, tak serdecznie bawiącego się z dziećmi, na Helenę, czytającą w spokoju, z tym czystym, głębokim wyrazem w twarzy człowieka, który żyje dobrze, bo spełnia obowiązki i resztę zostawia losom, myślała, że takie życie jest najwyższym dobrem, ale czuła, że takby sama żyć nie mogła, bo za wiele pamiętała innego życia.

— Jedziemy jutro do Stabrowskich? — zapytał, siadając przy stole.

— Jak chcesz, ja wolałabym przesiedzieć w domu.

— Obiecałem w twoim imieniu, że będziemy.

— Pani Stabrowska uraczy nas jakim specjałem literackim — szepnęła Janka.

— Pani jej nie lubi?

— O, przeciwnie, tylko nie mogę nie widzieć jej śmieszności. Prawda, że prócz Głogowskiego, nie znam bliżej żadnego literata, ani literatki, ale myślę, iż osoby zarozumialszej niema pod słońcem. Przy tem wszystkim talent ma.

— Ma pani rację, i gdyby do talentu miała jeszcze piękność i nie mordowała znajomych czytaniem swoich utworów, byłaby z niej idealna kobieta.

— Nie uważam naprawdę za tak ciężką karę słuchania jej utworów, przeciwnie nawet, dwa ostatnie razy słuchałam z ciekawością i byłam jej wdzięczną, bo mnie porwała.

— A ja, przyznam się szczerze, drzemałem i nic a nic nie mogłem zrozumieć.

— To chyba wina drzemki, nie czytanego utworu — uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Panno Janino! słowo daję, że szanuję panią ogromnie, że oceniam i podziwiam, że pani jest jedyną kobietą, nie wyłączając Heli, której ważność czuję nad sobą; ale przyznam się, że, że chwilami miewa pani uśmiech taki straszny, taki miażdżący, że ja tracę przytomność, zabija mnie, krając jak nożem — mówił prędko, z pewną niecierpliwością i wyrzutem.

— Tak... — powiedziała przeciągle i znowu uśmiechnęła się bezwiednie. Helena zaczęła się śmiać głośno. Woliński zerwał się z krzesła, przeszedł kilka razy pokój i usiadł zpowrotem, hamując przykrość, jaką mu sprawiło to krótkie „tak”.

— A, zapomniałem powiedzieć, że dzisiaj, na polowaniu, rozmawialiśmy o pani.

— Zobaczę, czy powinnam być wdzięczną za zaszczyt...

— Ale, bo to nie był ktoś zupełnie obcy pani. Sam mnie zaczepił, odciągnął z koła, i tak par force pytał o zdrowie pani.

— Grzesikiewicz? — szepnęła cicho i czuła, że fala krwi płomieniem oblewa jej twarz i ręce.

— Zgadła pani. Ogromnie się zmienił od tego czasu, kiedym go poznał u państwa. Był z nim jakiś Witowski, bardzo cudaczny człowieczek.

— Dlaczego cudaczny?

— Nie strzelał zupełnie. Miał stanowisko obok mnie. Wyszedł na niego najpierw zając: nic, oparł się o drzewo i patrzy spokojnie; zając skręcił na mnie. Zabiłem go. Później wysunął się lis, był już o jakie dziesięć kroków, a ten podniósł szyszkę i rzucił na niego. Założyli kociół na sarny, wyszedł młody jelonek, pyszna sztuka, i tak blisko krajał las, że można go było zabić z rewolweru; ale Witowski zaczął mu pogwizdywać i nie strzelił. Brogowski z Doleżan wściekał się ze złości i zaczął dosyć urągliwie mówić o paryskich strzelcach i nowej szlachcie. Witowski wysłuchał i powiada wkońcu:

— Do ludzi tylko strzelam, ale nie pudłuję.

Brogowski, że to szlachcic sierzdysty i stary awanturnik, pokręcił wąsów i rzecze:

— Ano, to możebyśmy, panie dobrodziejski, się tego i owego przestrelali, to zobaczyłbyś pan, czy ja zawsze pudłuję.

— Dobrze, mogę pana przestrelić, ale uprzedzam, że pan spudłujesz.

Rzucili się pomiędzy nich, bo do pojedynku nie było najmniejszego powodu i załagodzili.

Zaraz pożegnał się i odjechał z Grzesikiewiczem. Co, czy nie cudak?

— Tak, na tem szarem tle rysuje się jego indywidualność nieco za jaskrawo — odpowiedziała Janka, przypominając sobie tę szaloną sannę i to, co słyszała o nim.

Nazajutrz, gdy w czwórkę krakowską, zaprzężoną do sanek, jechali do Stabrowskich, znowu się jej przypomniał.

XI

U Stabrowskich zastali kilka osób: ksiądz dziekan, który często zaglądał na partyjkę, siwy, stary, z piękną twarzą biskupa rzymskiego; jakiś szlachcic szpakowaty z okrągłym brzuszkiem i sumiastemi wąsami i z cerą tak spaloną, że była podobna do szafranu nierozpuszczonego. Sam Stabrowski, przystojny brunet, z postawą, sztywnością, z faworytami lorda i z monoklem w oku. Matka Stabrowskiej, typ szczątkowy tych cichych, oddanych dzieciom i pracy, matron, których już i na wsiach brakować zaczyna, no i pani domu.

Siedzieli wszyscy w bibliotece. Cała jedna ściana, aż do sufitu, zapchana była książkami, nagromadzonemi na prostych, brązowo bejcowanych półkach, a po kątach, na stolikach, na parapetach trzech okien, wychodzących na ogród, leżały całe stosy dzienników i tygodników. Długi, dębowy stół, na środku pokoju, zarzucony był papierami i stosami jeszcze nieporozcinanych książek, ale w najwidoczniejszym i honorowym miejscu — leżały numery przeróżnych pism z utworami Stabrowskiej.

Wysokie, mosiężne lampy, okryte zielonemi umbrelami, rzuciły światło tylko na stół. Na wolnej od książek ścianie, pod którą stały meble obciągnięte skórą i fotel na biegunach, wisiał wielki karton z kilkudziesięciu portretami z jakiegoś zamkniętego już pisma, pomiędzy którymi był portret Stabrowskiej, obrysowany dla wyodrębnienia czerwonym ołówkiem.

— Czekaliśmy z partyjką na pana — odezwał się, po przywitaniu, ksiądz dziekan do Wolińskiego.

— Możemy zaraz siadać.

— Kto gra? Aha, ja, pan Woliński, ksiądz dziekan i pan Rutowski.

— A my? cóż my tu będziemy robiły same? Zamiast porozmawiać z nami, zabawić, to panowie zaraz uciekają do kart.

— Pani dobrodziejka przeczyta jaki utworek — zaczął dziekan żartobliwie.

— Ależ panowie straciecie na tem, bo go słyszeć nie będziecie.

— Pani dobrodziejko, to my sobie to później powetujemy, powetujemy... no, panowie, chodźmy, karteczki czekają.

— Doprawdy, że to jest wyborny temat do artykułu. Zjedzie kilku mężczyzn i zamiast porozumieć się w różnych kwestjach, siadają do kart. Cóż z tego wynika? zupełny zanik towarzyskości, zgrubienie obyczajów, że później taki pan w salonie, pomiędzy kobietami, trzech słów powiedzieć nie umie, że dla niego nie istnieje nic, ani nowy wynalazek, ani nowa książka, ani idea — połknął karcianego bacyllusa i ten go zjada. Rzeczywiście, można o tem napisać z punktu socjologicznego. — Napisała kilkanaście słów na kartce i wsunęła ją pod przycisk.

— Pani wszystko notuje? — zapytała ciekawie Janka.

— Wszystko. Tylko w ten sposób można chwytać z życia i z własnego mózgu najwybitniejsze, najlepsze momenty. O, widzi pani, to są moje dokumenty ludzkie. Mam ich całe stosy — wskazała góry różnokolorowych kartek.

— Te białe, to psychologia ogólna; czerwone, sprawy społeczne; zielone: opisy, krajobrazy, nastroje, wschody i zachody słońca; błękitne: miłość, uczucia rodzinne, małżeństwa szczęśliwe, przyjaźń; białe z czarnem: śmierci, wypadki, tragedje losowe, zbrodnie ze sprawozdań sądowych; żółte: zazdrości, niechęci, nienawiści, sytuacje w głębiach dusz; purpurowe: kataklizmy, zdrady, uwodzenia, walki z obowiązkami, z sercem, tragedje zmysłów; heljotropowe: tęsknoty, marzenia, sny, zapachy kwiatów, muzyka, chwile

łzawe; pomarańczowe: wszystkie najbujniejsze rzeczy, których terenem — dusza. Razem, same szkice, strzępy, notatki i t. d., a tutaj — wskazała paski białe — tu są same pomysły, tematy już gotowe, szkielety opracowane nowel, powieści i dramatów.

— Zupełnie *au bon marché* literackie. Wszystko jest, co potrzeba w chwili pracy.

— Wie pani, że to dobre porównanie, zanotuję. Literatura — ciągnęła dalej, zapisawszy to porównanie na jakimś szarym papierze — to ciężka praca, która potrzebuje szalonego przygotowania.

— Pani dużo pisuje?

— Bardzo nawet dużo, ale niewiele drukuję, bo... — zawahała się nieco; jej płaską, chudą twarz, osypaną pudrem, przeleciał twardy wyraz złości i ironji; oczy białawe, rozmiękle, niby u ryby ugotowanej, wysadzone nawierzch, obwiedzione czerwoną obrączką powiek, szydziły.

— Ja jestem na stopie wojennej prawie z całą naszą prasą, hołdującą tylko gustom i opinjom wulgarnym tłumom, masy ciemnej, instynktom i tradycjom skostniałym, nierozwinięciu. Co oni lubią? czemu hołdują? jakie mają zasady? dokąd idą? czego chcą?

Tylko to i tylko to, czego chcą ich czytelnicy i prenumeratorzy; służą obłudzie społecznej. Jeżeli można streścić całą literaturę naszą zapachem, to powiem za Głogowskim, że śmierdzi pieluchami i wodą święconą!

Zamiast prowadzić i wieść tłumy, oni węższą, dokąd ten tłum, w swojej ciemności, chce iść i tam za nim dążą. Nie lubię kłamstw, chociażby w imię najdroższych, narodowych bolączek i obwijania brudnymi kompresami obłudy ran, które leczyć można i należy wypalaniem lub nożem.

Odbiegłam od przedmiotu. Otóż dlatego jestem na wojennej stopie z prasą i z uznaniem, bo jestem dla nich za szczerą, za bardzo kocham i za mocno nienawidzę.

Ja chcę pokazywać życie bez obsłon romantyzmu i dziecinnej wstydlivosti, po męsku chcę wszystko rozpatrywać, aby w tych głębiach, starannie dotychczas omijanych przez rutynę, obnażyć najgłębsze rany i wynaleźć lekarstwo na nie. A szczególnie zwracam uwagę na miłość z jej fizjologicznej strony, bo to kwestja niesłychanej doniosłości społecznej i najobłudniej dotychczas traktowana przez naszych pisarzy, chcę ją wyciągnąć na jawę dnia i zmusić ludzi, aby głośno przyznali jej prawa obywatelskie i jej niespożyta moc, i...

— Ale poco? przypuszczam, że wszyscy wiedzą o jej sile i trwaniu.

— Ach, poco? Zaraz pani powiem słowami Zoli; mam w tej kwestji list od niego, zaraz pani przeczytam — zaczęła szukać pomiędzy papierami, po tekach i szufladach, pomiędzy kartkami książek, ale nie znalazła. — Nie mogę znaleźć w tej chwili. Nawet pan Głogowski nie chce uznać mojej idei, pomimo, że taki nawskroś realista.

— Ale nie naturalista i nie pornograf — powiedział Stabrowski, stając we drzwiach, wrzucił monokl w oko i rozczesywał powoli, długimi palcami, wspaniałe bokobrody.

— Mój Włodku! powtarzasz dosyć zużyty epitet, jesteś echem. A zresztą, w tem określeniu niema nic śmiesznego, ani ubliżającego. Każda nowa myśl ma przeciwników. Homer, Dante, Ariosto, Szekspir, Byron, Mickiewicz — wyliczyła beładnie kilkanaście nazwisk — mieli nieprzyjaciół, którzy im odmawiali nietylko talentu, ale i prawa uzewnętrznienia się! Ale rewolucja zrobiła swoje, wytopiła złoto, a śmiecie zginęło w niepamięci czasów. Dla prawdziwych talentów przyjdzie zawsze dzień uznania.

— Daleko! chyba Todzio doczeka się tego! — szepnął, spoglądając na kilkoletniego chłopaka, przytulonego do Heleny.

— Mój Włodku... — nie skończyła, zagryzła blade usta i na żółtej karteczce nakreśliła słów kilka.

— Unieśmiertelniłaś moją uwagę — uśmiechnął się i wrócił do kart.

— Może pani co przeczyta, prosimy bardzo — zaczęła Helena prędko, aby zatrzeć odezwanie się Stabrowskiego.

— Dobrze, przeczytam paniom ustęp ze szkicu pod tytułem *W oborze*. Nie jest to zarozumiałością, jeśli powiem, że jest to pierwsza rzecz pisana po polsku z takim realizmem, że życie jest tutaj samo w sobie, że to wprost prawda sama.

Wzięła kilkanaście krótszych i dłuższych kartek, kawałków papieru, kopert nawet, marginesów gazet, zapisanych drobnem, prawie nieczytelnem pismem. Uporządkowała jako tako i zaczęła dosyć cicho, przysuwając się bliżej.

— „Waluś! Waluś! Waluś! dyszała Józia z omdlewającym ruchem kolan, cisnąc się do niego i czerwonymi ustami wpijała się w jego twarz brudną, zalana strugami potu, rozgrzana.

— Waluś! — oczy jej zachodziły mgłą coraz mętniejszą, przenikał ją słodki, orzeźwiający dreszcz i jakaś brutalnie lechcząca niemoc rozpieierała ją coraz szerzej”.

— A dostaniemy herbatki? — zawołał dziekan, wchodząc.

— W tej chwili. Proszę panów do stołu — zaczęła zapraszać matka, bo Stabrowska zbierała kartki rękopisu drżącymi rękoma, zirytowana, że w najpiękniejszym miejscu jej przerwano.

— Nie zdążyłam przeczytać najpiękniejszej sceny, jak Jagna, żona Walka, spostrzeża ich.

Helena i Janka były zmieszane tem, co słyszały i zarumieniły się bezwiednie, nie śmiejąc spojrzeć na Stabrowskiego, który dość ciekawie spoglądał.

Stabrowska przy stole była rozpromieniona, oczy jej świeciły, blade usta zaszły purpurą krwi, przeciągała się nieznacznie i co chwila przycinała zębami koniec języka. Odczuwała doskonale opisywaną scenę.

— Więc pan dobrodziej na wiosnę do Włoch jedzie... — ciągnął rozpoczętą przy kartach rozmowę dziekan.

— Pojadę, jakem Rutowski, raz, dwa, trzy, panie tego owego, pojadę.

— Bodaj, czy to nie rok piąty, jak się sąsiad wybiera — wtrącił ironicznie Stabrowski.

— Tak, tak, ale panie tego i owego, zawsze jakoś się tak składało, że nie mogłem, ale już w tym roku, choćby na pniu sprzedać pszenicę, sprzedam, a taki pojadę.

— Istotnie, warto jest zwiedzić Włochy.

— Pani zna Włochy? — zawołał żywo, zwracając się do Wolińskiej.

— Mieszkaliśmy tam z mężem cały rok.

— A, pani moja, ale musi mi pani opowiedzieć — przesiadł się do niej — bo ja byłem kiedyś we Włoszech całe sześć lat i nie mogę zapomnieć i ciągnie mnie coś do nich, że tylko myślę, aby przed śmiercią tam być. Rzym pani zna?

— Kilka tygodni byliśmy w Rzymie.

— Prawda, że wygląda jak rudera, jak wspaniały, ale okropnie zdewastowany majątek. W kopule Św. Piotra musiała pani być? Chodziłem do niej co tydzień, bo w tej bani, pod krzyżem samym, są szpary, które widać Śródziemne morze, ale z tej odległości, takie, panie tego i owego, zielone, jak świeżo wykłoszona pszenica... to przypominało mi nasze pola, jak to idziesz sobie dróżką, panie tego i owego, a na lewo nie dojrzysz końca zbożu i na prawo nie dojrzysz. Wiaterek sobie musknie kłoski, a całe pola szu... szu... i kładzie się pod nogi, kołysze i tak pachnie! A Monte Pincio! śliczny stamtąd widok na miasto. Obmurowywaliśmy go od strony willi Borghese.

— Jakto i pan obmurowywał?

— Tak, jakem Rutowski, woziłem kamień taczkami, aż miło! cóż było robić? Ho! ho! nietylko takie roboty były! — Pokręcił wężą, twarz mu się rozjaśniła, a w wybladłych, jakby spłowiałych oczach, zamigotał głęboki lazur.

— A Neapol? co? Śmierdzi pewnie i dzisiaj tak samo, jak śmierdział. Uliczki, panie tego i owego, niby przegony na sapach! Gorąco, zaduch, krzyk, brud ścieka po ścianach, oliwa śmierdzi, ludzie śmierdzą, ryby śmierdzą, osły śmierdzą, że człowiek chciałby uciekać na bory i lasy, ale zrobisz dziesięć kroków dalej, cicho jak w lesie, kawał muru, na którym złocą się pomarańcze, Matka Boska wisi, pięknie ubrana, róże po murach kwitną i pachną, ptaszki śpiewają i ludzie się modlą przed Madonną!..

Trzy lata mieszkalem w Neapolu, przy porcie via... zaraz!.. nie, to był vinicolo Siesta, rynsztok, panie tego i owego, uliczka bez wyjścia, sześć pięter domy. Z okna do okna, z jednej strony ulicy na drugą, ręce można sobie ścisnąć. Nie pamiętacie państwo vinicolo Siesta, zaraz przy porcie?

— Niestety, tyle tam tych zaułków i takich strasznych, żeśmy się obawiali w nie puszczać.

— A zatoka, taka sama, co? co to jak patrzeć pod słońce, to daleko, przy Capri, aż czarna prawie, taka modra, nic, tylko jakby zasiał chabrami całe pole. Ślicznie, panie tego i owego, malować tylko.

— A Wenecja, pani dobrodziejko?! to brudna kaczką, panie tego i owego, jakim Rutowski. Kamień, niebo i woda! no widział to kto? głupie miasto!

— Padwa! Florencja! Genua! to wszystko razem kamień i świństwo! Włóczyłem się tu i owdzie, żyłem z Włochami za pan brat, znam Italję na durch. O bella Italia! bella! Ha! ha! dziwny kraj, lasu ani kawałka, pola ludzkiego ani znaleźć, gospodarstwo Boże się zmiłuj! Sałata, wino, oliwa!

— Z tego wnioskować można, że pan niezbyt przyjemne wrażenie wywiózł z Włoch — wtrąciła Stabrowska.

— Niby prawda, pani dobrodziejko, tak... juści, ale kiedy sobie wspominam, to mi się tak jakoś robi na sercu, że mi dobrze. Było tam i źle i głodno i smutno, ale coś mnie ciągnie do tej włoskiej jasności; ja, panie dobrodzieju, nieraz w polu, w żniwa szczególnie, patrzę się w niebo i widzę, że tu wszystko ciemno, chociaż słońce doskwiera. Pamiętam Włochy. Jak się wylazło nieraz w Neapolu na wierzch, na góry, to jak się spojrzę na morze, na miasto, na drzewa, to się płakało niewiadomo z czego, niby mazgaj ostatni, panie tego i owego. Tak, pojedę na wiosnę z pewnością, niech tam co chce się stanie!

Albo kiedy człowiek był zmęczony, zapracowany, jak ten wół, panie dobrodzieju, to się szło na molo, nad wodę od strony Torre Greco, gdzie same ogrody pomarańcz, to się siadało i poprostu jadło się powietrze i jadło się oczyma świat i zapominało się o wszystkim, bo to morze co chwila pod nogi chlup! chlup! panie tego i owego, pomarańcze pachną, ciepło, wszystko w człowieku jakby umierało z radości, a na wodzie byle kto jedzie, pierwszy lepszy cham i parobek i śpiewa, aż się w kościach ciepło robiło.

Nieraz człowiek za ostatniego lira siadał w barkę i hajda, panie tego i owego, na morze, a przewoźnik na mandolinie brzdęk... brzdęk... brzdęk... i

*O mia Napoli, o santa città
Tu sei sempre il paradiso*

zanucił drżącym, pełnym zapału i chryпки głosem. Zerwał się, oczy mu pociemniały z zawstydenia, zaczął targać wąsy, żeby pokryć i wzruszenie i złość na siebie, bo mężczyźni patrzyli na niego nieco drwiąco.

Ksiądz dziekan przymrużył jedno oko, zażył tabaki i szepnął:

— Stary grzesznik! Garybaldysta, mason...

Stabrowska słuchała go z uwagą autorską, co zdaje się zapisywać w pamięci każde słowo i gest każdy... Helena słuchała z przymkniętymi oczyma i przenosiła się myślą do Włoch, była w Neapolu, płynęła barką i zdawało się jej, że słyszy:

Tu sei sempre il paradiso

A w Jance wstawalo jakieś ogromne pragnienie zobaczenia tych cudów. Dopełniała słyszane czytaniem i wyobraźnią i tysiące obrazów zaczęło snuć się przed jej duszą.

Milczenie zaległo. Pokojówka nalewała i roznosiła herbatę.

Rutowski pochylił nisko, nad szklanką twarz, bo tęsknota szarpnęła mu boleśnie sercem do tych brudów, kamieni, słowem do tego piękna, w którym się bezwiednie kochał. Wstydił się sam siebie, bo jakto on, ojciec sześciorga dzieci, stary człowiek, jeszcze o takich myśli głupstwach, niby pierwszy lepszy mlókos! — Tfy... panie tego i owego — splunął nieznacznie i zaczął rozmawiać o gospodarstwie.

Stabrowska poszła do biblioteki i na białej karcie pisała:

„Epizod: szlachcic, który był we Włoszech i nazywa Rzym folwarkiem zdewastowanym. O Neapolu mówi: śmierdzi, ludzie śmierdzą, ulice śmierdzą, powietrze śmierdzi, morze śmierdzi. O Wenecji: kaczką brudna”.

Sanki z brzękiem zajechały przed dwór.

Stabrowski wyszedł i powrócił po chwili zmieszany jakiś i poblady.

— Po panią przyjechali, z Bukowca — szepnął do Janki.

— Ojciec chory! — porwała się z krzesła takim ruchem, jakby biec chciała do niego, ale powstrzymała się, stłumiła przestkach i spokojnie się pożegnała.

Wolińscy zrobili to samo i wkrótce wracali do Rozłogów. Chciała jeszcze wstąpić do nich, aby się przebrać na drogę.

Stabrowska po ich odjeździe powróciła znowu do biblioteki i na purpurowym papierze pisała:

„Ojciec umarł! — zerwała się z krzesła i z wyciągniętymi rękoma, z krzykiem strasliwym w oniemiałych ustach i szeroko otwartych oczach, szła ku temu złowrogiemu posłańcowi śmierci, który ostrym zgrzytem zmącił słodką harmonję wieczoru”.

XII

Przez całą drogę do Rozłogów nie mówiono nic. Janka siedziała, ogłuszona wiadomością, nie pytała nawet, kto ją przywiózł. Dopiero kiedy wchodziła do sanek, przysłanych z Bukowca, spostrzegła, że siedzi w nich, prócz stangreta, ktoś drugi. Cofnęła się bezwiednie, wydało się jej, że to Andrzej, ale z pod kapuzy, bo śnieg padał, wychyliła się do niej ostra twarz Witowskiego.

— Pan tutaj, po mnie?

— Niech pani siada, bo pilno nam jechać — powiedział szorstko, okrywając ją bez pytania wielkim płaszczem futrzanym, który przywiózł z sobą.

— Ojciec bardzo chory? — zapytała nieśmiało po długiej chwili, gdy już jechali.

— Bardzo.

— Może... — nie domówiła, bo strach ją przejął szalony.

— Nie, ale zwarzował — powiedział z brutalną szczerością, która pokrywała rozdrażnienie.

— Jedź prędzej, choćby konie paść miały! — krzyknął na stangreta.

Sanki zamiotły tak silnie do rowu, że bezwiednie chwyciła się jego ręki, aby nie wypaść, i trzymała. Spoglądała na niego z prośbą niemą, ale on milczał z surowo ściągniętymi brwiami, a ją zaczął przejmować strach jakiś i żal okropny do siebie, że to jej wina, że to ostatnia scena zabiła ojca. Tak cierpiała, że łzy płynęły jej po twarzy. Płakała, nie wiedząc o tem, zapatrzona w tę dal zaśnieżoną, myślą w Bukowcu.

— Co pani łzy pomogą? sił pani potrzeba — powiedział, zwracając się więcej do niej.

— Ojciec... ojciec... — powtarzała cicho i bezdźwięcznie i coraz boleśniejsza męka ścisła jej serce; płakała ciągle, tym cichym płaczem rozpacz i beznadziejności.

Noc okrywała ich mętna, masy śniegu wolno, bez szelestu, otulały pola, drzewa i ich samych i spływały ustawicznie, jakby miały świat zasypać i rozpościerały jakąś okropną ciszę dookoła, w której jej myśli, niby zmęczone ptaki, kręciły się wkółko, napróżno szukając miejsca odpocznienia.

— Nie płacz pani, bólu pani nic, prócz czasu, nie uleczy — mówił dobrym, ludzkim głosem i pochylił się ku niej tak blisko, że ją owionął oddechem aż zadrżała, spojrzawszy mu w tę głąb, gdzie świeciły jego źrenice.

— Tam, w tych sinych przestrzeniach, w tym oceanie nicości, utoniemy wszyscy, wszyscy, ani jeden atom naszego ja nie ocaleje. Tak chce Bóg. Takie jest prawo. Silna dusza świadomością, to pancierz przeciw bólowi. Nie płacz pani. Ze śmierci nie potrzeba się śmiać, ale i płakać nad nią nie trzeba, bo nie zmieni porządku, zresztą, ojciec nie umarł jeszcze.

Nie odpowiedziała, tylko poleciała duszą w te przestrzenie, na które ręką wskazał i ogarnął ją jakiś powiew zimny i przerażenie. Głos jego wydał się jej, jakby pochodził z tamtej strony życia, jakby z tych obszarów konieczność mówiła i nieubłaganie; słuchała z bojaźnią.

— Nie płacz pani — powiedział miękko, odczuwając febryczny dreszcz, jaki nią wstrząsnął. Pochyliła niżej głowę i łzy bólu, palące łzy, upadły mu na rękę, poprawiającą płaszcz na niej. Cofnął ją jakby sparzony.

— Prędzej! — zawołał i zamilkł.

Po jakiej godzinie jazdy, śnieg zaczął rzednąć i ustawać; a z poza szarości prześwitywały gwiazdy i wiatr ostry zrywał się z pól, huczał w lasach i kłębił śniegi.

— Odwagi! Kiedy tylko pani zechce, to dom nasz i my jesteśmy do rozporządzenia — powiedział, kiedy wysiadł przed stacją. Ucisnęła mu ręce, silnie ucałował je i odjechał.

Nowa służąca przyjęła ją obojętnie, tylko Roch całował ją po rękach, obejmował za kolana i ze łzami szeptał:

— A juści, że zachorzał, a juści... że się pewnikiem zamrze panisku, a juści...

Poszła prosto do pokoju ojca i krzyknęła z przerażenia, ujrawszy jego głowę ogoloną zupełnie, pokrytą ranami, twarz cała była w ranie, na oczach miał przepaskę.

— Jezus, Marja!

— Cicho! — szepnął doktor, który przyszedł za nią. — Chodźmy stąd.

— Usnął niedawno — powiedział, wprowadzając ją do saloniku.

Grzesikiewicz, który tam był, w milczeniu podszedł i gorąco ucałował jej rękę.

— O, jaki pan jesteś dobry — szepnęła z głęboką wdzięcznością, patrząc na jego twarz zbiedzoną, zmizerowaną, po której teraz latały płomienie radości jakiejś.

— Cicho! przejdziemy chyba do stołowego, tutaj jeszcze za blisko chorego.

— Pani się położyć powinna, już późno, trzecia. Musi pani czuć się bardzo zmęczoną...

— Nie, nie, będę siedziała do rana przy ojcu, może czego będzie potrzebował.

— Pójdiesz pani spać natychmiast! o ojcu ja pamiętam — napisał śpiesznie doktor na kartce, bo już założył respirator.

— A dobrze, czuję się strasznie znużoną i tak głowa mnie boli, boli... — ścisnęła sobie skronie i smutnym, przejętym bólem wzrokiem patrzyła na Andrzeja.

— Dobranoc pani — szepnął, biorąc ją za rękę.

— Czy jutro... jutro... — zaczęła z wysiłkiem.

— I jutro i zawsze; życie moje przecież należy do pani — powiedział prosto.

Usiadła i zaczęła płakać ze zdenerwowania; ucałował jej rękę, pocałował ją w pochyloną głowę, jakimś pocałunkiem głębokiej czci i miłości i odjechał.

Nie, nie miała sił podnieść się z krzesła, nie miała sił nawet podziękować mu za jego dobroć niesłychaną; siedziała tylko i zażawionemi oczyma odprowadzała go do drzwi i biegła za nim myślą, to znowu patrzyła na doktora, rewidującego swoim zwyczajem okna, drzwi i lufciki i chodzącego w milczeniu po pokoju. Nie zwracała uwagi na jego groźne spojrzenia i niecierpliwe ruchy, jakimi ją wyprawiał spać.

Co ją to wszystko obchodziło, czuła się tylko śmiertelnie zmęczoną, a do zmęczenia dopływały jeszcze nowe strumienie gryzącego żalu, pomieszane z wdzięcznością dla Andrzeja i przejmowały ją takim rozczławieniem denerwującym, że płakała, nie wiedząc nawet o tem.

Dalekie echa dzwonek przy saniach, tłukące się po lesie, jakie napływały z wiatrem i wdarły się przez szyby w tę tragiczną ciszę mieszkania, przepełnioną widmami jęków i zapachem karbolu, oprzytomniły ją nieco.

— Czemu odjechał? — myślała, z jakimś niewyraźnym jeszcze lękiem, patrząc w okno, w rozbielony śniegami świat, w te zimne, roziskrzane gwiazdami granatowo-płowe przestrzenie. Zatrzęsa się z zimna, z przejmującego zimna, jakie płynęło ze wszystkich stron, z obawy, jaka ją coraz silniej przenikała.

Podniosła się, okryła chustką i chciała zajrzeć do ojca, ale doktor zastąpił jej drogę i rozkrzyżowanemi rękoma nie puścił.

— Śpi — szepnął, zdejmując respirator. — Niech pani idzie spać.

Podniosła się znowu i automatycznie szła ku drzwiom swojego pokoju.

— Boję się — szepnęła cicho, powracając do niego.

— Czego?

— Nie wiem, coś ze mną się dzieje, z czego nie umiem zdać sobie sprawy. Zalewa mi się mózg i serce jakąś ciemną obawą. Niech doktor mówi, straszy mnie ta cisza okropna.

— Niech doktor mówi, boję się ciemności, boję się samotności, bo mi się zdaje, że skoro tylko zostanę samą, musi się znowu stać coś straszego.

— Niech doktor mówi — błagała coraz ciszej.

— Rozdenerwowanie i nic więcej, trzeba iść spać, a wszystko przejdzie.

— Nie, niech mi doktor opowie, jak się stało z ojcem. Może doktor lampę rozjaśni i drzwi pozamyka, bo mi jest straszliwie zimno.

Trzęsa się jak w febrze.

— Nie czas na opowiadanie, ale jak pani chce, to opowiem o ile wiem, lub się domyślłam, to nawet dobrze zrobi na nerwy pani.

Po pani wyjeździe przez kilka dni był zupełnie spokojny, tylko rozkazał Janowej, aby kładła do obiadu po dwa nakrycia, a wieczorami zamykał się i z zapaloną świecą chodził po mieszkaniu i oglądał wszystko.

Zalescy przed wyjazdem wyprawiali pożegnalny wieczór, był na nim i, jak opowiada pan Babiński, zachowywał się normalnie.

Dopiero po powrocie stamtąd, kazał Janowej zawołać pani.

Nie chciał uwierzyć, że pani wyjechała.

Nawymyślał jej i poszedł szukać po mieszkaniu i stacji całej; szukał po drodze, szukał nawet w lesie.

Rano poszedł, jak zwykle, do kancelarii, zamknął się na klucz i siedział tam kilka godzin. Słyszeli, że cały czas rozmawiał i kłócił się z samym sobą, a raczej z tym swoim sobowtórem, ale służbę jeszcze pełnił przytomnie. Tak zeszło kilkanaście dni.

Odzywał się tylko coraz mniej do otoczenia i coraz częściej całe noce nie spał, tylko chodził po mieszkaniu i szukał.

Czego szukał? niewiadomo.

Przedwczoraj w nocy, służącą obudziły krzyki głucho i trzask rozbijanych sprzętów. Obudziła Rocha i z nim dopiero pobiegła do jego pokoju. Stał na środku i śmiał się, a potem szukał, rozrywał sprzęty, właził pod meble, tupał nogami i krzyczał ze złością na tego drugiego.

— Gdzie ona? Mieciu, psiakrew, bo zabiję!

Nie słyszeli więcej, bo spostrzegli ich i rzucił w Rocha krzesłem, uciekli. Rano, służąca znowu zajrzała do jego pokoju. Szyby były wytłuczone, świeca się dopalała na środku pokoju, a on pookręcany w poobrywane firanki i w zdarte pokrycia mebli, obłąkany, pokrzwawiony, straszny, siedział w kącie.

— Okropne!.. okropne!.. — szeptała Janka i serce jej przepęniał taki straszny, dziki ból, że z piersi wydobywały się krótkie, chrapliwe jęki, podobne do skowytu; pochylała głowę niżej, pod ciężarem tego udręczenia winy własnej, jaką sobie coraz wyraźniej uświadamiała.

— To moja wina! To przeze mnie — myślała ciężko w tem poczuciu ostrem, jak nóż, które raz po raz przeszywało jej mózg i serce.

— Dosyć ma już pani — szepnął doktor, odczuwając, co się w niej dzieje.

— Niech doktor kończy, niech doktor mówi, chcę wszystko wiedzieć — mówiła prędko, chwytając powietrze posiniałymi ustami i podniosła na niego oczy tak pełne zniekania, żalu i rozpacz, że doktor ją ujął za rękę i bardzo serdecznym głosem powiedział:

— Nic tu pani nie jest winna, prawie nic. Tak, czy owak paniby postąpiła, on nieodwołalnie musiał skończyć obłąkaniem. Mówię to zupełnie szczerze, bo nietylko byłem jego przyjacielem, ale i lekarzem.

— Prawie nic, prawie nic... — powtarzała wolno, a czuła, wiedziała teraz, w tej chwili, że była winną wiele, bardzo wiele i przesuwano się jej w pamięci tysiące scen, kłótni, rozdrażnień, cierpień, jakich była jedynym powodem.

— Zresztą któż zna granice i cały ogrom wpływów i oddziaływań duszy na duszę; któż wie, kto winien? kto ma odpowiadać za nieszczęścia, jakie się stają? Wszyscy są winni i wszyscy pokrzywdzeni, ot co. No, uspokój się pani, już się stało i nic tego nie odmieni; fakty są to trupy, których nikt nie wskrzesi, jak nikt nie wskrzesi dnia, co przeszedł. Możesz pani myśleć o tem nieszczęściu i to myśleć głęboko, bo myślenie wypala odczuwanie... ot co! — Zakaszła się straszliwie i potem długo siedział bez ruchu, wpatrzony w okno.

Janka milczała także.

Cisza była denerwująca, tylko wiatr rzucał suchym śniegiem w okna i świstał po szybach, a gdzieś, z bardzo daleka, szły jakieś słabe głosy, jakby wycia wilków i trzask odpadających w lesie gałęzi, albo z pokoju Orłowskiego wydobywały się długie i bolesne jęki, drżały chwilę i rozplywały się w ciszy.

— Dokończ pani — zaczął doktor. — Wczoraj rano przyszedł ojciec do biura, przywitał się ze wszystkimi i poszedł do swojej kancelarii. Chociaż tam był zastępca jego, którego przysłała dyrekcja, zawiadomiona o wszystkim, nie zważał na to, usiadł na sofce i zdrzemnął się. Żeby mu nie przeszkadzać, zastępca ów wyszedł.

Po jakiejś godzinie, pan Babiński, który był na służbie w telegrafii, usłyszał zamykanie drzwi na klucz i wkrótce odgłosy jakby uderzeń i krzyki:

— Zabiję, zabiję! Dostyc mam tego, dostyc!

Stukano i proszono, aby drzwi otworzył, napróżno.

Stali wszyscy pod drzwiami, nasłuchując, kiedy naraz drzwi się gwałtownie otwarły i zatrzasnęły natychmiast. Zobaczyli tylko, że zrobił ruch, jakby kogo siłą wyrzucał.

Pozbył się drugiego swojego ja i w obłąkanym mózgu zaświtała zupełnie naturalna idea — pozbycia się go na zawsze: więc pod drzwi, które go wyrzucił, a mógł przypuszczać, że odgłosy, jakie z tamtej strony słyszał, były dobijaniem się wyrzuconego — pościagał papiery, krzesła połamane, meble porozrywane, maszynki do stemplowania biletów, drzwiczki nawet od pieca poobrywał, ułożył z tego stos, oblał naftą z lampy i podpalił.

Sądził, że spali tego dręczyciela.

Drzwi tymczasem nadaremnie próbowano otworzyć i dopiero, gdy dym zaczął się przedzierać przez szpary, wzięto się do wyważania ich. Świerkoski wybił od peronu okno i skoczył do środka. Usłyszał tylko straszny krzyk: Żyje! Żyje! i odgłos upadającego ciała — musiał uciekać, bo dym go dusił i stos ów palił się i zapełniał ogniem pół pokoju.

Wywalono wreszcie drzwi i wyniesiono ojca napół żywego. Upadł prosto w ogień i palił się cały.

Oto cała historia. Smutna historia!

Założył respirator, popatrzył na Jankę i poszedł do chorego.

Nie powrócił już do niej.

Lampa dogasała i brudny mrok zimowego świtu zaczął zalewać pokój i wydobywać kontury przedmiotów.

Poszła do swojego pokoju i z czołem oparłem na szybie stała, nie myśląc nic i nie czując; śledziła bezmyślnie brudne kłęby oparów, co się wznosiły z nad oparzelisk i bagien leśnych i rozlewały się nad lasami szarym obłokiem; to patrzyła w gwiazdy, coraz słabiej świecące i w bolesnie czerwone zorze świtu, co jak ostrza rozpalone wrzynały się w szarość obłoków i siały purpurową szczęgę na śniegi, lasy i przestrzenie.

Nie myślała, ale mózg jej bezwiednie odtwarzał dopiero co słyszane sceny szaleństwa i z taką brutalną wyrazistością i tak nieubłaganie w szczegółach rysował, że z wolna zaczęła drżeć z przestachu i cofać się od szyby, bo była pewna, że to wszystko teraz się dzieje; że z tamtej strony okna zobaczyła jakąś larwę, patrzącą wprost wypalonymi oczodołami.

— Ojciec! ojciec! — łkała bezprzytomnie ogarniona takim gwałtownym paroksyzmem strachu że była bliska szaleństwa.

Chciała krzyczeć, uciekać — nie mogła! Wyciągnęła ręce bezsilnie i upadła nieprzytomna na podłogę.

XIII

Rano Orłowski leżał niby kłoda opalona, doktor okręcał mu twarz i głowę kataplazmami.

— To pewna, że oczu się nie uratuje — powiedział.

— Niema żadnego ratunku?

— Żadnego. Życ będzie, ale skończone z nim. Jak tylko można będzie, przewiozę go do szpitala.

— Nie, za nic w świecie, przecież może się leczyć w domu.

— A tak, a w pierwszej chwili, gdy się poczuje lepiej, może wpaść w furję. Umieszczę go u Bonifratrów. Tu już i czułości nie pomogą — rzucił szorstko, zakładając spieszenie respirator.

Nic już nie oponowała, nie rozpaczała nawet, chodziła jak trup, świecąc zapadłemi głęboko oczyma, zaniedbana i apatyczna na wszystko. Co jakiś czas zaglądała do ojca, patrzyła na niego i wychodziła.

Coś się w niej zerwało, jakaś zdolność odczuwania bólów, czucia nawet. Dopiero z przyjazdem Andrzeja ożywiła się nieco. Grzesikiewiczowa przyjechała z synem, i z wielką troskliwością uspakajała ją i pocieszała, jak mogła; ale w akcencie głosu, w twarzy, miała przymus jakiś i oschłość, której pokryć nie umiała. Patrzyła na Jankę bolejącem, litościwem okiem, ucierała nos głośno dla zamaskowania pomieszania i przenosiła oczy na

syna: a widząc jego zmizerowaną twarz, jego oczy płomienne i ślady głębokich cierpień w całym obliczu, pochylała głowę, poprawiała sukni, żeby się nie pogniotła, i niechęć ostra, prawie nienawiść, przesycała ją do tej sprawczyni wszystkiego.

Wiedziała od Osieckiej i Józki wszystko.

Ale widząc znowu, jak Janka dogląda ojca, z jak głębokim szacunkiem doktor zwraca się do niej, jak Andrzej ją całuje po rękach, poczuwała zadowolenie, zaczynała czuć niewiarę w to, co słyszała od Józki, bo nie mogło się pomieścić w jej chłopskiej głowie to wszystko, co tutaj widziała — z tem, co słyszała.

Andrzej, zdawało się, nic nie pamiętał. Kochał ją, pomimo wszystkiego, i te kilka tygodni rozłączenia, pełne męki, przekuły mu duszę; tysiąc razy wybierał się do niej jechać, prosić o przebaczenie, ale zawsze brakło mu odwagi. Dopiero ten wypadek straszny, któremu był prawie wdzięczny, wytrącił go z błędnego koła bezradności i z całą szczerością pośpieszył podać jej rękę do zgody i zapomnienia przeszłości.

Nie mówili o tem, ale wrócili do dawnego stosunku, jakby pomiędzy nimi nie było tych anonimów i zerwania. Podwajał teraz troskliwość o nią, żeby zatrzeć przeszłość; Janka odpłacała mu wdzięcznością i zwracała się doń we wszystkich sprawach, bo teraz czuła, że prócz niego nie ma już nikogo na świecie.

Dnie wlokły się strasznie smutnie i monotennie.

Rany Orłowskiego goiły się bardzo powoli, a on sam leżał wciąż nieruchomy, z opaską na oczach, i nie odzywał się ani słowa, poruszał czasem ustami, jakby mówił niedosłyszalnym szeptem, i nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie.

Doktor przyjeżdżał codziennie opatrywać go i odjeżdżał, często nie zamieniwszy ani słowa jednego z Janką lub z Andrzejem, który całe dnie przesiadywał, jeździł do apteki po lekarstwa, pomagał nawet doktorowi przy opatrunku, pamiętał i zmuszał Jankę do jedzenia i spania, czuwał z niewyczerpaną dobrocią nad wszystkim.

Marzec był już w połowie, dnie nastaly brudne, deszcze zaczęły zalewać świat, śniegi znikaly; ta ohydna szarość przedwiosenna sączyła się z nieba i zalewała ziemię. Czasami tylko, w południe, słońce przedzierało się przez opary i rozpromieniało jasnością i ciepłem, i wtedy lasy zieleniały, wody lśniły atlasową miękkością i szmaragdem, wróble świergotały na gzymsach i pod oknami, i Janka budziła się jakby z apatii, w jakiej była pogrążona, rozglądała się po mieszkaniu, jakby po śnie, powracała jej cała świadomość, ale ze zniknięciem słońca, wpadała znowu w dawny, szary stan egzystencji prawie roślinnej.

Chodziła smutna po tem mieszkaniu, pełnem zapachów karbolu i jodoformu, przesyconem żalobą i nieszczęściem, pełnem, zwłaszcza w nocy, jakichś ech okropnych, drgań, akcentów, skarg i płaczów, co nieraz w przejmującym *largo* wylaniały się z cieniów i przenikały jej duszę bólem bezbrzeżnym.

Po jednej z takich niespanych, pełnych udręczeń nocy, w której się jej zdawało, że wciąż słyszy ciche tony fortepianu Zaleskiej, i że las huczący wichurą wyrывa się i leci, a z nim wszystkie jęki, i wszystkie głosy, i wszystkie skargi ziemi zrywają się i brzmią w przestrzeniach i zapełniają pokój zgrozą i zgiełkiem — i w jeden z takich dni marcowych, w których życie jest ciężarem, myśl jakakolwiek niemożebnością, wszelki ruch męczarnią, w której człowiek nerwowo szaleje z niewytłumaczonego bólu, i w przygnębieniu, w strachu i w apatii jednocześnie zalega jaki kąt cichszy izby, i, oszołomiony, zmęczony śmiertelnie, ogłupiały, słucha plusku nieustannych deszczów i poświstów wichury, i kona z rozpaczliwej nudy, — przyjechali Witowscy z Andrzejem.

Podniosła się na ich przyjęcie apatycznie, a nawet z pewną niechęcią, bo zmuszali ją do mówienia i ruchu, kiedy jej najwygodniej było siedzieć samotnie i nic nie myśleć.

— Tyle słyszałam o pani, o nieszczęściu, zmusiłam brata, aby mnie, nieznajomą, przywiózł, bo wiem, że współczucie jest czasami balsamem — mówiła Jadwiga.

— Częściej tylko plastrem, który przeszkadza ranie wygnić, a przez to zagoić się.

Pożałowała swojej ostrości, bo Jadwiga pobladła i usta drgnęły jej bólem.

— Niech mi pani daruje te słowa, jestem tak wprost ogłupiona różnemi rzeczami, że bezwiednie zupełnie i niesprawiedliwie krzywdzę — prosiła Janka, ocknąwszy się ze swej senności.

— Ból nie szuka najłagodniejszej formy uzewnętrznienia się, tylko najtwardszej. Odczuwam panią i rozumiem.

Ścisnęły się silnie za ręce i patrzyły sobie w twarze.

— Nie widzę, pozwól pani, że dotknę się jej twarzy.

Janka nachyliła się ku niej, Jadwiga delikatnie, końcami palców dotknęła się czoła, oczu, nosa i brody. Opuściła potem ręce i skupiła uwagę na chwilę.

— Wiem, jak pani wygląda. Wiem. Czuję panią! — Uśmiech niesłyszanej dobroci i przyjaźni rozjaśnił jej twarz piękną, i jakby rozlał po pokoju jasność, pełną blasków wiośnianych.

Siedziały przy sobie i mówiły długo.

W stołowym, Andrzej z Witowskim wiódł cichą rozmowę o jakimś serdecznym napięciu, bo oczy mu błyszczały rozrzwinięciem, gdy spoglądał na panie, siedzące w saloniku.

Jakoś dobrze im było, wytworzyła się pomiędzy nimi atmosfera pełna sympatii; Janka mówiła mało, ale słuchała z chciwością; słodki głos Jadwigi, jej słowa pełne dobroci i jakiejś wprost nadzwyczajnej słodyczy uspakajały ją i wzmacniały. Budziła się w niej powoli energia, podnosiła duszę z apatii i z podziwem i czcią prawie patrzyła na tę ślepą dziewczynę, której każde słowo tchnęło miłością ludzi, przebaczeniem i wiarą.

Takich rzeczy nikt jej nie mówił, takiego serca nie przeczuwała nawet istnienia.

— Ale czuje pani i mówi, jak święta! — wykrzyknęła wkońcu.

— O, nie! tylko jak głęboko wierząca, jak chrześcijanka. Wiara mnie uzdrowiła i wzmocniła.

— Wiara? Czyż to może być, aby mogła oderwać duszę zupełnie i na zawsze od nas samych?

— Nie, ona nie odrywa, ona tylko rozpała duszę miłością wszystkiego i przebaczeniem wszystkiego, rozjaśnia oczy. Kto wierzy w Boga, ten wszystko wie, dla tego niema tajemnic, wątpliwości, szamotań; kto wierzy, jest silnym i na życie, i na śmierć; kto wierzy, ten żyje i pracuje, jak robotnicy u dobrego pana, bo wie, że przyjdzie godzina zapłaty za trudy, godzina odpoczynku.

— I pani tak mówi! Pani, która, przy wszystkich warunkach posiadanych do szczęścia, jesteś najniezwyklejszą, bo już tracisz wzrok, bo jutro może zupełnie zaniewidzisz? Pani błogosławisz?

— Tak, bo tak się Bogu podobało — powiedziała prosto, pochylając głowę.

— Panno Jadwigo! Na litość, nic nie rozumiem.

— Cicho! Jeśli Bóg tego chce, to tak być powinno!

— Ale skąd wiemy, że Bóg tego chce, abyśmy byli niezszczęśliwi? Czy to nie jest złudzenie, czy...

Doktor im przerwał, bo przyszedł, pooglądał lufciki u okien i drzwi do przedpokoju, rozdziął się ze swoich pledów i obsłon, kiwnął im głową i poszedł do chorego.

Nie mówiły już więcej, bo rozległ się głos Orłowskiego, pierwszy raz od czasu choroby.

Janka wzięła za rękę Jadwigę i poszły do jego pokoju.

Orłowski siedział na łóżku, opaskę miał na oczach i twarz całą pokrytą szklistą, czerwoną skórą, wychudłą i tak zmienioną, że niepodobna się było w niej doszukać śladów dawnej.

— Zgoda, panie Mieciu — mówił i potrząsał wyciągniętą ręką, jakby ścisnął dłoń komu. — Już się teraz nie opuścimy. Hm!.. chce ci się jeść? Zaraz. Dajcie Mieciowi jeść.

Janka ujęła go za rękę i podniosła do ust.

Nachylił się na bok i szeptał coś cicho i tajemniczo, a potem rzekł głośno:

— A Janka! Pamiętam, pamiętam. Dobrze, żeś przyszła, bo Mieciowi trzeba dać jeść.

Doktor zaczął mówić do niego. Orłowski słuchał, ale pochylony w stronę, gdzie stał ten jego sobowtór, zwracał chwilami głowę do mówiącego i rzekł:

— Jak się masz! Każno dać jeść Mieciowi, bo nam się chce jeść. — Później szeptał coś pocichu, nie zwracając uwagi na nikogo i położył się.

— Klasyczny przykład rozdwojenia osobowości — mówił doktor, i zaczął objaśniać Witowskiego, ale Witowski nie mógł słuchać, zrobiła ta scena takie wrażenie na nim, że zabrał Jadwigę i odjechali, prosząc usilnie, aby po umieszczeniu ojca w szpitalu, Janka przyjechała do nich.

— A my jutro przewieziemy ojca — powiedział doktor Jance.

— Doktor pozwoli, że i ja pojedę, mogę być użytecznym — ofiarowywał się Grzesikiewicz.

— Ja także pojedę. Chcę zobaczyć, jak tam ojcu będzie.

— Poco? a jakże, tam miejsce dla histeryczek! to nie żaden flirt paniński! — burknął doktor, zakładając spieszenie respirator.

— Wytrzymam; tyle przesłam, to i to zniosę.

Nazajutrz, osobnym przedziałem odwieźli go do Warszawy.

Dla Janki ta droga była męczarnią. Patrzyła ciągle w okno, albo stała na korytarzu, żeby nie widzieć straszliwie oszpeconej twarzy ojca.

Orłowski wiedział, że jedzie, że jest przy nim doktor, córka, Grzesikiewicz, witał się z nimi, ale nie zwracał na nich uwagi, bo rozmawiał szeptem z tym drugim, któremu ustępował miejsca, sam zajmując brzeżek siedzenia.

Na stacjach, koledzy i znajomi przychodzili go zobaczyć, bo wypadek był głośny na linii. Przystępując, mówili mu swoje nazwiska. Nie odpowiadał zaraz, tylko pocichu pytał Miecicia, co to za jedni, i dopiero wtedy zamieniał po kilka słów. Jankę tak rozdrażniały podobne sceny i te twarze rozciekawione, te banalne pocieszania i jeszcze gorsze litościwe spojrzania, że zatarasowała drzwi i nie chciała nikogo wpuszczać.

W Warszawie czekała już zamówiona lektyka, którą przeniesiono chorego do szpitala.

Jankę grobowe zimno owionęło, gdy się znalazła w długim i mrocznym korytarzu szpitala; szła za lektyką, jakby za trumną. Jakiś człowiek w lachmanach chodził po korytarzu, w papierowym kasku na głowie, z epoletami z czerwonego papieru na porwanej w strzępy bluzie; pas naklejony złotym papierem ścisnął chudą jego postać, salutował poważnie blaszanym pałaszem przechodzących, zawracał po wojskowemu i chodził dalej sztywnym, miarowym krokiem, niebieskawymi oczyma wpatrzony w jakąś próżnię.

Orłowskiego umieszczono w pokoju na pierwszym piętrze.

— Niech pani jedzie do domu, ja będę doglądał ojca; podług prawa, może pani jeszcze mieszkać w Bukowcu półtora miesiąca — radził doktor, gdy wyszli ze szpitala.

— Ani dnia nie będę tam mieszkała, wyjadę do Rozłogów.

— Czy pani wychodzi za Grzesikiewicza? — zapytał otwarcie.

— Prawdopodobnie wyjdę. — Zaczęła mu dziękować za wszystko, co dla nich uczynił.

— To mój serdeczny obowiązek zrobić, co zrobiłem; byłem waszym przyjacielem nie z nazwiska, a zresztą taka fenomenalna choroba. Będę ją studjował, to mi się opłaci.

Zaśmiała się sucho, założył respirator i machnął ręką, żeby sobie pojechała.

— Co jakiś czas będę tu zaglądała, a gdyby było gorzej, to proszę o zawiadomienie.

Skinął głową, wsadził ją w dorożkę i odszedł.

Gdy się znowu znalazła w pustym mieszkaniu w Bukowcu, pełnym tylko niewywie-trzałych zapachów karbolu, uczuła, że słabnie, że siła bezwładności, w jaką ją opancerzyła apatia i nadmiar wrażeń — gnę się i rozpryskuje, że gotowa będzie popełnić szaleństwo jakieś, byle się wyzbyć tych udręczeń i osamotnienia.

Siedziała w cichym saloniku i szklanym, martwym wzrokiem przyglądała się fortepianowi, co w mroku wyszczerzał żółte zęby klawiatury, meblom jakimś obumarłym, tchnącym jakby stęchlizną i niemocą taką, że bała się dotknąć czegokolwiek, bo się jej wydało, że to wszystko się rozleci i rozsypie w pył...

Po kilku godzinach snu męczącego, obudził ją pociąg, z hukiem przebiegający stację.

Czerwone latarnie rzuciły na pokój krwawą smugę światła, które się rozlało w cieniach strumieniem iskier; zerwała się i wsłuchiwała — pociąg huczał na moście i po chwili, oddalone, głuche dudnienie milkło i zlewało się coraz bardziej z szumem lasu.

Już nie usnęła. Uprzypomniła sobie wszystko i strach niewytłumaczony przejął ją zimnem i niepokojem, który napróżno stłumić usiłowała.

Stacja ogłuchła i oniemiała, tylko druty telegraficzne, targane wichrem, brzęczały słabo, i oderwany kawał blachy na dachu magazynu targał się i bił twardo o ściany i skrzypiał, a czasami do tych głosów las dorzucił rytm głęboki i krótki, lub wiatr zaszumił głucho, zgarnął wszystkie odgłosy i niósł dalej.

Koguty w zabudowaniach gospodarczych piał regularnie co godzina. Nie mogła już dłużej znieść tej strasznej monotonji nocy, tej ciszy i tego męczącego uczucia niepokoju, a wprost bała się poruszyć z łóżka. Pomieszane z wrażeniami myśli zaczęły ją zalewać chaosem, z nieświadomych głębin wynurzały się jakieś słowa nieznanne, jakieś nieuchwytnie

dźwięki, barwy nigdy nie pamiętane, sceny umarłe dawno w pamięci, twarze wyblakłe, przestrzenie. Życia upłynionego widma, co teraz ukazywały się na zrębie jawy mgnięniowej, chygotały się i rozwijały na wąskim skrawku świadomości i rozpadały w chaos, ustępując miejsca zmartwychwstaniu innych, nowych, nieskończonych. Mózg jej zrobił się jakby terenem walki, widownią, na której tłoczyły się zobrazowane wrażenia, zmartwychwstając i umierając równocześnie; a jej się wydało, że to wszystko dzieje się zaraz przed nią, że siedzi z boku i patrzy, podziwia, wzrusza się, poznaje niektóre rzeczy, przypomina sobie niektóre, a na wiele spogląda z obojętnością, bo nie poznaje — i wszystko tak szybko się staje, w takim wirze się przewala, że nim zdąży sobie przypomnieć, zobaczyć i — znika, i zmienia się, i różniczkuje.

Wkońcu nic już nie poznaje. Spogląda na pokój i widzi go dobrze; lampka pali się przed obrazem Matki Boskiej, migotliwym, żółtym płomykiem oliwy, i subtelne iskry światła drżą i ślizgają się po szkle, pokrywającym portret jej matki, a przez okna zagląda szaro-zielona twarz nocy, o błękitnych, głęboko osadzonych oczach gwiazd.

— Co mi jest! czy ja spałam? Myśli — i patrzy się w ścianę — nic, widzi salonik, widzi pokój jadalny, widzi pokój ojca! — Zadrżała, bo z za jakichś kotar, cieniów wychyla się postać ojca!

On, on! — krzyczy jej coś w duszy rozdzierająco, i chciała się zerwać i biec, ale siedzi nieruchoma, i patrzy na ojca widmo, który z czarną przepaską na oczach, z ogoloną głową, z twarzą czerwoną, poranioną, z rękami wyciągniętymi — idzie... idzie... idzie...

Strasza noc! tak ją zmęczyły halucynacje i takim strachem przejmowały, że w chwili już świtowej, poczuwszy nieco siły, zerwała się z łóżka. — Oszaleję! Oszaleję!

Dodnia jeszcze posłała po Andrzeja.

Prosiła go, aby wszystko, co było w mieszkaniu, przewiózł do Krosnowy, i żeby się tem zajął, bo ona nie była w stanie dłużej w tem mieszkaniu przebywać.

A gdy ją zawiózł do Rozłogów, do Wolińskich, i przy rozstaniu, gdy patrzył jej w oczy i żądał spojrzeniem odpowiedzi, nie śmiejąc nic mówić — rzekła mu:

— Na wiosnę! Niech się trochę uspokoję. Przyjeżdżaj pan często, bardzo często! przecież prócz pana nie mam już nikogo na świecie!

XIV

Wiosna się budziła.

Kwietniowemi rankami, o świtanie, gdy łąki, moczary i wody, niby z kadzielnicy dymły słupami oparów ku purpurowo-żółtym zorzom wschodu; gdy w rosach i wodach zapalały się barwy; gdy resztki cieniów — widma nocy, uciekały chyłkiem w gąszcza, lub na polach konały w światłości; gdy purpurowe, ogromne, bezręczne słońce wychyliło się z za lasów i rozlało po świecie miliardy drgań, błysków, światła i ciepła: wiosna podnosiła złotawo-senną głowę, uwieńczoną diademem z jaskółek martwych, i, jeszcze ociężała, napół świadoma piękna swego i mocy, płynęła nad polami zimnymi i martwymi, muskała wrębem słonecznej sukni ziemię i szare ugory się zieleniły; kaczeńce otwierały żółte oczy nad strumieniami i piły rosę; stokrotki przy drogach, na miedzach, rozchylały czerwone rzęsy; ostromlecze świeciły po rowach, w zaciszach, pomiędzy kamieniami; brzozy pękały i dyszały aromatem; topole, co nad drogami stały pół żywe, szeleściły, radośnie pijąc słońce czerwonawemi listkami; a wiatr ciepły, pieszczący, niby tchnienie matki, obejmował ziemię, suszył pola, topił resztki śniegów, co brudnymi plamami świeciły po dołach i wąwozach, podnosił zboża, marszczył wody, budził ptaki, co się zrywały z głuszy leśnych na pola i śpiewały:

— Wiosna! Wiosna! Wiosna!.. — A wiosna była coraz potężniejsza; budziła lasy skostniałe, anemony, pierwiosnki, sasanki śmiały się pod cieniem sennych jeszcze olbrzymów; przepływała nad wodami — i wody rzucały resztki lodów, strumienie płynęły szybciej i błyskały szafirem i złotem; budziła wszystko i z jej dłoni dobroczynnych, z jej oczu złotych, z jej uśmiechów promiennych — płynęło na świat ciepło, życie i rozkosz!

Bociany brodziły z powagą po łąkach, a rankami długo klekotały po gniazdach, wróble po strzechach biły się jak szalone i całemi bandami leciały na świeże podorówki, na jęczmiona dopiero posiane, na owsy.

Po polach, po lasach, w przestrzeniach brzmiał krzyk głęboki, twórczy, nieśmiertelny.

Wiosna! Wiosna! Wiosna!..

Bydło w oborach ryczało na ruń, na powietrze pachnące; psy biegały olśnione, nieprzytomne z radości i tarzały się razem z dziećmi przed chałupami.

Pługi migotały na czarnej, ciężkiej ziemi, niby srebrne błyskawice, a za nimi rzędami chodziły wrony, a nad nimi śpiewały skowronki hymny upojenia.

Przepiętny rytm odradzania się, poczynania, miłości, drgał i przepływał przez wszystko, co było i co czuło.

Ludzie po polach śpiewali zapatrzeni w słońce. Starcy wyłazili na przyzby i wybladłymi oczyma pili nowe życie.

Serca wzbierały dobrocią, modlitwą, dziękczynieniem!

— A, życie! życie! — wybuchnęła Janka, otwierając ramiona do tych przestrzeni, zalanych pożoga słoneczną i tętniących wiosną. Śmiała się jej dusza i drżało serce, w wielkiej radości istnienia.

Nie mówiła więcej, tylko szła aleją parku i dotykała ręką grubych pędów lilij, co wychylały się z ziemi, gładziła liljowe perelki pierwiosnków, rwała pierwsze fiołki; to szła wpatrzona wdał, oddychając głęboko zapachem brzoź, ziemi świeżo oranej, słońca; słuchała ptaków świergocących, szmeru rzeczki, głosów lecących od zabudowań gospodarczych — i nie myślała nic, obejmując sercem wszystko i rozlewając się na wszystko — radością wiosny i zmartwychwstania.

— Jesteś pani entuzjastką — szepnęła Stabrowska, która szła za nią z Heleną. We trzy wybrały się po raz pierwszy do parku.

— Nie wiem, czym jestem, czuję tylko, że jestem, że dusza mi zaczyna płonąć, że szłabym gdzieś, że śpiewałabym razem z temi ptakami, że mam szaloną ochotę potarzać się po trawnikach, że mnie coś unosi do słońca, że chciałabym objąć to wszystko i przepaść! A, wiosno! wiosno! — dodała ciszej z niewypowiedzianą rozkoszą w sercu. Nie pamiętała ojca, Andrzeja, cierpień, nudy Rozłogów, bo czuła, że się budzi tak samo, jak ziemia pod pocałunkami słońca i ciepła.

Helena uśmiechała się z życliwą pobłażliwością, a Stabrowska, obwinęta w pled, w głębokich kaloszach, wodziła znudzonym wzrokiem po nagich drzewach i gryzła ołówek, bo nadaremnie szukała czegoś do zanotowania.

— Chyba już powrócimy, wilgoci tyle w powietrzu...

— Nie zdążyła pani nic zanotować i chce pani powrotu?

— Nic godnego uwagi niema, bo przecież tego notować nie będę, że wiosnę czuję w powietrzu. To dobre dla bardzo prostaczych natur. Boże kochany! Wiosna, to stary zleżały bagaż poetycznych retorów, którzy udają, że szaleją z rozkoszy, usłyszawszy śpiew skowronka, lub spostrzegłszy pierwszą stokrotkę! Błaga i dzieciństwo!.. — dokończyła drwiąco i szła dalej, strącając parasolką pierwiosnki i kłapiąc po rzadkim, wilgotnym żwirze alei za dużymi kaloszami.

— Kiedy pani jedzie do Warszawy?

— W sobotę w nocy, a raczej bardzo wcześnie w niedzielę, to jest jutro.

— Jeśliby pani zechciała mi jedną rzecz kupić...

— A owszem, cały dzień zwykle spędzam w Warszawie.

— Często pani jeździ?

— Ostatni raz byłam dwa tygodnie temu u ojca.

— Zdrowszy?

— Fizycznie zupełnie zdrowy, tylko umysłowo jak dawniej.

— Można spytać, kiedy ślub?

— W początkach maja. — Wyręczyła ją Helena, bo Janka pochyliła się nad fiołkami.

— W naszym kościele?

— Tak. Odbędzie się rano, pocichu, a po śniadaniu, jakie będzie u nas, wyjazd do Krosnowy.

— Poprawię cię, Helciu. Po śniadaniu wyjazd prosto do Włoch, to moja wina, opowiadałaś mi tyle cudów, że namówiłam pana Andrzeja, abyśmy prosto od ołtarza tam pojechali.

— Do Włoch! Co za romantyczna podróż! O, tak! to bardzo poetycznie; ręka w rękę płynąć lagunami Wenecji, spacerować po galerjach Florencji, zwiedzać Kolizeum rzym-

skie; o tak, to wzniosłe, żyć w chwilach pierwszych uniesień miłosnych w kraju, gdzie cytryna dojrzewa, gdzie pomarańcz gaj, gdzie laury, i gdzie wszystko śmierdzi, jak powiada Rutowski.

Szeptala patetycznie z gryzącą ironją Stabrowska, zmieniała szybko ton i mówiła surowym, poważnym głosem:

— Myślałam, że epidemia podróży poślubnych wygasła, że ta moda razem z krynolinami przeszła, a tymczasem! tak, to ciekawe, że gdy warstwy przodujące jeździć przestały, teraz plebs, pchany odruchem, czysto naśladowczym... tak, dobry społeczny temat — szeptala, szybko zapisując w notesie.

— Co za czasy okropne, że plebs zaczyna czuć się człowiekiem i zaczyna mieć cywilizowane potrzeby zobaczenia świata, piękna, arcydzieł! — wykrzyknęła złośliwie Janka.

— Podróże są znakomitą szkołą pogładową — rzuciła Helena.

— Zapominania obowiązków dla marnych przyjemności.

— Niech mi pani wierzy, że ja zawsze pamiętam o swoich obowiązkach — odpowiedziała Janka z naciskiem, bo Stabrowska już od pewnego czasu irytowała ją swojemi uwagami moralizującymi i ignorancją często dotkliwą.

— Ja nie zwracałam uwagi pani. Broń Boże. Mam takie zasady, jakie głoszę, a głoszę wolność indywidualną zupełną. Niech każdy robi, jak mu wygodniej i przyjemniej — mówiła prędko, rozbierając się w wielkiej sieni dworu i, przyszedłszy do salonu, wyjęła notes i pisała: — „Obowiązk! Dajcie mi spokój! Rozkosz jest moim obowiązkiem, upojenie, przyjemność, to co chcę, czego pożądam, czego mi potrzeba”. — Nie skończyła, bo przyjechał mąż i wszedł do saloniku — zaraz zaczął gorąco prosić Janki o zagranie.

— Bo chociaż żona moja nazywa mnie marnym filistrem, ale, jak pani wie, uwielbiam muzykę i po pracy jest mi ona bardzo krzepiącym odpoczynkiem.

— W tem właśnie jest filisterstwo. Nie cierpię brzdąkania, muzyką mogą się zachwycać tylko ludzie, nie umiejący myśleć. Jest to sztuka dusz płaskich i znudzonych, która je przyjemnie łaskoce, i przyjemnie zatapia w słodkim far-niente lenistwa i bezmyślności, dlatego właśnie muzyka w tem stuleciu budzi taki szalony wpływ na masy, bo bezmyślne...

— Nie, dziecko — przerwał dosyć łagodnie Stabrowski, kręcąc młynka monoklem.

— Masz przykry sposób przeczenia, tem tyranizujesz.

— Kiedy jestem tyranem, to raz jeszcze powiem: nie! — zawołał mocno, oczy mu błysły, wrzucił w oko monokl i drżącymi nieco palcami rozczesywał bokobrody.

— Nie, nie, nie! Muzyka dlatego przemawia do tłumów, bo mówi do ich uczuć szlachetniejszych, lepszych, bo zaspokaja pewną sumę idealniejszych pragnień i porywów, bo odrywa ich właśnie od ciężkiej i często istotnie bezmyślnej pracy, bo jest potrzebą przedewszystkiem uczucia...

— Uczucia! — przerwała mu triumfująco — to właśnie barbarja, bo tylko dzicy czują i wszystko sprowadzają do uczuć; człowiek kulturowy pojmuje, rozważa, myśli...

— Ej, gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie...

— Nie przerywaj. Takiemu człowiekowi, naprawdę cywilizowanemu, muzyka nie wystarczy, bo nie mówi do niego całego, bo nie może wystarczyć schemat, który można wypełnić dowolnie, czem kto chce. Muzyka, to chińska łamigłówka, którą każdy rozwiązuje po swojemu, i zawsze dobrze, bo jest bez rozwiązania. Muzyka, to jak te głosy przyrody, w których poeci, historycy, halucynanci słyszą hymny, czują słodycz, śpiewy aniołów, niebo, harmonje, a to jest tylko ryczenie krów na pastwiskach, krzyki ptaków w bitwie o żer i samice, szum drzew targanych wichrem, kwik osłów i świń; jednym słowem pierwotna bezrozumna kakofonja. Muzyka! nie mówcie, że to sztuka wielka, światowa, to kwilenie dzieci i warjatów, to... — zatrzymała się, aby zaczerpnąć powietrza.

— Mów dalej, żono, słuchamy i myślimy z Hamletem: Słowa! Słowa! Słowa!..

Stabrowska odwróciła się gniewnie do okna, patrzyła w milczeniu w okno, ale wkrótce wyjęła notes i pisała:

— „Mężczyźni są podli, i wtedy kiedy kochają — i kiedy nie kochają. Mężczyźni są nikkczemni, i głupi, i wtedy kiedy świat ma ich za mędrców, i kiedy są kretynami”.

Stabrowski, oparty o fortepian, mówił do Janki, rozkładającej nuty na pulpicie:

— Nie wiem dobrze, co się kryje pod nazwą filistra, ale przypuszczam, że żona ma rację, że jestem chwilami filistrem, to znaczy, że jestem człowiekiem, który pracować

musi, który nie może mieć zbyt wysubtelnionych uczuć, któremu nie wolno się osłabiać uniesieniami, ani nawet zbyt głębokimi rozmyślaniami; bo musi dodnia wstać, iść do gospodarstwa, i robić; musi trzymać się tej ziemi ze wszystkich sił, trzymać nie dlatego, że ten kawałek należy do niego od pięciuset lat, nie dla jakiejś tradycji kastowej, tylko dlatego, że to mój warsztat, na którym obowiązałem się wyrabiać codzienny chleb dla siebie i dla rodziny, i dla tych, którzy pracują razem ze mną, i dlatego, żeby za część mojej pracy fizycznej inni mogli myśleć, tworzyć arcydzieła, posuwać w spokoju wielkie dzieło postępu.

Jestem tylko nawozem, na którym rosną kwiaty i zboża, ale rozumiem to i zgadzam się, bo tak być powinno; a że nie chcę udawać słowika, gdy czuję się tylko koniem roboczym, więc nazywają mnie pogardliwie filistrem. Ależ ja nie niszczę słowików, nie zaprzeczam im prawa śpiewania i życia, bo wiem, że koń i słowik — są potrzebni w przyrodzie.

— Włożył pan głowę dobrowolnie w ciężkie jarzmo zrezygnowania.

— Cięższe jest ono, niżli pani przypuszcza, ale świadomie włożone! — spojrzal bezwiednie na żonę.

— Są ludzie, co umieją zmniejszyć ciężary, nawet własnowolnie podejmowane.

— Są, ale tacy, jak ja, filistrzy, brzydzą się kompromisami. Jest się uczciwym, lub się nim nie jest. Zacząć, to dokończyć, podjąć się czego, to dokonać. A zresztą, to nie widzę nigdzie ucieczki, bo nie tu, to tam, gdzie indziej, a zawsze, chociaż w coraz inny sposób, jakieś jarzmo musi ująć kark ludzki i gnieść do śmierci.

— Zawsze? prawda! — odpowiedziała i zaczęła grać preludjum Szopena.

Cisza zapanowała w saloniku.

Wieczór nadchodził. Zorze pomarańczowe paliły się za parkiem i oblewały nagie, czerwone dachy aureolą niesłychanie subtelnego fioletu, który razem ze zmrokiem wsączał się do pokoju i przysłaniał zwolna wszystko.

Janka z preludjum przeszła do improwizacji, która dźwięczała, niby skarga pohaftowana marzeniami, i zapełniała pokój nastrojem melancholji. — Chwilami pobłyskiwała łzami, jak te rozlewy i kałuże wody po brózdach, co się paliły w ogniach zachodu i świeciły ostro; czasami wionęła tak denerwująco, jak fale powietrza nabrzmiałe zapachami brzoź, fiołków i wiosną, to podnosiła głos i śpiewała głębokim, poważnym rytmem, w którym były i organów brzmienia i bicie dzwonów, i pieśni wypełniające dusze wszystkich, i te marzenia, co płynęły nad chatami, co się tulily w zakątkach serc i mózgow wszystkich.

Przycichły tony, osłabły i prowadziły smutny śpiew, przestronny, jak te pola, co za parkiem szły nieskończoną równiną, i rozlewały się nad niemi skargą bolesną — tony ligawek pastuszych się odzywały i śpiewały żale jakieś prostacze, dziecięce, jakby żale dzieci, co pogubiły ojców i szły zmrokiem, płacząc i wołając napróżno — i obejmowała je cicha noc kwietniowa, mgły, chóry żab, chłód przejmujący; a one idą wciąż, wołają cicho i przejmująco, błędzą w nocy, która zaczynała patrzeć miliardami oczu zimnych i błyszczących; siadają nad rowem jakimś i, splakane, zmęczone, przyciskają się do siebie i usypiają pod krzakiem pokrytej kwiatem tarniny, a przez sen jeszcze szepcą i wołają napróżno; nad niemi latają czajki coraz niżej, niżej, zaglądną im w oczy i krzyczą cicho i przejmująco. A tam, w tych wioskach, ostatnie wierzeje skrzypią, ostatnie rżenia i ryki przebrzmiewają, światła gasną, ludzie usypiają — i zalewa świat pełna tajemnic noc i panuje milczenie...

Oderwała ręce od klawiatury i taka cisza zalała pokój, że słyszała bicie serca swojego.

— Helenko! na litość, jeść mi kaź dać! — wołał Woliński, wchodząc do pokoju i, przywitawszy się ze wszystkimi, odciągnął Stabrowskiego i półgłosem opowiadał.

„Głowa ginęła w cieniu firanki, tylko wspaniale rozwinięte piersi rysowały się przez czarną tkaninę opiętego stanika — zmysłowe usta i wysunięty podbródek w tym półzmroku rysowały się wydatnie. On lubieżnym, przysłoniętym białawą mgłą wzrokiem obejmował jej piersi, jej stan, jej biodra i nachylał się coraz bliżej ku niej”.

Zapisała szybko Stabrowska i zwróciła się do Janki:

— Pani improwizowała?

— I tak i nie, bo, grając, nigdy nie wiem, co gram, tak się myśli i uczucia mieszają swoje i cudze, tak się jedno z drugiego wysuwa i łączy w jeden łańcuch, że trudno mi rozumieć.

— Ja panią podziwiam, że może pani przy fortepianie siedzieć kilka godzin i grać, mnie pół godziny przynosi już sen — mówił Woliński.

— To naturalne, bo pan sam nie gra i nie lubi muzyki.

— Może i lubię, tylko nie mam nigdy czasu. Człowiek przyjdzie wieczorem spracowany jak wół, to są przedewszystkiem dzieci, potem kolacja, trochę rozmowy i już przy gazecie jestem gotów.

Zaczął się śmiać z dobroduszością.

Po herbacie Stabrowscy odjechali, a Janka poszła spać zaraz, bo trzeba było wstać wcześniej, aby zdążyć na pierwszy pociąg.

XV

W Bukowcu czekał Andrzej, bo razem zwykle jeździli odwiedzać Orłowskiego. Janka nie mogła bez przykrości patrzeć na tę stację, bo całe poprzednie życie przychodziło jej na pamięć; czuła dziwne ścisnięcie serca, spoglądając na nowego zawiadowcę, który, tak samo jak ojciec, w czerwonej czapce i białych rękawiczkach, spacerował po peronie. Drażniło ją też, że ilekroć była tutaj, widziała zawsze w oknie dawnego swego pokoju jakąś twarz wypudrowaną, suchą, z papierosem w ustach, z grzywką pofryzowaną w grube loczki, podobne do grajczarków.

Nieraz, oczekując na pociąg, nasłuchiwała, czy się nie rozlegną dźwięki fortepianu Zaleskiej, lub czy nie usłyszy charakterystycznego chrzęstu rowera na podjeździe. Kilka razy, wysiadłszy z powozu, szła prosto na górę i dopiero przed drzwiami przypominała sobie nagle, że ona jest tutaj obcą zupełnie. I dzisiaj, ponieważ do przyścia pociągu było z godzinę czasu, nie mogła usiedzieć w chłodnej i pustej sali pasażerskiej, pozostawiła Andrzeja, który usnął na kanapce, znużony ciszą i czekaniem i poszła na peron.

Świt szary zapalał się nad lasami i rozbielał przestrzenie, a w porannej rosie długie nici szyn, dachy, zwrotnice, budki czerniały twardo. Światła zdawały się dogasać słabym pyłem i jakby tylko rodzajem aureoli rozświecały przedświt. Przeszła peron i ze ścisnięciem, pełnym żalu sercem patrzyła na wszystko: na las, co stał ciemną, milczącą masą, jeszcze senną, na stację jakby obumarłą, na drogi i dróżki biegnące wśród lasu, o stwardniałej, wiśnej niby rzemień ziemi — wszędzie znajdowała jakieś echo dawnego życia, wszędzie jakiś cień, jakieś widmo wstawało, budziło się i szło za nią i szeptało do jej duszy przemijającymi głosami wspomnień...

Dopiero dzisiaj poczuła swoją głęboką zależność od tej miejscowości.

— Za długo tu byłam — myślała, zatrzymując się na skraju lasu i patrząc w jego mroczne, wionące surowością głębie. Z miłością jakąś obejmowała wzrokiem olbrzymy nagie jeszcze, czarne, stojące w ponurem odrętwieniu, słuchała z radością jakichś krzyków rozlegających się po lesie i znowu szła na peron i wszędzie odnajdywała jakąś cząstkę siebie, umarłą i zapomnianą, która teraz zmartwychwstawała.

Oparła się o ogrodzenie ogródka i patrzyła na klomby, przysypane zeszłorocznymi liśćmi, z pomiędzy których sterczały suche, umarłe badyle kwiatów.

— E... panienka, a juści... Niech będzie pochwalony!

Odwróciła się żywo, bo Roch z czapką w ręku schylał się jej do kolan.

— Jakże się macie, Rochu!

— Niezgorzy, chwała Panu Bogu, niezgorzy juścić.

— Cóż u was słyhać? jakże sobie radę dajecie sam?

— Sam? e... panienko, nie sam, bo żonę mam, jak się patrzy.

— Ożeniliście się!.. no i któraż żona lepsza?

Roch wsadził palec pod czapkę, zafrasował się i po krótkim namyśle rzekł:

— I... zawsze ta nowa mocniejsza.

— Cóż za jedna? panna, czy wdowa?

— Jakby to rzec, juści niby panna, ale ta ździebko nie umiała pilnować kole swego panieństwa i przypadek się zdarzył w ten czas, kiej moja nieboszka pomarła; ale dobra kobieta i robotna i szmat ma galantych i krowę z cielakiem, jako że nie samą wziąłem — dali i spleta będzie niezgorza, dwa tysiące. Piękna kobieta, czerwona, mocna w garści, rozłożysta, nie taki chuderek kiej nieboszka! Piękna kobieta.

Skinęła mu głową i poszła, pociąg dochodził i Andrzej z bagażami stał już na peronie. Z okna pociągu zobaczyła Świerkoskiego; siedł ze swojego mieszkania skulony, z rękami w rękawach, zapatrzony w ziemię; cofnęła się żywo, ale podniósł oczy, spostrzegł ją i przystanął na мгnienie; kopnął Amisa, który się także zatrzymał i spiesznie ruszył dalej.

W Warszawie, prosto z pociągu pojechali do szpitala.

Nie mogła bez trwogi przestępować tych strasznych progów. Szła, patrząc z przerażeniem po długich, nagich, zimno białych korytarzach, pociętych oknami silnie zakratowanymi; z oddali dochodziły przytłumione nieco ryki jakieś ludzkie i rozlegały się ciężkim, hucznym echem.

— Po tygodniu zwarzjowałabym tutaj.

— I na mnie działa ogromnie. Tutaj zawsze myśl o śmierci przychodzi w całej swojej przerażającej grozie i potem mnie prześladuje długo.

Weszli do celi ojca. Orłowski w długim szlafroku, na który naciągnął mundur dawny, siedział przy stole, zarzuconym papierami i pisał.

Gdy weszli, podniósł na nich swoją straszną twarz i czerwone oczodoły.

— Zaczekać! kasę zaraz otworzą!

Ciągle pisał raporty i załatwiał czynności służbowe, a czasami chodząc, dyktował Mieciami. Dostarczano mu całe góry papieru, które, pomimo ślepoty, zapisywał.

— Panie Mieciami, czas kasę otworzyć! — zawołał, podnosząc się. Przeciągnął się, zdjął z głowy czerwoną czapkę, włożył zwyczajną z czerwonymi wypustkami, stanął przy długim stoliku, stojącym poprzecznie do drzwi, nachylił się nad nim takim ruchem, jakby dawnym okienkiem kasy wyglądał, zatarł ręce i czekał.

Janka pocałowała go w rękę, nie mogąc słowa powiedzieć, bo dusiły ją łzy.

Nachylił się w bok, szeptał coś pocichu i dopiero powiedział:

— Janka! jak się masz? jak się masz Jędrus? — wyciągnął do niego rękę i uściśnął.

— Jakże się ojciec czuje?

— Ślicznie! kropnąłem na Mieciami taki raporcik, że pięć rubli zapłaci, jak amen w pacierzu. Przysięgam Bogu, że musiałem; sam służysz, to rozumieć powinieneś, że zwierzchnik jest stróżem i wykonawcą przepisów i poleceń — mówił, jakby do Mieciami.

— Nie brakuje niczego ojcu?

— Mnie nie, tylko — zniżył głos — Mieciami jest gałgan, zły urzędnik, niedbały, czasem się upija, przysięgam Bogu, wczoraj poczułem, że pije wódkę; ale widzisz, skarżył mi się, że jeść mu się chce czasem. Złożyłem o tem raport! Narzekał, że mu twardo spać; kropnąłem protokół, bo to już dyrekcja winna! Swoją drogą napiszę trzeci. Tak. Dobrze mi jest, tylko tu, przez ścianę, ciągle ktoś krzyczy; posłałem Mieciami, żeby się dowiedział, kto taki; przychodzi i powiada, że tam warjaci siedzą. Co za warjaci? Warjaci! ha! ha!

— Zaraz po ślubie, to ojca przewieziemy do nas, do Krosnowy — przerwał mu Andrzej.

— Krosnowa! co to takiego? Mieciami, Krosnowa! o!

— Ojciec nie pamięta, parę wiorst przecież od Bukowca.

— Bukowiec? Nie znam i Mieciami nie zna. Nie było nigdy żadnego Bukowca — rzekł stanowczo. — Nie, nie.

— Ojcie, przyjechaliśmy prosić o błogosławieństwo, bo za kilkanaście dni nasz ślub.

— Ślub... Mieciami! — odsunął się pod okno, pochylił i szeptał długo. — Rozumiem. Janka idzie za ciebie — mówił, powróciwszy do nich. — Naturalnie, w tym liście, mam go tutaj, wczoraj przysłali z dyrekcji, piszą, żeś był jej kochankiem. Pamiętam, ale kiedy... moje dzieci... moje dzieci... — Umilkł, patrzył krwawymi oczodołami, naprężył żyły na skroniach, walczył z jakąś myślą, która jak słaby świt przesunęła się w chaosie szaleństwa, bił rękami z niecierpliwości, tarł czoło, męczył się, wreszcie szepnął cicho z takim akcentem, że zadrżeli oboje.

— Moje dzieci... moje dzieci... ale ja!... — belkotał dalej niewyraźnie, pochylił się nad stołem i wielkie łzy popłynęły po jego twarzy, pokrytej zabliznionymi ranami.

Janka rzuciła się do niego, bo myślała, że powróciła mu świadomość; ale skoro go tylko dotknęła ręką, wyprostował się gwałtownie, brzask przytomności zagaś, odepchnął ją silnie i zaczął krzyczeć:

— Wynosić się! Pociąg już odszedł. Panie Mieciu, powiedz tym ludziom, że nie mają na co czekać. — Odwrócił się i poszedł w drugi koniec pokoju i stamtąd zmienionym głosem mówił: — Tak, idźcie sobie, bo jak pan naczelnik powiedział, że pociąg odszedł, to nie macie na co czekać.

Usiadł przy stole i zaczął najspokojniej przeglądać papiery.

Spojrzeni tylko na siebie i wyszli.

— Dokąd pani teraz chce jechać? — zapytał, gdy się znaleźli na ulicy.

— Pojadę odwiedzić Zaleską; prosiła mnie listownie, aby koniecznie wstąpić do niej, a później zrobię kilka sprawunków dla Stabrowskiej.

Wyznaczyła mu miejsce, gdzie się spotkać mieli i następnie iść razem kupować.

W milczeniu zaprowadził Jankę do dorożki, bo wzburzyło go wspomnienie anonimu.

„Byłeś jej kochankiem” brzmiały mu w mózgu słowa Orłowskiego i piekły boleśnie.

Gdy zobaczył ją odjeżdżającą, przysłała mu myśl pewna. Wskoczył do drugiej dorożki i kazał wolno jechać w oddaleniu.

— Do Zaleskiej! Do Zaleskiej! — powtarzał, a na usta cisnęło mu się inne nazwisko z anonimu. — Z pewnością, że tak, z pewnością. — Uspakajał się i zaczął wyrzucać sobie podejrzliwość i zazdrość, jaka nim miotła i na Marszałkowskiej już wstrzymał dorożkę, aby wysiąść, ale tramwaj zagroził mu drogę. Skinął ręką i pojechał dalej. Drżał, żeby się nie odwróciła i nie spostrzegła go za sobą. Z denerwującym niepokojem patrzył na trotuary, zapchane ludźmi wystrojonymi, na ruch, jaki wrzał dokoła, na jej głowę, ubraną w ciemny, wielki kapelusz.

— Do Zaleskiej! tak... tak... — powtarzał i coraz boleśniejszy kurcz strachu ścisnął mu serce. Jej dorożka skręciła w Piękną i zatrzymała się wkrótce przed jakimś parkanem; Janka wysiadła i zniknęła w głębi. Odprawił dorożkę i z pół godziny czekał w jakiejś bramie, aż się wreszcie odważył wyjść i, chwając się na nogach, blady i wzruszony niezmiernie, przez małą furtkę wszedł na to samo podwórze; z boku stała oficyna murowana jednopiętrowa, której okna wychodziły na ulicę, a na niej, tuż przy drzwiach sieni, wisiała lista lokatorów. Przebiegł ją kilka razy oczyma i z ogromną ulgą odczytał: „Zaleski Henryk, urzędnik Dr. Ż. I. D.” — i uciekł, jak mógł najspieszej.

XVI

Janka, nie domyślając się niczego, weszła do mieszkania Zaleskich, na pierwsze piętro.

Janowa rzuciła się do niej z krzykiem radości.

— Laboga, ady to panienska moja!.. Pani! pani... — wołała do pokoju pośpiesznie.

— Panienska z Bukowca przyjechała!.. jaka to pani dobra... a ja dzień i noc myślałam o panience i tak się nieraz głowiłam, co też panienska robi?..

Utarła nos z hałasem i rozplakała się, całując ją po rękach z uniesieniem.

Zaleska w niezapiętym szlafroku, nieumyta, z przypudrowaną tylko twarzą, wybiegła, rzucając się Jance na szyję.

— Boże, co za niespodzianka!.. Myślałam, że pani zapomniała już o nas. Janowa, herbaty! Niechże pani pozwoli dalej! — zaczęła pomagać jej przy rozbieraniu. — Papierosa tymczasem, proszę pani!.. ach, pani nie pali. Boże, jakże pani pięknie wygląda!.. Co za nieład!.. Janowa! Janowa!.. herbaty prędzej!..

Zaczęła biegać po pokoju tak zapełnionym sprzętami, garderobą porozrzucaną, nutami i dziennikami, które leżały wszędzie, że usiąść nie było miejsca. Pobiegnęła do kuchni, krzyczała na dzieci, sprzeczała się z Janową, wreszcie przybiegła i przy biurku, na heljotropowym papierze napisała kilka wierszy, z którymi wysłała Janową.

— Ciekawe, od kogo teraz pożyczca? — myślała Janka, zobaczywszy list.

— Ach, jakim szczęśliwa, że panią widzę, to wypowiedzieć nie umiem. — Znowu serja całusów, słów bez związku, uśmiechów, ruchów, przesuwań wszystkich krzesel i bieraniny wkółko.

— Cóż słyhać u państwa? — zapytała Janka dość chłodno; raził ją nieład i to jej roztargnienie.

— O, dobrze, bardzo dobrze!.. mam dosyć lekcyj niezłe płatnych.

— A kiedyż koncert? — zapytała ciszej i odwróciła głowę, bo gryzący uśmiech miała w oczach.

— Niedługo, jeszcze czekam. Widzi pani, przeprowadzka, zainstalowanie się, pozawieranie a raczej poodnawianie znajomości zajęły nam bardzo wiele czasu. Ale teraz zaczynam już myśleć o koncercie, szykuję się... o, ja mam cierpliwość, jak pani wie, mam!.. — podeszła do przymkniętych drzwi sąsiedniego pokoju na palcach, zajrzała i cofnęła się śpiesznie.

— Czuje się pani szczęśliwszą, niż w Bukowcu?

— O, o całą oktawę! Żyję przynajmniej w cywilizowanym świecie. Bywam w domach, gdzie zbiera się literatura, sztuka i teatr!.. o, nieskończenie jestem szczęśliwsza... kilka razy grałam z wielkim powodzeniem na rautach!.. — zajrzała znowu do sąsiedniego pokoju. — I gdyby nie różne kłopoty... no, ale się wszystko przetrzyma! Jakoś tam będzie! Mąż bierze lekcje śpiewu i uczy się bohaterских partyj: Raula, Lohengrina, Wilhelma Tella! Wolno idzie, bo musi przecież chodzić do biura. Tak, tak się to żyje, ale co u pani?.. co w Bukowcu?.. Była tu u mnie niedawno matka pana Stasia. Bardzo miła kobieta, tylko taka dziwna... przyszła się wypytwać o syna, mnie... uważa pani, jakie to kłopotliwe... skarżyła się, że zaprzestał wszystko pisywać w listach, szczególnie od mojego wyjazdu z Bukowca. — Zarumieniła się. — Prosiła mnie, żebym mu nie cofała swojej przyjaźni, że on zupełnie zasługuje nawet na miłość... doprawdy, że nie rozumiem, czego ona chciała.

— Stefa! — rozległ się głos Henia z drugiego pokoju. — Wody do mycia!.. co u diabła, dwie wiedźmy w domu, a nic nienaszykowane!.. — krzyczał ze złością.

Zaleska pomieszana pobiegła do niego.

— A, przecież usłyszałaś... kamaszki, dawajże mi kamaszki, cóż u starego diabła!

Umilkł nagle, musiała mu powiedzieć o obecności Janki i słychać było tylko skrzyp łóżka. Wstawał i ubierał się. Stefa ze spuszczonei oczyma nosiła mu wodę, kamasze, bieliznę i nie śmiała spojrzeć na Jankę, która odwróciła się nieco do okna przez delikatność, ale wytrzymać nie mogła, tak ją irytowało tyranizowanie Stefy.

Janowa powróciła z ulicy i nakrywała do herbaty w przyległym saloniku, który służył i za jadalnię i za pokój dziecinny, bo był obstawiony łóżeczkami. Stara była tak rozradowana obecnością Janki, że co chwila przybiegała patrzeć na nią i całować po rękach.

— Kuntentność mam taką w sobie, że laboga! — szeptała.

— Dzień dobry drogiej pani, dzień dobry! — wołał Zaleski, wchodząc. Był ubrany w jasny garnitur, w krawatę błękitną, w artystyczny węzeł zawiązaną. Jasny, uśmiechnięty, woniejący, w koszuli w różowe paski z białym kołnierzykiem, w lakierkach. Piękny, jak tenor prowincjonalny i z głupim, iście tenorowym, uśmiechem na ustach, posunął się do niej, ścisnął jej rękę, potrząsając zgóry, jakby ją chciał jej wsadzić w bok. Upadł niedbale na krzesło, założył nogę na nogę, wsadził monokl w oko, wyciągnął mankietki i tak siedział z przymrużonemi oczyma, pozwalając się łaskawie podziwiać.

— Doprawdy, że na ulicy nie poznałabym pana! — zaczęła Janka, z trudem tłumiąc śmiech, takim się jej wydał głupio zabawnym.

— Si... si... signora! to naturalne!.. — mówił z komiczną wyniosłością. — Człowiek taki, jak ja, w nędznej budzie, jak Bukowiec, nie mógł być na właściwym miejscu, nie mógł czuć się sobą. Doprawdy, dzisiaj dziwię się, że tam mogłem tak długo wytrwać — zakończył pogardliwie, wsadzając monokl, który mu wypadł.

— Mężusiu, poproś panią na śniadanie.

— Pani — rzekł z ukłonem, królewskim ruchem ręki zapraszając. — Gdybym był wcześniej głos swój zaczął obrabiać, śpiewałbym już w operach, a tymczasem muszę jeszcze zaczekać, muszę jeszcze pojechać do Medjolanu na jakie pół roku.

— Tak mężusiowi radzą, ale to jeszcze niewiadomo, bo...

— Nie przerywaj, żonusiu... tak będzie, jak ja chcę. Mam zresztą bardzo bogatego mecenasa, który się zachwyca moim głosem. Wierzy pani, że biorę górne cis, jak Mierziński, o... — zaśpiewał pełnym głosem i z wielką łatwością jakiś pasaż. — Mecenas powiada, że w górnym rejestrze mam najszlachetniejszy metal. Na pierwszy występ biorę Jontka w *Halce*. Żonusiu! — zawołał groźnie, otworzywszy jajko, które przed nim leżało na serwetce. — Te jajka są za twarde, ja takich jadać nie mogę, mnie zabroniono, mówiłem tyle razy!.. — mówił z oburzeniem.

— W tej chwili będą inne. Janowa, codzień wam mówię, żeby się tylko jajka ścięły.

— Adyc to już wymysły czyste; niecałe Zdrowaś trzymałam je we wodzie. Pan to ino ciągiem piekło robi, a to jajka za twarde, a to za słone, a tera...

— Moja Baucis, nie falsetuj, tylko dawaj świeże jajka.
— Kiej już niema.
— Kup, ugotuj i dawaj!.. przedziej!.. — zawołał silniej, wciskając monokl, który mu ustawicznie wylatywał z oka.

Zaleska znowu napisała heljotropowy liścik i w kilkanaście minut Henio z całą ważnością połknął dwa jajka. Wypił szklankę bardzo lekkiej herbaty i, gryząc sucharek, rzekł z namaszczaniem:

— Sztuka, to męczeństwo!.. widzi pani, sucharki jadam, jak dziecko.

— Takie poświęcenie nie zostanie bez nagrody — odpowiedziała z drwiącym uśmiechem, ale nie zrozumiał ironji.

— Jakże ojciec?.. słyszałem o wszystkim i było mi bardzo przykro, ale, droga pani, myśmy to przewidywali, niestety! przykry był w stosunkach, często niesprawiedliwy, no, ale to trudno, człowiek starej daty, rutynista...

— Kiedyż ślub pani? — przerwała mu szybko żonusia.

— W początku maja.

— A, wychodzi pani za tego... jakże się nazywa?... aha, za Grzesikiewicza, pocziwe chłopisko!... orzeł to nie jest, trochę, jakby to powiedzieć... — pstrzyknął w palce, pociągnął mankietki i wsadził monokl. — No mniejsza, ale wiesz pani szczerze szczęścia w tym związku...

— Dziękuję i nawzajem życzę panu scenicznych sukcesów — powiedziała dosyć cierpko, bo ją ten jego głupio-protekcyjny ton irytował.

— Sukcesy, wieńce, oklaski, powodzenie, o, będzie to wszystko, daję pani na to słowo honoru. — Przycisnął rękę do piersi teatralnym ruchem, obtarł fularem usta, otrzepał starannie kłapy, przejrzał się bez ceremonji w wiszącym nawprost stołu lustrze i powstał.

— Bardzo żałuję, ale muszę się wyrzec towarzystwa tak miłego i wyjść.

— Mężusiu, mieliśmy iść razem, pamiętasz gdzie...

— Ja państwu nie przeszkodzę, bo wpadłam tylko na chwilę i mam rzeczy do kupowania — zaczęła Janka, podnosząc się także i kładąc kapelusz.

— Ależ żonusia zostanie, ja muszę iść sam, bo przypominam sobie, że jednemu z kompozytorów obiecałem, że przyjdę do Semadeniego w tej porze. Addio, ma bella, addio Signora! — rzucił pocałunek od ust, kiwnął niedbale głową i wyszedł.

Na schodach jeszcze słychać było jego organ, brzmiały najszlachetniejszym metalem.

— Śliczny głos! — szepnęła Zaleska, nasłuchując z lubością. — Prawda, jaki on piękny? Niechże pani jeszcze siada na chwileczkę. Ma szalone powodzenie u kobiet, całe stopy bilecików przynosi do domu. Śmiejemy się z nich razem i nieraz ja sama umyślnie odpisuję. To takie zabawne, bo wyznaczam schadzki w takich godzinach, w których mąż jest albo w biurze, albo na lekcji. Tak, przypominam sobie, że go wczoraj zapraszał Noskowski. Niechże pani jeszcze nie odchodzi, a może cukierka, te są przepyszne!... — zapraszała uprzejmie, podając pudełko.

Janka tak miała ich dosyć, że, nie zważając na pocałunki i gorące prośby Zaleskiej, ubrała się i wyszła. Na ulicy już dogoniła ją Janowa.

— Duchem lecę, a ledwiem zgoniła. A to chciałam pokornie się przypomnieć, co jakby panienka chciała mnie wziąć do Krosnowy...

— Dobrze. Od świętego Jana, bo zaraz po ślubie wyjeżdżamy z mężem i dopiero w lipcu będziemy zpowrotem, ale ja powiem panu Grzesikiewiczowi...

— Bo widzi panienka, ja już tu ścierpieć dłużej nie ścierpię. Dobrzy są ludzie. Pani na ten przykład, ale cóż, kiej jej tu cosik brak — stuknęła się w czoło — i pomysłonek ma kiepski. A pan, to takie ladaco, że jaże wstyd mówić panience, ciągiem się ino drze, kieby go kto wrzątkiem polewał, że jaże państwo z dołu przysyłają, co sypiać nie mogą. I taka bieda, taka bieda, że wszystko się na bóg bierze, na karteczki. Pani się zaharowywa, bo całe dnie chodzi uczyć grania, a on, co zarobi i co wyciągnie od pani... słyzy to panienka?... to przepuści z takimi!.. — zaakcentowała pogardliwie. — Oho, dobrze wiem, ino pani nie powiem, bo i tak ma za swoje, a un taki pies niepocziwy...

— Córkę widuje Janowa często? — przerwała jej Janka.

— A jakże, panienko, a toć i wczoraj widziałam moją panią córkę. Zobaczyłam ją zdaleka, jak se szła do szkoły, służąca niesła za nią książki, schowałam się do bramy, bo

mi tak cosik zatchnęło w piersiach, że tchu złapać nie mogłam, ale wytchnęłam ździebko głowę, zobaczyła mnie i ośmiała się. Bledziuchna taka, kiej panienka, a w pasie to cienka jak osa, a tak się rucha cała kiej na sprężynach i szlachetnie niby pani ubrana.

— Rozmawia z nią Janowa?

— A gdzieżbym ja śmiała zaczepić na ulicy taką szlachciankę, przecież ja prosta kobieta jezdem, nienauczna, jeszczeby się pogniewała, bo zawsze tak jej śpieszno do tych klasów, że chociaż me obaczy, to ino spojrzy, co jaże mnie gorącość przejmie i poleci — mówiła, podnosząc na Jankę wybladłe, pełne łez oczy. — Byłam raz w niedzielę u tych jej opiekunów. Czekałam w kuchni, wyszedł lokaj i powiada, że jaśnie panienka kazała, żeby niania, to niby ja, przysłała. Poszłam, zaprowadziła mnie do swojego pokoju, takiego śliczniuchnego, co jażem się przeżegnała. I u najpierwszej dziedziczki, to pięknie nie jest. Pokazała mi wszystkie podarunki, jakie dostała. Jezus! jakie śliczności i materje i złoto żółciutkie i brelanty! Nagadałam się z nią długo, a potem to mi przynieśli obiad, a moja pani córka dała mi te chustkę i kazała koniecznie w niej chodzić, a na odchodnem me prosiła, żeby często przychodzić, tylko że ona się musi teraz dużo uczyć i taka była dobra dla mnie, tak me pogłaskała po gembie, żem ją jaże pocałowała w rączkę, a ma takusią, paninko!.. — pokazała na trzy swoje palce. — Dobrą mi Pan Jezus dał córkę, dobrą!.. Juści, matce toby się ta chciało popieścić z gołąbką, popłakać, ale kiej nie można teraz, to nie można... — obtarła fartuchem oczy.

— Janowa jest taką dobrą matką, że lepszej chyba na świecie niema.

— Panienko, to przecież moje dzieciątko! — zawołała prosto. — Hale! byłam tam we szpitalu, u starszego pana i tak się splotkałam, że jaże mnie mroczyło.

— Była Janowa?.. a, moi drodzy, dziękuję wam z całego serca! — zawołała rozrzewniona.

— Jak mi pani powiedziała o wszystkim, to się jednej niedzieli wystroiłam i poszłam. Nie poznało mnie panisko. Mówiłam: adyć jezdem Janowa, proszę pana naczelnika. Janowa, służyłam u państwa w Bukowcu! Krzyżeć zaczął, co niema żadnego Bukowca, słyszy też panienka? i tak gadał do siebie i tak się patrzył temi czerwonymi oczami, kiej wrona, co jej chłopaki na psotę ślepie wypalą. Laboga! myślałam, że mi serce pęknie z bolenia. Mój Boże! taki naczelnik, taki nauczny, taki szlachcic dobry i tak mu popadło robakowi. — Lamentowała z głębokiem, pełnem zgrozy współczuciem.

Rozstała się z Janową i szła wolno Marszałkowską.

Słońce świeciło jasno i rozlewało potoki ciepła i wesela na twarze przechodniów. Tłumy zapełniały ulice, tłumy strojne, banalnie uśmiechnięte, sztywne w swoich świątecznych sukniach; wybladłe twarze podnosiły do słońca, a zmęczone powieki spadały na oczy pod dotknięciem blasków. W tem silnem, południowem słońcu, w tem wiosennem powietrzu, co zawiewało od ogrodów zieleniejących, od pól odległych, od sprzedawanych po ulicach fiołków i hiacyntów, odcinały się ostro chorobliwe twarze ludzi. Śmiech drżał w powietrzu, ale jakiś nieszczerzy, wymuszony i rozplywał się szybko, ginął w głuchym gwarze, w turkocie dorożek, w odgłosach tramwajowych dzwonek i pozostawiał tylko jakiś rytm ciężki troski, zmęczenia i apatji.

Janka zaczęła ucuwać udęczenie: to, co widziała u Zaleskich, ich całą nędzę wewnętrzną, oszukiwanie się, kłamstwo, pozory ludzkie, błagę, zaczynała teraz dostrzegać i na ulicach i w twarzach przechodniów i w tym ruchu szalonym a bezcelowym, wywołanym nie potrzebą, lecz chęcią ogłuszania się.

Wróble świerkały radośnie i tarzały się pijane wiosną po trawnikach, pokrytych delikatnym puchem zieleni, drzewa otaczały się już przesubtelną aureolą młodych, pierwszych listków, w powietrzu drgała wiosna z całym swoim czarem; ale Janka rozglądała się po Saskim ogrodzie ze smutkiem prawie, ludzie przysłaniaли jej sobą wszystko — te tysiące twarzy, które się snuły po ogrodzie, śmiały, mówiły — te stroje błyskotliwe i tandetnie świetne, zasłaniały tylko a nie przykrywały trosk i nędzy, jakie się poza niemi taily.

— Błaga! błaga! błaga! — myślała, patrząc w ich dusze jakimś ostrym wzrokiem przenikania nawskróś, do dna wszystkiego. Widziała, że te piękne warszawianki są sztuczne, poretuszowane pudrem, szminką, różem, woalkami, kapeluszem, suknią; że te ciała są nierozwinięte, pokręcone, że poza maskami banalnie uśmiechniętych twarzy niema nic; że te fiołkowe, czarne, niebieskie oczy patrzą pustką i głupotą; że mężczyźni chudzi, mali,

wynędniali, nerwowi, są wprost marni, wiało od nich chłodem zużycia i przesytu. Patrzyła coraz uważniej i później zaczęła spostrzegać coraz wyraźniej w tych tłumach piętno walki, tragicznej, codziennej, głupiej i zabijającej powoli walki o byt.

Nic tylko o żer! tylko o żer! — myślała z litością i wiedziała teraz, że to jarzmo przekłete tak zgina tych ludzi, ogłupia i wysysa z nich wszystkie myśli i pragnienia szersze. Dalszy ciąg myśli przerwał Andrzej, który już czekał przy fontannie; zadrżała na jego widok, nie wiedząc dlaczego.

— Zimno pani? — zapytał, spostrzegłszy to.

— Chodźmy z ogrodu, zimno jest istotnie.

Pozalutowali sprawunki, zjedli obiad w hotelu i przed wieczorem samym wyjechali.

W wagonie już zaczęła mu opowiadać o Zaleskiej i o Janowej. — Mówiła z goryczą i politowaniem smutnem.

— O Zaleskim dawno wiedziałem, że to błazen i cyrkowiec, ale że ona taka naiwna i wierzy w jego głos i karierę na scenie — nie myślałem. Szkoda jej, bo że on ją rzuci i pozostawi na bruku, tego jestem pewny, bo do głupoty przymieszały się teraz aspiracje, zaraził się niemi od żonusi. Ach, te wyższe aspiracje! — rzucił szorstko i pogardliwie. Przecież jeśli to nie jest śmieszne, to jest głupie. Tacy Zalescy mają aspiracje, ona będzie zdobywać świat muzyką, on głosem. Ha, ha! — zaśmiał się.

Janka patrzyła się na niego trochę smutnie, ale mówić zaczęła:

— Tak, ona jest naiwna, słaba i śmieszna, ale ma właśnie te głupie szersze aspiracje. Jej nie wystarcza to życie codzienne, umiera w tem jarzmie bez pożytku dla nikogo. Pan jest szczęśliwym przez to, że się pan do swoich warunków życiowych tak przystosował, iż nie ma potrzeby pragnienia czegoś więcej. Ale ona! ale inni! nie śmiejmy się! nie potępiajmy ludzi za ich pragnienia, często nierozsądne, za ich marzenia, prawie nigdy nieurzeczywistnione, bo cierpią przez nie i dla nich. Boże, jakie tragedje odgrywiają się w takich duszach, ile szamotań, męki, łez płynie w cichości, zdala od oczu ludzkich i o tem nikt i nigdy wiedzieć nie będzie. Tak mi żal dusz takich, jak Zaleska, bo pod maską pewnych śmiesznoścok, które się wydają takimi tylko, że nie umiemy przeniknąć do głębi, jest tam ciągłe krwawienie, ciągły wysiłek, a nie będzie nigdy szczęścia i wszystko to, całe jej życie przejdzie nadaremnie.

— Tak, tak, ma pani słuszność! — szepnął z głęboką przykrością.

Janka popatrzyła na niego długo, potem oparła głowę o poduszki i zaraz usnęła.

Andrzej wyszedł i, paląc papierosa po papierosie, chodził po korytarzu i co chwila patrzył przez niedomknięte drzwi na śpiącą. Był wzburzony i nie mógł stłumić w sobie jakiegoś żalu do niej, co się wyłonił teraz w nim i przejmował udęczeniem. Niechęć prawie czuł w sobie do jej inteligencji, do jej wyższości rasowej i intelektualnej. Teraz dopiero zapragnął nagle, żeby go kochała, bo dotychczas wystarczało mu to, że on sam kochał, że myślał o niej, że odgadywał i spełniał jej najmniejsze życzenia, że żył jej uśmiechami i nadzieją, że będzie jego żoną i wystarczało mu takie kochanie; ale teraz, w tej chwili jakby przebudzenia, pragnął jej miłości, pragnął panowania nad nią, pragnął ją osiąść całą i mieć.

Przystanął i długo patrzył na jej twarz, tonącą w mroku wagonu; spała jakimś cichym snem; półotwarte usta swoją purpurą odcinały się mocno od bladej twarzy, opadłe powieki rzucały długi cień na policzki, była bardzo piękna.

Pociąg biegł bez ustanku, zatrzymywał się na stacjach mgnienie, wyrzucał z siebie pasażerów, zabierał nowych, gwizdał, dyszał i znowu leciał, niby potwór, ziejący ogniem w tumanie dymów, w deszczu iskier, co jak ogon komety ciągnął się za nim. Noc była ciemna, w wagonach spali wszyscy; Andrzej pozasuwał firanki na latarnię i usiadł naprzeciwko śpiącej i patrzył się w jej twarz coraz bliżej. Walczył z sobą. Była tak piękna, że przenikał go dreszcz ognisty, że wyciągał już ręce, aby ją pochwycić i ucałować, ale powstrzymał się prawie w ostatniej chwili i, aby nie ulec pokusie, wyszedł znowu na korytarz. Spacerował w dalszym ciągu, ale już nie patrzył na Jankę, ochłonął i jakiś nastrój nudy i zniechęcenia powoli nim owładnął; zobojętniała mu nagle tak, że, widząc sąsiedni przedział pusty, położył się w nim i usnął.

Konduktor obudził go w Bukowcu. Nie usprawiedliwił się nawet przed nią, że spał, wyprowadził ją z wagonu, wsadził do czekającego powozu i, drzemiąc całą drogę, dowiózł do Rozłogów.

Pożegnali się, jak zwykle, krótkim „do widzenia”.

XVII

— Za cztery godziny będziesz żoną pana Andrzeja, jak to prędko!

— A tak! — odpowiedziała, ziewając. — Za cztery godziny wszystko się skończy.

— Albo, właściwie mówiąc, zaczniesz się... boisz się?... — zapytała Helena troskliwie.

— Nie, tylko mi smutno, bardzo mi smutno! — powtórzyła w myśli.

— A ja się cieszę, bo czuję, że będziesz szczęśliwa.

— A ty jesteś szczęśliwa? — zapytała prędko, podnosząc na nią oczy.

— Zupełnie, ale tak bardzo, że aż chwilami boję się o to szczęście, bo nieraz czuję się wprost za szczęśliwą. Pomyśl, mam wszystko, czego pragnęłam: męża, miłość, dzieci, jaki taki majątek, spokój i zadowolenie. O tak, jestem bardzo szczęśliwa i tobie z całej duszy życzę takiego szczęścia.

— Dziękuję! — szepnęła cicho, z niedosłyszaną prawie ironją w głosie.

Po wyjściu Heleny, stała przy oknie długo, zapatrzona w siebie; ocknęła się z zadumy wtedy, gdy był już czas ubierać się do ślubu. Czula się spokojną i zimną prawie. Nieliczne towarzystwo, tylko najbliżsi znajomi: starzy Grzesikiewiczowie, Józia z mężem i Witowski, czekali na nią w salonie i po jej wejściu otoczyli kołem, składając życzenia. Przyjmowała je obojętnie i później, jadąc już zamkniętą kareta do kościoła, dziwiła się sobie, że ten ślub nie robi na niej żadnego wrażenia, że więcej ją zajmują te pola, na które oknem patrzyła, pełne zieloności i wiosny, niż Andrzej, który siedział obok niej w milczeniu i drzemał nieco, bo ostatniego wieczora wyprawiał pożegnanie kawalerstwa tak wesoło, że Woliński, który był na niem, jeszcze dzisiaj nie był zupełnie trzeźwym.

Stary, drewniany kościół, o czarnych, pogiętych ścianach, obwieszonych obrazami poczerńiałymi, ubrany w jedlinowe girlandy i świerki, rozjaśniony szeregiem świec olbrzymich, które tworzyły szpaler płomieni, wiodący od wielkich drzwi do ołtarza, poprzepłatanych podzwrotnikowemi krzewami z oranżerji Stabrowskich, wyglądał czarodziejsko i pochłaniał jej uwagę. Z rozkoszą czysto estetyczną przyglądała się światłu, przesianemu przez zielen palm, starym, czerwonym chorągwiom, tworzącym pod chórem pyszne plamy, jakby krwi krzepnącej, a wielki ołtarz ze swojemi złoceniami poczerńiałymi, po których drgały blaski świec, tonący w kwiatkach białych i purpurowych azalij, obwiedziony u dołu wieńcem narcyzów, o węzłach z bzów i fiołków, wionął na nią czarem. Spojrzała z wdzięcznością na Andrzeja, ale nie było już czasu szepnąć podziękowania, bo zaczęła się ceremonia.

Szła ku przysięgę z takim spokojem i obojętnością, że po kilka razy podnosiła oczy ku oknom, poza którymi na wielkiej lipie hałaśliwie świergotały wróble, lub patrzyła na sinawą twarz Józii i na drgające jej żółte oko i na Witowskiego, który stał po prawej stronie z przysłoniętymi oczyma i zagryzał usta.

Organy śpiewały *Veni Creator* i wszystko się skończyło dość prędko, ale Janka, odchodząc od ołtarza, czuła się znużoną. Patrzyła pustym, martwym wzrokiem po twarzach obecnych i pomyślała, że gdyby wszyscy w tej chwili zniknęli, zapadli się w podziemie, to tak samo obojętnie wychodziłaby z kościoła. Czula, że nic ją nie obchodzi ci ludzie, nawet Helena, z którą w wielkiej żyła przyjaźni, była jej w tej chwili obcą zupełnie; te wszystkie pędy sympatji, jakimi była splątana z ludźmi, poschły nagle i opadły, jak marny popiół na dno pustej duszy; to oczekiwanie nowego życia stłumiło w niej wszystkie myśli i uczucia, pochyliła się pod niem z biernością i szła obojętna i apatyczna, a równocześnie zdumiona tą zmianą w sobie, której przyczyny ani ogromu nie była jeszcze w stanie uświadomić. Zdawało się jej, że ją porwał prąd szeroki i tak wolno ją niósł, że nawet nie wiedziała, czy płynie dokąd?

Po ślubie nie wstępowali nigdzie, nawet do Krosnowy, tylko pojechali wprost do Bukowca, na pociąg, bo jechali do Włoch.

Witowski ze starym odwieźli ich na stację.

Andrzej zajął się ekspedycją bagaży, a Janka to chodziła po sali niecierpliwie, bo pragnęła się znaleźć od tych miejsc daleko i jak najprędzej, to wyglądała na peron, po którym Stasio spacerował ubrany w czerwoną czapkę zawiadowcy.

Odrętwiający spokój panował dokoła; bo nawet Karaś, jak zwykle wekslujący wagony i podstawiający je pod ramę magazynową, nie gwizdał i nie dawał sztosów hałaśliwych, maszyna suwała się po szynach cicho i dyszała wielkimi kłębami brudnego dymu, który ploszył wróble goniące się po dachach; kilku robotników podbijało oskardami podkłady jakimś automatycznym, usypiającym ruchem, a lasy stały dokoła ciche, zieleniejące młodemi pędami, pełne rozśpiewanych ptaków i woni żywicznej, co zalewała całą stację; słońce świeciło nad stacją, i na lukach linii drgało jakby morą i wypijało błyszczące smugi wody w rowach. Życie płynęło zwykłym codziennym rytmem. Janka z przykrością zaczęła odczuwać, że się tutaj nic nie zmieniło, że nie było czuć braku ojca, ani Zaleskiego, ani jej, że wszystko jest, jak było, i że wszystko to zostanie, chociaż wszyscy ludzie się zmieniają. Miała żal do tych lasów, że rosły i żyły, do słońca, do tych murów nawet, do pociągów, co przychodziły i odchodziły.

— Nie życzyłem pani dotychczas nic — przerwał jej Witowski, podchodząc. — Bo czegoż mogę życzyć? szczęścia?

Uderzył ją jego głos cichy i smutny i spojrzenie pełne wilgotnych blasków; popatrzyła mu prosto w oczy i odpowiedziała nieco niepewnie.

— Tak, tylko szczęścia!

I umilkli oboje, bo im nagle na usta zaczęły się cisnąć jakieś wyrazy pełne smutku i goryczy i serca przepelniło drżenie bolesne, bo poczuli, że mogliby powiedzieć sobie słowa, których im mówić nie wolno, bo zresztą żal ciężki i gryzący szarpał im dusze i ostre, bezlitosne światło poznania olśniło ich i pograżyło w trwodze i w tępy, głuchym bólu. Bojąc się spojrzeć sobie w oczy, patrzyli na stację, na jasny świat, przecinany, niby kulami, szalonym lotem jaskółek, i serca im biły cicho i wolno.

Nie umieli sobie wytłumaczyć, co się dzieje z nimi, skąd to przyszło. Poznali tylko, że zajrzeli do jakiejś głębi i przerażenie odebrało im siły i świadomość.

Wszedł Andrzej, bo pociąg już huczał, wpadając na stację.

Odjechali zaraz.

Witowski, nie żegnając się ze starymi, popędził do domu.

Grzesikiewiczowie długo stali na peronie, powiewając chustkami za ginącym woddali pociągiem, ale wreszcie wsiedli w bryczkę i odjechali.

— Pietruś! — szepnęła stara po długiej chwili milczenia, obcierając ostatnie łzy.

— He?

— Mamy już, chwała Bogu, synowę.

— A juści, że mamy dziedziczkę, jak Boga tego kocham. — Wsunął palce pod czapkę i drapał się z jakiegos głębokiego zadowolenia, bo oczy mu się skrzyły wesoło.

— Sielma szlachcianka ta pani synowa! W kościele kiej szła, to niby królowna wyglądała, że te drugie panie, to przy niej były niby służące! Ale bo to i Jędrus nie dziedzic? nie uczony? — pocieszała się.

— Będziesz ty jej jeszcze usługiwać, jak Boga tego kocham! przeje ci się jej państwo...

— Nie bój się!.. a usługiwała będę, jak dla mnie będzie dobra.

— Ho, ho! już ona potrafi za łeb Jędrka wziąć!

— Charakterna to juści ona jest, a ładna taka, że laboga! cięgiem mi przed oczami stoi, aże nie śmiałam jej całować.

— Jucha chłopak ten Jędreku!.. będzie se używał, jak Boga tego kocham!

— Cichobys był, a to nogami ledwo powłóczy, a rozpusta jeszcze mu we łbie.

— Jucha chłopak... we mnie się wrodził... jucha... — mruczał głęboko zadowolony, przymruzał oczy, chlastał konie batem, bo sam powoził i coraz to cmokał ustami, rozpamiętując piękność Janki.

XVIII

Staś po odejściu pociągu wrócił do pokoju, dawniej zajmowanego przez Orłowskiego, bo zastępczo pełnił obowiązki zawiadowcy, i pisał list do mamy:

„Najdroższa mamusi! Dawno nie pisałem, bo jestem tak zawałony robotą i tak zmęczony, że radziłem się już doktora i ten zalecił mi dłuższy odpoczynek. Podałem się też o urlop dwudziestoosmiodniowy. Mamusia poprosi wuja, żeby mnie poparł, gdzie potrzeba, dobrze? Będę mógł cały

ten czas przepędzić z mamusią, prawda? Muszę też przy sposobności kupić w Warszawie wiele rzeczy do mieszkania, bo przecież teraz, zostawszy pomocnikiem zawiadowcy, powinienem żyć na odpowiedniej stopie. Mamusiu! mam jeszcze plan taki, że teraz będzie pora i czas, aby mnie mamusia zapoznała z panną Cesią, co to mamusia pisała niedawno. Przecież jestem już na takim stanowisku, że mi o żonie myśleć wypada, co? Kołnierzyki odsyłam, bo o pół numeru są mniejsze, niż zwykle noszę. Wie mamusia? Orłowska, córka dawnego zawiadowcy, tego co zwarzował, wyszła zamąż, pomimo skandali, za tego chama Grzesikiewicza, dzisiaj odjechali w podróż poślubną do Włoch! słyży mamusia: do Włoch! Tacy jeżdżą do Włoch, a my musimy służyć za jakieś marne paręset rubli! Nie ukloniłem się jej nawet, bo przecież, żeby tylko było połowę prawdy w tem, co o niej mówią, to jużby należało wyprzeć się, że się ją znało kiedykolwiek! Dobrana para: karczmarski syn i cyrkówka!

„Może mamusia pójdzie do Zaleskich i odbierze od niego maszynkę do papierosów, parę mankietów, dwie spinki czarne do gorsu i rubla. Pożyczyłem mu to już dawno, pisałem już, żeby mi pozwracał trzy razy, ale mi nie odpisał. Koszyczek odsyłam, placek z powidłami był pyszny, tego z serem nie jadłem, bo bałem się przy obecnem rozdenerwowaniu, żeby mi nie zaszkodził, dałem go państwu Kubiczom. Całuję mamusię i t. d.”

Wysłał list z koszyczkiem i po skończeniu służby przebrał się i poszedł do Osieckiej.

Zaraz na wekslach spotkał się ze Świerkoskim, który wymyślał dróżnikowi:

— Psiakrew! złodzieje! psy! chamy!.. wypędzę, wygonię! oddam do kryminału! — krzyczał, tupał nogami i bił czapką o ziemię z taką wściekłością, że aż Amis szczykał zębami i skomlał cicho.

— Wielmożny nizinierze, juści, że winien jeźdem, ale się dopraszam łaski, powiem jak było i dopiero niech mie sądza! — tłumaczył się pokornie dróżnik. — Roch, ten ze stacji, przychodzi i powiada, co nasza dawna panienska dzisia będzie jechać do Italji, a że moja kobieta chciała jej grzecznie podziękować, bo jak się wyprowadzali, kazała jej panienska dać różne statki, to moja mówi: — Rafał, polece na pociąg, ucałuje paniencie rączki, a może i da co jeszcze dla dzieciaków, bo tera taka wielka dziedziczka, i zaraz przylece. — Mówię: idź, zastąpię cie na służbie na te pare minut, bo myślałem, że choćby i pan nizinier się dowiedział, to gniewać się nie będą.

— Nie wolno krokiem ruszyć się ze służby bez mojego pozwolenia, nie wolno, bo złożę raport, zawieszę cię w służbie, wyślę na roboty, wygonię na cztery wiatry! nie wolno! — krzyczał, pieniąc się z wściekłości i przyskakując z pięściami do dróżnika, który wyciągnięty, sztywny, z ręką przy czapce, stał głęboko zmartwiony.

— Panie Świerkoski, chodź pan! — rzekł Staś, wziął go pod rękę i odprowadził. — Poco się pan irytuje? szkoda zdrowia, taka bagatela zresztą...

— Truczna moja! A, podłe chamy, w czułości psy się bawia... przejeżdża jakaś ostatnia... a ta leci całować ją po rękach, żegnać... ażeby cię psiakrew!

— Cicho, panie! usłyszysz kto, doniesie Grzesikiewiczowi i awantura gotowa.

— Co mi taki cham, złodziej! oszukaniec! w kajdanach zgnije...

— Gadajże pan sobie, bo ja służyć nie chcę. — Staś go puścił, zeszedł z plantu w las i zniknął.

Świerkoski gwizdnął na psa i zaczął go okładać batem. Staś zdala słyszał jeszcze wycie psa i krzyki Świerkoskiego, bieganie po lesie; wsadził watę w uszy i przyśpieszył kroku, nie lubił takich gwałtowności, denerwowały go i przyprawiły zwykle o pewne zaburzenia żołądkowe i bezsenność.

Zobaczył zdaleka Zosię, siedzącą na werandzie i zaczął machać czapką i krzyżeć. Wybiegła naprzeciwko niego i, zakryci olbrzymim krzakiem bżów rozkwitłych, ucałowali się serdecznie.

— Napisałem już do mamy o urlopie, mama niczego się nie domyśla i nawet pisałem, że na cały czas urlopu przyjadę do mamy odpocząć... — zaczął się śmiać.

— Panie Stachu, ale tak oszukiwać mamę, to...

— Panno Zosiu! przecież jestem mężczyzną! — wyprostował się dumnie — trudno, kiedy nie można inaczej, to trzeba oszukiwać.

— A jakby się skąd dowiedziała o wszystkim i przyjechała?

— No to... nie dałbym się, oho! dosyć mam tego słodkiego jarzma, już mi się sprzykrzyło! — wykrzykiwał bardzo głośno, nawet za głośno.

— Panie Stachu! — zaczęła, owijając sobie na palec loczek z grzywki i patrząc nań z pod czoła.

— Panno Zosiu, słucham! — mówił jakimś miłosnym, przyduszonym głosem.

— Trzeba być zawsze mężczyzną, zawsze... zawsze... nie trzeba się obawiać mamy, trzeba mnie kochać i słuchać; dobrze, panie Stachu?

— Panno Zosiu! alboż pani nie widzi, że jestem mężczyzną? kocham panią, przesiedliłem się do tutejszej gminy, dałem na zapowiedzi, prosiłem o urlop, weźmiemy ślub, wyjedziemy, no i tak panią kocham, tak kocham, że nigdy tak nie kochałem! — i lzy mu zaświeciły w niebieskich oczach.

Przytuliła się do niego i rozgarniała mu paluszkami włosy zwichrzone, bo czapkę trzymał w ręku, a on ją zaczął całować po twarzy, po oczach, ustach, włosach, rękach, gdzie dostał, i szeptał łzawo:

— Moja złota Zośka, moja dobra, moja kochana, najdroższa, święta, moja ty matczko!

— Dzieci! a chodźcie-no do domu! — zagrział z werendy bas Osieckiej i echem rozległ się po lesie.

Wzięli się za ręce i poszli.

Osiecka roztyła się przez ostatnie czasy, włosy miała bielsze, a twarz różowszą. Patrzyła na Stasia groźnie i gdy ją na powitanie całował w rękę, uszczypała go w policzek.

— Rzepa nie chłopak. Po ślubie dziateczki do lasu, po ślubie. A to takie smyki, jak pan, co psem śmierdzą jeszcze, to zdaleka od narzeczonej... kiedy mówię, że zdaleka, to zdaleka! — krzyknęła, czerwieniąc się nagle.

— Ależ ja nie zaprzeczam — tłumaczyć się począł.

— Głupiś, mój kochany. Franka, przyprowadzić na obiad Tolę! — wrzasnęła.

— Proszę pani, już wszystko gotowe. Urlop mieć będę w piątek najdalej, to w sobotę ślub możemy wziąć i wyjedziemy zaraz na parę tygodni.

— Dobrze... matkę biorę na siebie, już ja ją uprzedzę o wszystkim, no, mówię, że uprzedzę, że wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję pani.

Poszli w głąb domu.

XIX

W ostatnich dniach lipca Grzesikiewiczowie powrócili z Włoch.

Na stacji nikt ich nie czekał, bo nikogo nie zawiadamiali o dniu przyjazdu. Wysiedli na peron pusty i cichy, po którym z powagą spacerował Staś, w czerwonej czapce i białych rękawiczkach, zastępujący zawiadowcę. Słońce przygrzewało mocno i zalewało jaskrawymi blaskami żółty peron i czerwone mury; linje lasów, długie wici szyn były jakby opłynięte rozgrzanem, drgającym morą, powietrzem.

Cisza letnia upalnego dnia otoczyła ich i zalała.

Janka z pewnym zdziwieniem rozglądała się dokoła.

— Jak tu cicho!.. jak tu inaczej!..

— Ba, to Bukowiec, a nie Włochy! Bukowiec!.. — powtarzał przyciszonym głosem Andrzej i radośnie spoglądał na lasy i z chciwością wciągał w płuca powietrze, przesycone ciepłem i żywicznymi zapachami borów. Dusza tak mu się trzęsła z ukontentowania, że nie mógł utrzymać najrozmaitszych paczek i pudełek, które mu wypadały z rąk drżących; zbierał je kilka razy, aż Staś, który po odejściu pociągu odszedł, udając, że ich nie poznaje, ukazał się znowu i szedł śpiesznie, ale zawrócił zpowrotem do kancelarji, bo sobie przypomniał, że zdjął już czerwoną czapkę i rękawiczki. Przyszedł dopiero po chwili wycterwieniony, różowszy niż dawniej, majestatyczny.

— Mnie przypadł w udziale zaszczyt witania szanownych państwa po tak dalekiej podróży — rzekł, poważnie witając, ale Roch mu przerwał, bo chylił się do kolan Janki i załzawionym głosem gadał:

— Panienska! e... juści panienska, dziedziczka kochana!.. a starsze państwo, to niby z Krosnowy i jaśnie Pietrz dziedzic i pani gospodyni jechały bez Bukowiec wczoraj... tak, dobrze mówię, wczoraj... abo i...

— Niech Roch rzeczy zabiera i znika! — zawołał wyniośle Staś. — No, jakże zdrowie szanownych państwa, jakże podróż?

— Dziękujemy, dziękujemy!.. cóż słyhać u pana, panie Stanisławie? mamusia zdrowa?

— Dziękuję i mama zdrowa i żona...

— Pan się ożenił?

— Tak, szanowna pani dziedziczko, dobrodziejko!.. w miesiąc po państwa wyjeździe zawarłem związek małżeński z panną Zofją Osiecką!.. o, widzi pani dobrodziejka, żona się z okna kłania! — mówił z powagą.

— Dzień dobry! — krzyczała Zosia z okien dawniej Zaleskich i po chwili zbiegła na dół i rzuciła się w ramiona Janki i całowała ją z uczuciem dawnej przyjaciółki.

— No i mnie się coś należy z tego! — żartował Andrzej.

— Jak państwo ślicznie wyglądają oboje!.. Ja także chciałam, abyśmy ze Stasiem, z mężem, pojechali za granicę po ślubie, ale... ale... jakże? Włochy bardzo piękne?

— Bardzo piękne.

— W Rzymie państwo byli, bo widzieliśmy listy...

— Byliście. Czy są jakie konie? — zwróciła się do Andrzeja, bo ją niecierpliwił.

— Są, chłop szykuje siedzenia, możemy już jechać.

— A Ojca świętego państwo widzieli?

— Widzieliśmy, ale daruje pani, że nie będę teraz opowiadać, bo jesteśmy dosyć zmęczeni drogą i pilno nam do domu.

— Rozumiemy... ale jeśli by można kiedy zastać państwa w domu, to umyślnie, aby usłyszeć...

— Zawsze będziemy chyba, proszę, przyjedźcie państwo!

— Roch jutro przyjdzie do Krosnowy, to wam dam coś, co przywiozłam z Rzymu dla was — mówiła Janka, wsiadając na zwyczajny wózek krakowski, zaprzężony w małe koniki o parcianym moderunku.

— Z Rzymu!.. e... z Rzymu, lo mnie... loboga! — mruczał Roch, pochylając się do wozu, który się potoczył.

— Poganiaj prędzej! — wołał Andrzej na chłopa, bo koniki wlokły się sennie ze spuszczonei łbami.

— A juści, kiej gorąc taki!.. praży tyż Jezusieczek, praży!.. wio! małuśkie! wio! — świstał batem, szarpał lejcami, hukał, zachęcał; konie się podrywały, aż wózek skakał po kamieniach i korzeniach leśnych, ale po chwili wolniały i znowu się wlokły sennie wąską drożynką przez las, który ją prawie nakrywał, że tylko przez gałęzie kładły się płaty olśniewającego światła na drodze, na mchach, na pniach i mieniły fantastycznymi arabeskami.

— To naprawdę las! — szepnął Andrzej z dumą.

— Tak, to las! — odpowiedziała cicho i włóczyła trochę sennemi oczyma po dębach olbrzymich, po sosnach, co jak miedziane kolumny stały nieskończonemi szeregami i zdawały się podpierać niebo, po polankach zielonych i cichych, po bagniskach zarosniętych, pełnych wrzawy ptasiej, pisku, chlupotu, brzęku; po kamienistych szczytach, przeświecających przez drzewa, pokrytych zieloną siatką — pędami jeżyn. Las stał cichy, rozprażony lipcowym upałem, woniejący żywicą, trawami i garbnikiem. Ptaki zrzadka i sennemi głosami odzywały się w gąszczach, tylko sroki gdzie niegdzie klóciły się na drzewach, albo żoła przelatowała cicho pod gałęziami, niby tęczowa błyskawica, albo drzewa zaszumiały na chwilę i znowu robiła się cisza głęboka i usypiająca.

— Tak, to las! — myślała, ale widziała przez niego wysmukłe palmy, mieniły się jej w oczach lazury zatoki neapolitańskiej, tamta zieleni, tamto słońce, tamto powietrze — i teraz czuła, że ten las, tak kiedyś ukochany, jest jakiś czarny, dziki, że wionie chłodem i posepnością, że zaczyna ją omotywać jakiś smutek życia, tam nieodczuwany. Zadrzała

w głębi, bo z tych przestrzeni zaczęły jakby iść do niej przypomnienia wszystkie życia tutaj spędzonego, zaczęły wstawać w niej widma przeszłości i cieniami przysłaniać jej duszę.

Budziła się, jakby dawne życie brało ją w swoje łóżysko zpowrotem.

— Ciemno jakoś! — szepnęła, wstrząsając się nerwowo.

— Bój się Boga, przecież słońce wprost oślepia!

— O, nie tak, jak w Neapolu, nie tak, jak w Palermo!

— Nie widzę różnicy, a zresztą, teraz powiem ci szczerze, że jestem szczęśliwy, czując się u siebie; nudziły mnie już Włochy w ostatku. To upiór, nie kraj żywy, to...

— Nie mówmy, dobrze?

— Dobrze, wiem przecież, że Włochy podobały ci się ogromnie; entuzjazmowałaś się przecie przy każdym zmurszałym kamieniu: no, milczę. Rozmarszcz czoło, spojrzysz na mnie.

Spojrziała, ale nie mogła ukryć pewnego żalu i goryczy.

— Powinnaś mi darować te chamskie uwagi, chociażby za ich szczerłość!

— Alboż się gniewam?

— Dziękuję! ot widzisz, jedziemy już do siebie do domu; czy ciebie to nie cieszy?

— A i bardzo, bo zmęczona jestem.

— Marzyłem o tym dniu, bo przecież teraz już żyć będziemy tylko ze sobą, nie będą nas krępowali ani ludzie, ani kraj obcy, ani to hotelowe życie, którego nie cierpię, nie będą pomiędzy nami stawały arcydzieła i klótnie o nie; tak nie cierpię tego hotelowego kraju, tego życia w oczach wszystkich, podzielonego na etapy, wyznaczone przez Cooks limited, gdzie wszystko ma cenę zgóry oznaczoną, gdzie wszystko jest posegregowane i opisane i oznaczone numerami przez Baedekera, gdzie człowiek nigdy nie może się czuć sam zupełnie i sobą. Obcy świat, a mnie tego brakowało, o, tych lasów i tej ziemi!.. ja stąd i z tego!.. — zakreślił szeroki łuk ręką i rozrzewnionym wzrokiem ogarnął obszary pól, na które wyjechali z lasu.

— To już Krosnowa? — szepnęła jakimś strwożonym głosem.

— Tak, to już dom nasz.

— Dom nasz!.. — powtórzyła jak echo. — Krosnowa! — i patrzyła z jakąś głuchą obawą na park i długą aleję lipową Krosnowy. Nie czuła upału, jaki ich zalewał teraz, kiedy jechali polami, niezaslonieni niczem; zimno jej było i ciemno. Jakieś uczucie obcości przenikało jej duszę chłodem.

— Dom nasz! — powtarzała i niepokój rósł, miała wrażenie, jakby te lasy, które zataczały olbrzymie koło i stanowiły zieloną ramę pól, odgradzały od świata i wtlaczały siłą w tę ciasną dolinę, gdzie odtąd żyć miała, jakby ją te pola, złocące się pszenicą, pohaftowaną makami czerwonymi, liljowemi wykami, które jak morze się kołysały i dźwięczały muzyką chrzęstów koników polnych, przepiórek, brały w swoje objęcia tak mocno, tak mocno, że czuła jakiś strach niewytłumaczony i ból.

Andrzej spoglądał na nią, ale nie umiał czytać w tej pięknej, bladej twarzy. On się cieszył, że powrócił, bo pewny był, że teraz, kiedy go nic nie będzie przegradzało od jej duszy, zazna szczęścia dopiero, że teraz ona będzie mogła ocenić jego miłość; ale chwilami odzywał się w nim jakiś cichy i głęboki żal do niej za obojętność marmurową, za ten chłód, którego nie mógł przełamać, za tę wyniosłość pewną, która go onieśmiała i zamykała mu nieraz usta w połowie gorącego okrzyku, więc chwilami spoglądał surowiej, z wyrzutem, ale w tem wytrwać nie mógł, bo otaczały go jego ziemie i jego zboża.

— Zwożą pszenicę! — zawołał, wstając na wózk. — Pyszna pogoda, sucho zbierają! — i gonił oczyma za żniwiarkami, które o kilka staj od drogi pracowały — tryby zgrzytały i ostre zęby błyskały co chwila stalowemi błyskawicami nad złotawem polem. Wielkie sterty wznosiły się w różnych kierunkach niby piramidy, a czerwone stroje kobiet, rojących się po polach, cięły się ostro, niby wielkie maki. Powietrze lekko drgało, aż przydrożne niskie grusze szeleściły sennie zakurzonymi liśćmi.

— Walek! sam tu! — krzyknął ogromnym głosem Andrzej na chłopca, uwijającego się na koniu przy najbliższej żniwiarce.

— Zobaczę tylko, co się robi i zaraz przyjadę!

Skinęła głową i patrzyła na Walka, który sadił przez zagony i kołysał się na siodle, niby na biegunach i co chwila zapadał i wychylał się ze zbóż.

Pojechała sama do dworu. Nikt nie wyszedł na jej spotkanie, drzwi były pozamykane, okna szczelnie pozasłaniane, a na podwórzu, prócz kur i ślepego psa, co się wylegiwał w cieniu podjazdowej kolumnady, nikogo.

Dopiero w kilkanaście minut po wołaniach chłopca, nadbiegł zadyszany Bartek w jednych tylko parciankach i koszuli, oczekiwał wodą i obcierał się nagwałt spencerkiem.

— A to kąpać się byłem, bo taki gorąc, że śpik me morzył, ale ino pacierz byłem — usprawiedliwiał się ze strachem — a nie byłbym i tyła, ino...

— No dobrze, otwórz drzwi.

— A juści, kiej Janowa mają klucze, zaraz polecę; a nie byłbym pacierza, ino Jędrak Rafałów, koniarek, wzion mi obleczenie i zaniósł na kępę; złapałem go, spralem juchę kiej psa, a tu słyszę, że ktosik woła...

— Idźno i poszukaj Janowej.

— Jezdem, paninko, jezdem! — krzyczała zdaleka, lecąc z rozłożonemi rękoma, niby stara kokosz do piskłat w niebezpieczeństwie; przypadła do nóg i radosnym głosem wołała: — O mój Jezu słodki, o moja paninka najukochańsza, a tośwa czekali i dnie i noce! a tośwa ze starszą panią wychodziły jaże do mostów, a tośwa se mówiły: a może dzisiaj przyjadą! Loboga, jak mi paninka ślicznie wygląda, kiej na obrazku, a opaliła się paninka na gembie za przeproszeniem, kiej buleczka. — Gadała, otwierając drzwi, pomagając wnosić walizy, i co chwila przypadała do Janki, obejmowała za nogi, całowała po rękach, nie wiedziała co robić już, tak ją roztrzęsła radość.

— Duszno tutaj, pootwieraj Bartek okna.

— A moja złota paninko, a moja kochana!

— Starsza pani w domu?

— Pani gospodyni je na wsi u Jadamki, co już od rana rodzi, je i dochtór...

— Hale! widzisz go! głupi chłop, chłapie ozorem byle co, idź do kuchni palić ogień! — zakrzyczała Janowa, wypychając Bartka. — A to u żniwa wszyscy, a starsza pani je rychtyk u chorej kobity, na wsi. A ja byłem w ogrodzie za ogórkami i bez to me paninka nie zastała.

— A córka wasza? cóż tam słyhać, jest już w Zielonce?

— A jest... jest... — urwała, usta opadły jej tak jakoś na brodę, że jej stara obrzękła twarz z sinemi wargami zrobiła się podobną do gęby krowy, ryczącej za cielęciem.

Janka nie czekała na dalszy ciąg opowiadania, tylko poszła oglądać mieszkanie. Otoczyła ją smutna cisza mieszkania napół umarłego, bo niezamieszkanego. Mrok, jaki rzucały pospuszczane story, ciemne obicia i portjery, meble o formach poważnych, wielkie pokoje, wszystko to tchnęło jakąś pleśnią i posepnością.

Chodziła i oglądała długo, nikt się nie zjawił, tylko od oficyn dochodził ją krzyk łapanych i zarzynanych kurcząt, a od dziedzińców i zabudowań — szczekanie i wycie psów na łańcuchach, a czasami od pól leciały odgłosy turkotów i echa śpiewów rozbrzmiewały smutno w tem pustem mieszkaniu.

— Co ja tu będę robić? — zapytała głośno, rozglądając się po tych wspaniałych pokojach. Nie umiała sobie odpowiedzieć, a nawet nie chciała; przeszła pokój jadalny, wyłożony dębem, obstawiony wspaniałymi kredensami i przez werendę zesłała do ogrodu, nad długie, powyginane jezioro, otoczone alejami grabów strzyżonych, tak rozrośniętych, poskręcanych ze sobą, poplątywanych dzikim chmielem, że tworzyły głuchy, zimny tunel, którego spód, niegracowany od wieków może, zarósł chwastami. W niszach żywych, utworzonych z drzew odwiecznych, stały trzony, z których pozrzucone posągi bóstw mitologicznych leżały zaledwie widoczne w trawie, szerniałe, obrośnięte mchem, jedzone przez deszcze, trawy i powietrze. Kosy gwizdały w gąszczach, gile, zięby, bogowole, sikorki zawodziły ogromny wrzaskliwy chór w całym parku, a na jezioro, przyczepione do wielkich liści grzybieni, żaby nukały przeciągle i sennie, wielkimi oczyma patrzyły w słońce i na miljardy much, kołujących się nad powierzchnią, niby tuman, przez który, jak punkty szmaragdowo-złote, błyskały wysmukłe ważki. Jaskółki ze świergotem przelatywały nad wodą i pruły powietrze fantastycznymi linjami. Cisza była taka ogromna w parku, że słyhać było głosy komarów i szelest trzcin, tataraków i sitowia, co zarastały brzegi i biły o siebie, ilekroć wiatr powiał od drzew, albo kolisko wody roztrąconej piersią jaskółek nadbiegało. Jasnopopielatawy błękit rozciągał się nad wszystkim, niby

dach, z którego zsuwało się już ku zachodowi słońce i kładło na wodę złotą patynę, niby laserunek.

Janka zimno i bez uniesienia przyglądała się parkowi; szła, ale zaczynała ją porywać nuda i zniechęcenie; siadała po kilka razy na kamiennych ławkach, zielonych od mchu, to na trawie tuż nad wodą, ale zrywała się prędko i znowu szła, patrząc obojętnie. Obeszła całą jedną stronę i przez most zrujnowany, ozdobiony kiedyś posągami, które teraz przegłądały z dna wody, przeszła na drugą stronę.

— Jestem w domu! — myślała, idąc samym brzegiem, wpatrzona w fasadę domu, który się wychylał, niby z ramy zielonej, z pośród potężnych lip i buków, rosnących w szczytach.

— Jestem w domu! — odwróciła nieco głowę, bo słońce biło w szyby i zapalało kilkadziesiąt promieniejących ognisk.

Powtarzała te słowa po kilka razy, ale jej nie poruszyły. Nie wiedziała, co w niej jest, ale czuła, że niema w niej ani radości, ani zadowolenia z tego, że jest już u siebie.

I kiedy powróciła i przy pomocy Janowej rozpakowywała walizy, to musiała sobie przypominać, że jest u siebie, bo jej się zdawało, że zaraz stąd odjedzie, że jest jakby z wizytą tylko.

O dobrym zmroku dopiero przyszła Grzesikiewiczowa, a zaraz potem stary, Andrzej i Józia z dziećmi.

Przywitanie było nad wyraz serdeczne.

Józia drgała rozpromienieniem i radością, aż co chwila musiała zasłaniać oczy binoklami.

— Ralf, Tola! przywitajcie się z cicią! — wołała po francusku na dzieci i śledziła z dumą, jak dzieci, niby manekiny lub pudle wyuczone, sztywno witały się.

— Józia, gadajno po ludzku! — upominał stary, który, trochę onieśmielony wyniosłym i chłodnym zachowaniem się Janki, stał sztywno, nie wiedząc, co zrobić z sobą. — Wielemożna pani! — zaczął, ale Józia uderzyła go oczyma, że zamilkł. — E! moja Józia, przecież ojciec tu jeźdem, to mi tu wolno cośnieceś z pyska pary puścić przy swoi pani synowej; prawda pani? — pytał Janki, zbierając się na odwagę.

— Ależ mój ojczce, przecież ojciec u siebie, to mu wszystko, wszystko wolno.

— A widzisz Józka. Stara, a niedajno wiele... pani synowej morusać rączków! — wykrzyknął, widząc, że Janka zabierała się do nalewania herbaty.

— A juści, dałabym ja co robić. Siedź sobie córko, to już ja ci posłużę, abo i Józia.

Józia skrzywiła się nieco, a Andrzej rozpromieniony patrzył na żonę i na matkę.

Podano kolację i zaczęło się to prędkie i bezładne opowiadanie pierwszego dnia po podróży. Stara tylko niewiele słyszała, bo śledziła z niepokojem Bartka, obnoszącego półmiski, który, ubrany w przyciasną liberję, chodził sztywny i ogłupiały, wszystko wysuwało mu się z rąk.

— Upuścisz! a, jakto trzymasz?... oblejesz, niedojdo, panią! — wykrzykiwała stara.

— Gadaj, Jędrus, gadaj!... takim rad, żeście przyjechali, takim wesół, że pił będę na uciechę. Matka, postaw gorzałki! — wołał stary rozpromieniony i przesiadł się do syna, popijał i ukontentowany do głębi, dumny, słuchał i jadł jak wilk, głośno mlaskając, i z tej radości rzucał pod stół kości Łapie, staremu nieodstępnemu psu, który je odnosił pod okno i gryzł, aż trzeszczało.

— Papo, szkoda podłogi, a zresztą do czego podobne rzucać kości na ziemię, tutaj nie karczma przecież.

— Papo! papo! Józia! Józia! — przedrzeźniał stary. — Ty sobie dzisiaj gadaj, a ja i tak słuchał nie będę, bom wesół, jak Boga tego kocham. Matka, daj gorzałki.

Józia założyła binokle i szepnęła po francusku do Janki:

— Czeeka panią niemała praca oduczenia ojca od chłopskich nawyknień.

Janka pochyliła głowę, nie odzywając się prawie przez całą kolację, tyle tylko, ile do niej się zwracano, bo dziwne wrażenie wywierali na nią zgromadzeni. Józia śledziła ją ciągle i gonila oczyma, matka pilnowała Bartka i gderała, stary pił, pluł za siebie, gadał głośno, śmiał się i dowcipkował rubaszenie; dzieci siedziały obok siebie sztywno i poważnie, a Bartek, o ile nie był zajęty, stał przy drzwiach wyprostowany, zalękniiony, i wycierał spoconą twarz rękawem i wzdychał. Andrzej opowiadał, ale jakoś sennie i niecierpliwil

się, bo stary co chwila brał go w ramiona, albo klepał po łopatkach i porwany dumą wykrzykiwał:

— Udał mi się synek, udał mi się parobek, co, prawda, pani?..

A Janka na odpowiedź uśmiechała się blade i czekała, rychło się skończy ten wieczór, bo czuła się zmęczoną i jakoś bardzo obcą tym ludziom; zwracała się do dzieci, ale dzieci uśmiechały się do niej banalnie, niby automaty, aż stara rzucała na nie niechętnie spojrzenia i szeptała:

— Cudaki! Boże się zmiłuj!

— Jestem w domu, u siebie, z rodziną! — powtarzała i wodziła oczyma po dębinie rzeźbionej, okrywającej ściany, pociętej na wielkie czworokątne pola brązowymi pasami, po kredensach olbrzymich, co zajmowały całą jedną ścianę, po tych łosich głowach z rosochatemi gałęziami, co w środku owych pól były zawieszzone, a potem po twarzach siedzących, prostych, grubych chłopskich twarzach, które tak dziwnie wyglądały na tle tego wielkopańskiego przepychu, że, chwilami zapominając, myślała: skąd oni się wzięli? pogo? i miała ochotę wstać i wyjść; czując się dotkniętą, że siedzą obok niej.

— A niechże pani nie zapomina o nas! — mówiła Józia i dalej już opowiadała o sąsiedztwie całym.

Wtedy Janka przychodziła do równowagi i wkrótce przyszła zupełnie, bo przyniosła rozmaite drobiazgi, przywiezione z Włoch, i zaczęła rozdawać, kiedy drzwiami z werendy najniespodziewaniej wszedł Witowski.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknęła stara.

Nie odezwał się, tylko z Janką się witał najpierw, a potem z resztą. Andrzej zerwał się i pochylał do pocałowania, ale mu Stefan mocno uściśnął rękę i usiadł obok dzieci.

— Bartek! daj mi mocnej herbaty. Dowiedziałem się, że państwo przyjechali i przyszedłem was zobaczyć. Jędrus pysznie wygląda, ale pani jakoś inaczej, o inaczej!.. — spojrzal jej w oczy tak mocno, że drgnęła.

— Cóż, Włochy! cuda! same cuda! — ironja zadrgała mu w głosie.

— Istotnie cudowny kraj! znalazłam tam więcej, niżli myślałam, że znajdę.

— Albo przywiozła pani ze sobą taką chęć zobaczenia cudów, że aż pani i zobaczyła! — Zaczął pić herbatę, a po chwili dodał: — Jadzia przesyła pozdrowienia i czeka na wasze odwiedziny.

— Jak tylko nieco żniwa zepchniemy, to natychmiast.

— Dobra i obietnica.

— Siostra zdrowa?

— Prawie już zdrowa i dzisiaj po raz pierwszy wyjeżdżała na spacer.

— To chorowała?

— Trochę. Konie poniosły, powóz się wywrócił i potłukła się.

— Pewnie te same djabły, które mi nas wiozł wtedy.

— Te same. Czy też pani pamięta jeszcze ową sannę?

— I myślę, że nie zapomnę nigdy! — odpowiedziała dosyć prędko.

— A to ścierwy ogiery, czyste smoki, jak Boga tego kocham.

— Smoki nie, tylko Jasinowski nie umiał powozić i pozwolił się im rozhuścić. Pamiętasz, Jędrus, jak to wtedy się rwały? — umyślnie mówił o tej sannie i patrzył na Jankę.

— Ba, dzisiaj mnie jeszcze dreszcz przejmuje i dziwię się, żeśmy się nie pozabijali, pamiętam i z tego, że żona zemdląca.

— Pani zemdląca?.. ale kiedy?.. — pytał, jakby nie wiedząc o tem.

— Skorośmy tylko wysiedli.

— No, no, nie wiedziałem!..

— Że co? — podchwyciła.

— Że pani umie takie rzeczy odczuwać tak mocno.

— Zawszy kobieta je miętsza, kiej męszczyzny! — wtrąciła stara sentencjonalnie.

— Przyznam się, że pierwszy raz jechałam z taką szaloną szybkością.

— Urządźmy sobie jeszcze nieraz podobną sannę, żeby się pani przyzwyczaiła i nie mdlała.

— Nie, więcej już tak nie pojedę, a przynajmniej nie pańskimi końmi — powiedziała z naciskiem, bo ją drażnił ironiczny ton jego głosu.

— Wyruchtujemy sanie, założymy bulanki i pojedziemy, jak Boga tego kocham, że jaż... ha! Matka, dajno jeszcze gorzałki, napijemy się z panem Witowskim.

Ale matka, widząc, że stary już pijany, podniosła się, ujęła go pod pachę i chciała wyprowadzić.

— Nie ciągnij, jak mówię, gorzałki postaw, to postaw. Pan Witowski jest jaśnie pan dziedzic i ja jestem jaśnie Piotr dziedzic. Postaw gorzałki, niech się dwa dziedzice ucieszą, jak Boga tego kocham, wesołym dziś taki, to... — nie skończył już, bo go Andrzej ujął mocno pod ramię i wyprowadził, a zaraz i Józia się zabierać zaczynała do odjazdu.

— Idźcie państwo spać, mnie Bartek da herbaty jeszcze, wypiję i pójdę sobie. Niech się pani nie dziwi, to nie po raz pierwszy... — tłumaczył Jance.

Ale Andrzej z Janką pozostali i jeszcze z godzinę razem siedzieli na werandzie, wpatrzeni i wsłuchani w cudną noc lipcową, tak ciepłą, tak rozmarzającą i pełną zapachów lip i kwitnących w klombach heljotropów, tak rozśpiewaną, że Janka wkrótce zasnęła w swoim biegunowym fotelu, a Andrzej był coraz senniejszy.

Witowski siedział na balustradzie, pił herbatę, dopóki była, palił papierosy jeden za drugim i patrzył w niebo granatowe, głębokie, pełne gwiazd i ciszy nieobjętej; czasem spoglądał na Jankę, której przechylona twarz słabo się rysowała w zmroku, na jezioro dymiące mgłami, na park czarny i głucho szemrzący, jakby przez sen, w tę noc spokojną, która obejmowała wszystkich i wszystko w sen i w milczenie i wkońcu, nie odezawszy się ani słowem, zeszedł z werandy i poszedł.

XX

Życie w Krosnowie płynęło cicho, a pracownicy, szczególnie teraz, czasu żniw.

Andrzej od świtu do nocy na koniu uwijał się na polach, stary również dnie całe przesiadywał w lasach. Dom opustoszał, bo nawet stara Grzesikiewiczowa, gdy słońce przygrzało, szła w pole z przyzwyczajenia i siadywała dnie całe pod stertami, lub niezżętym jeszcze zbożem i śledziła robotę, albo laziła około domowego gospodarstwa i gderała, że ciągle słychać było jej gniewny głos w coraz innej stronie.

Tylko Janka nie brała udziału w tych kłopotach i pracach.

Te pierwsze dnie przepędziła prawie samotnie. Męża widywała raz na dzień, a czasami wcale, jeśli kazał sobie obiad przynieść na pole, a wieczorami, albo zamknięty w kancelarii z ekonomami przesiadywał prawie czas cały, albo, jeśli przychodził na kolację do jadalnego, to był tak strudzony, że nie dopijał herbaty i zasypiał w krześle.

Przepraszał ją zato serdecznie, wypytywał, czy się nie nudzi, czasem zabierał w pole, i uspokojony jej spojrzeniem i twarzą zawsze zamkniętą, zmrożony tym chłodem obojętności, jaki wiał od niej, i tą jakąś pańską wyniosłością, z jaką na wszystko patrzyła, choć bardzo cierpiał z tego powodu, zostawiał ją w samotności. Zapracowywał się, żeby nie czuć bólu i wyżyć się tego wrzenia gniewu, jakie nieraz czuł w jej obecności.

— Jeszcze się nie zżyła z nami, czuje się obcą, niech mama o niej pamięta! — tłumaczył matce.

— Nie bój się, Jędrus, już ja pilnuję, chucham na nią, już jej tu niczego nie brakuje.

— Niech mama z nią więcej przesiaduje i rozmawia, bo ona tak ciągle sama, to może się jej nudzi.

— A bogac to! mówić, juści, ale widzisz, kiej nie śmie. Nieraz przylecę z pola ino poto, coby z nią pogadać, bo i mnie się za nią ckni, i boje się gemby otworzyć. Ona taka pani, taka uczona, co ja jej powiem? A nudzić, to pewnie, że sie nie nudzi, bo ciągiem grywa na fortepianie, abo czyta na tych wielgich książkach. Panią mam synową, uczoną mam synową! — dopowiadała z dumą stara, ale swoją drogą ciężko jej było, że nie mogła się do niej zbliżyć, bo właśnie ta jej „uczoność” i „pańskość” przegradzały i otaczały Jankę kołem zaklętem. Obcą była im wszystkim, zupełnie obcą. Przyszła z innego świata, podziwiali ją, kochali po swojemu, ale nie rozumieli tak, że zwolna do duszy starych wkradała się niechęć, podsycana jeszcze zmianami, jakie z jej przyjazdem zaprowadzał Andrzej w Krosnowie.

Dotychczas, pomimo magnackiej fortuny, żyli jak dostatni chłopci, może trochę lepiej, mieszkali w oficynie, jadali co Magda ugotowała, jeździli bryczkami, ubierali się jak bądź, skąpili na wszystkim, bo nie mieli żadnych potrzeb. A teraz wszystko się zmieniło.

Andrzej chciał dom postawić na stopie odpowiedniej: nie dla siebie, bo było mu to dosyć obojętnem, ale dla Janki, przyjął kucharza, piwnice kazał zaopatrzyć dostatnio, Bartka ubrał w liberję, pokupował powozy i kilka par koni cugowych stało zawsze w stajni, aż starego złość porywała.

— Te habany zeżrą tyle owsa, co połowa fornalskich, nic nie robią, jak Boga tego Kocham! — skarżył się żonie pociechu, bo Andrzejowi nie śmiało.

— Kunie, juści że żadna pociecha, a wydatki tylko; ale żeby to kunie ino, a toć ten zapowietrzony kucharz tyła masła, jajków i śmietany bez tydzień bierze, co dawniej i bez miesiąc nie wyszło, a jeszcze się za gotowy grosz sprzedawało.

— Gryzą Krosnowę, aż trzeszczy! — dodawała Józia od siebie; — ale to początek, zobaczy ojciec, jak to później będzie.

— Głupias! nie wtykaj swoje trzy grosze! — przerwał jej brutalnie, bo go złość szarpnęła.

— Ale pani synowa jest niby lala malowana!

— Józia, ty mi na nią nic nie mów, słyszysz, bo jak Boga tego Kocham! — uderzył pięścią w stół, złapał czapkę i wyniósł się w podwórze.

— Lala malowana, wielka pani! szlachcianka! Tfu! na psa taki pański moderunek na habecie! — mrucał zirytowany, bo gryzły go i te wydatki, i to, że synowa trzymała go w oddaleniu, że nie śmiało ani kłąć przy niej, ani pić, i musiał na obiady i kolacje przychodzić do pałacu umyтым i przebrany, bo mu to Andrzej wprost nakazał.

— Takim eligantem zostanę jeszcze, że co miesiąc nowe obleczenie będę sobie kupował, fryzjera sprowadzę, frak kupię, jak Boga tego Kocham! i celender!.. — gadał nieraz Andrzejowi.

— Przecież ojca na to stać.

— Stać! przecie że stać i na więcej, bo cóż to przy nas taki pan Łomiszewski, co to ino czwórkami wali? karbowym mógłbym go zrobić na folwarku; albo pan Zieliński! wielkie mi państwo, jak Boga tego Kocham! z bebechamibym ich kupił, i jeszczeby się co zostało, prawda, synku?

— I dużoby się zostało, bo oni prócz długów, pretensyj i szlachectwa, nic nie mają więcej. Dlatego właśnie my będziemy żyć po ludzku.

— A jaktośmy dotąd żyli, he?

— Po chłopsku! ojciec tego nie rozumie, że właśnie dlatego, że mamy dużo, to powinniśmy znacznie więcej niż dotychczas wydawać. Robiliśmy dotąd pieniądze, a teraz musimy zacząć żyć.

— A żyj se Jędrus, ino kiej chorujesz na pana, to ja twoim doktorem nie bede, i za lekarstwa płacić nie bede. Głód daje nogi, a chleb rogi, mój synku, jak Boga tego Kocham! mój panie dziedzicu, mój jaśnie Jędrusiu! ho! ho! — Andrzej trzasnął drzwiami i wyszedł.

— Szlachta zapowietrzona! Pani synowa nie może patrzeć na mój kozuch, buty jej moje śmierdzą, perfunami po mnie kadzi, a żeby to!.. — syczał ze złości i kopnął nienawistne kamaszki, w które się miał przebrać, aż się rozleciały po pokoju. Napił się wódki dla uspokojenia, ubrał się i poszedł do pałacu.

Prawie takie same sceny były i z matką, która za nic nie chciała się pozbyć swoich beżowych sukien i chustki z głowy i starych chłopskich przyzwyczajzeń.

Andrzej znowu nie ustępował, bo nieraz widział spojrzenia żony rzucone na rodziców, i czuł, że ją rażą swoim prostactwem i ubiorami, zdawało mu się przeto, że, przebrawszy ich, zbliży do niej tem samem.

Ale i to nie pomogło, nie zbliżyło ich do siebie. Janka żyła obok nich, ale nie z nimi. Pozostawała też prawie samotna dnie całe.

Jeździła czasami na pola ze starym, chodziła z matką po chlewach i oborach, odwiedziła Józję, próbowała się interesować życiem otoczenia, chciała się zająć sprawami domu i gospodarstwa; ale kończyło się to prędko, i znowu czuła, że to wszystko nic jej nie obchodzi. Napróżno powtarzała, że jest w domu u siebie, że już stąd nigdy nie wyjdzie, że musi przystosować się do tych ram życia, jakiem żyli wszyscy; nie, nie mogła, i żyła tylko jakimś oczekiwaniem — na co? nie wiedziała, Czuła tylko, że tutaj pozostać nie może, że nie wytrzyma pomiędzy tymi ludźmi prostymi, którzy ją odgradzili od świata, jakby groźnie strzegli, żeby nawet myślą nie mogła wybiec z Krosnowy; więc się zamykała coraz częściej w sobie i długie godziny przepędzała przy fortepianie, albo na samotnych

po parku spacerach; pisywała długie listy do Heleny i do doktora, który jej często donosił o zdrowiu ojca; przesiadywała z książką w ręku, zapatrzona w przestrzeń, bezmyślnie prawie poddając się apatii i nudzie, jakie ją przenikały; obca temu, na co patrzyła, i obca nawet samej sobie, tej dawnej swojej duszy, pełnej nieskrystalizowanych fermentów, marzeń i pragnień, której teraz, jeśli się jej przypatrywała głębią swoją, poznać nie mogła.

— Co się ze mną stało? — myślała, ale odpowiedzi nie znalazła, i pograżyła się znowu w apatii, i leniwie przypatrywała się Bartkowi, siedzącemu pod podjazdem, który przeciągał się ociężale, i tęsknie poglądał na pola, i wzdychał jakoś żałośnie.

— Bartek!

Chłopak śpiesznie nadział spencer liberyjny, który, o ile tylko mógł, zawsze zdejmował, bo go dusił, i rozczzerwieniony, sztywny, patrzył na nią.

— Co ci jest? czemu tak wzdychasz?

— A to... a bo... ckno mi, proszę jaśnie pani! — szeptał nieśmiało.

— Powinno być ci dobrze: nic nie robisz, masz chłodno.

— Juści, że nic nie robię; juści, że chłód mam galanty, ale... — zaczął się drapać po głowie rękami i obcierać rękawem twarz wiecznie spoconą, — ale... człek był wzwyczajony do pola i do ruchania się, tu siedz, kiej pies w budzie uwiązany, kiej tyn kamień, i patrz, jak drugie parobki jeżdżą, śpiwają se, a do tego wszyscy się śmieją ze mnie... — zakończył napół z płaczem.

— Śmieją się z ciebie?

— A ino, że to ja lokaj, i w tej zapowietrzonej luberji, kiej jaka małpa zagraniczna chodzę, że ino pańskie psy po ogonach drapie za całą robotę. Ścierwy!... — mruknął, zaciskając pięści, opamiętał się rychło i zamilkł zmieszany.

Nie odezwała się już nic więcej i szła przez wspaniałe salony, zalane mrokiem, chłodem i ciszą. Stare portrety ze ścian spoglądały za nią wybladłymi spojrzeniami, w których tkwił jakiś smutek rzeczy umarłych; brzozy, złocenia, kraty kominków, marmury, stiuki sufitów, ciężkie jedwabie portjer i obić miały w sobie jakąś przygniatającą posępność; wpół ośleple zwierciadła świeciły suchotniczą żółtością, niby zamierające oczy tych pustych salonów; bukiety róż, lewkonij i astrów rozlewały duszącą, ciężką woń i pogłębiały barwami ten nastrój pustki, jaki Jankę przenikał coraz głębiej.

Chodziła z pokoju do pokoju, grube dywany tłumiły odgłos jej stąpań, czasem przystawała na środku, zakładała ręce na głowę i stała długą chwilę, nie myśląc, pustemi oczyma błędząc po otaczającym ją przepychu, po oknach, przez których zasłony rysowały się kontury drzew, i za którymi były pola, lasy, ludzie, świat cały, ten świat, od którego czuła się coraz dalej.

— Moi kochani, powiedzcie mi prawdę, czy tutaj jest smutno? — zapytała Janowej, która w jednym z pokojów wycierała podłogę.

— Hale! całkiem po pańsku jest. Ja prosta kobita jezdem, cobym ta tutaj nie ścierpiała, ale ślicznie je, kiej w kościele. Jezus kochany, kiej wejdę do tej dużej stancji, to jaże mi sie chce przeżegnać, tyła je złota, że jaże trza oczy mrużyć, tak się hłyńi wszystko.

— Czy wam nigdy nie jest smutno?

— O, jest, paninko, jest! kiej pani córki długo nie widzę, to me tak rozbiera, że rady sobie dać nie mogę.

Nie pytała się więcej, poszła do swojego pokoju.

— Pusto! pusto! pusto! — szeptała, opadając w głęboki fotel.

Wzięła jakąś książkę i przerzucała bezmyślnie kartki dotąd, aż oczy same zaczęły się zaczepiać na literach i czytać:

My się nie możemy kochać, jak gołębie,
Dwie nasze dusze są jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głąbie —
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.

— Dziwny człowiek, dziwny! — myślała o Witowskim, oderwawszy oczy od książki, i zobaczyła jego suchą, ostrą twarz, i jego czarne, przepaściste oczy magnetyzera. Zaczęła znowu czytać to samo, nie wiedząc, co czyta; przeczytała po raz trzeci, bo ten wiersz:

„Dwie nasze dusze są jak dwie otchłanie” zapadał jej w pamięć, i powracał na usta, i koncentrował koło siebie rozpierzchłe myśli.

Przeczytała raz jeszcze, odłożyła książkę, chodziła znowu po pokojach i powtarzała te cztery wiersze ustawicznie, a ten rytm słów, to ich głębokie znaczenie budziło ją z apatji. Te wiersze zapełniły całą jej duszę, przeżuwała je po tysiąc razy, i było jej coraz dziwniej w duszy.

Mieszkanie wydało się jej grobem, i ta pustka jakby się wdarła do jej duszy i huczała rytmem powtarzanych wierszy.

Głęboka tęsknota zerwała się w niej, i niby wichur, owionęła całe jej jestestwo, — tęsknota za światem, za życiem, za Kochaniem.

— Janiu.

Drgnęła, przystając, bo już miała wyjść na podjazd.

— A to miodu córko ci przyniosłam, podebrali dopiero pszczołkom, może zjesz?

— Dziękuję mamie serdecznie. — Ucałowała ręce gorąco, taką czuła potrzebę zbliżenia się do ludzi.

Stara łzy miała w oczach z radości.

— Jedz, dzieciątko, taki czysty jak bursztyn. Banach podbierał, a ja se myślę: siedzi tam sama, weźmie miodu i zanieś. Jedz, córko, słodziutki jest, bo to lato było suche, i kwiateczki dobrze kwitły; wzięłam i przyniosłam.

— Wie mama co? wezmę ten miód i zaniosę Andrzejowi na pole! — zawołała i, porwana myślą, okryła talerzyk jakąś serwetką, i poszła.

Andrzej był na polach zaraz za parkiem, stał na koniu przy młockarni parowej, buchającej kłębami brudnego dymu, zobaczył żonę idącą przez ściernisko i skoczył do niej galopem.

— Jakaś ty dobra, żeś przyszła, jakaś dobra! — wołał głęboko uradowany, okrywając jej ręce i twarz pocałunkami.

— Widzisz, tak mi było jakoś pusto i samotnie, a potem mama przyniosła miód, może będziesz jadł, co? — zapytała nieśmiało, odsłaniając talerzyk.

— O moja najdroższa, o moja kochana! nigdy jeszcze nie czułem się tak szczęśliwym. Umyślnieś mi przyniosła? — nie mógł uwierzyć.

— Ależ tak, będziesz jadł?

— Chcesz, to zjem i talerzyk, i serwetkę nawet! — wykrzyknął entuzjastycznie.

Oparł się o konia i jadł pośpiesznie, a całował ją oczyma i śmiała mu się twarz i dusza z przyływu radości ogromnej i niespodziewanej.

— Te! chacie jeden! uważaj, bo batem dostaniesz! — krzyknął na fornała, wiozącego zboże do młockarni, który nieomal nie wyrzucił na przegonie.

— Jeśli masz czas dzisiaj, to możebyśmy pojechali do Witowskich?

— Jedź sama zaraz, przyjadę po ciebie wieczorem, dobrze?

— Nie możesz teraz jechać?

— Widzisz, młóćą pszenicę, to ważna taka robota, ale jeśli już tak koniecznie chcesz razem, zaczekaj trochę.

Miała się już zgodzić na to, ale w ostatniej chwili powstrzymała się i szepnęła:

— Pojadę, mogę pojechać i sama, ty przyjedziesz?

— Przyjadę! Walek, odgarniać słomę prędzej! — krzyknął znowu.

— Prędko przyjedziesz na obiad?

— Za pół godziny.

— To ja już pójdę.

Uśmiechnęła się do niego blade, i poszła zirytowana na siebie za ten spacer.

— Śmieszna scena! — myślała. „My się nie możemy kochać jak gołębice”, powtórzyła półgłosem i roześmiała się głośno, tak głośno, że aż się obejrzała, czy nie usłyszał; zobaczyła, że znowu siedzi na koniu. I taki silny, ogorzały, wielki, niby posąg spiżowy Gattamelaty w Padwie.

Przy obiedzie była dość rozmowną, bo oczekiwanie wyjazdu do Jadwigi podniecało ją, i przytem zaczynała czuć do samej siebie wdzięczność za ten miód zanieiony Andrzejowi, który był niesłychanie rozpromieniony przy stole. Stara także była w humorze, i po raz

dziesiąty opowiadała, jak to ona przyniosła miód, jak to ją Janka ucałowała, i jak ten miód zaniósł; tylko stary był mroczny i zły czegoś, czekał tylko okazji, aby się wywnętrzyć.

— Kundlu jeden! — krzyknął na Bartka. — Cóż to, w liberji będziesz paradował na codzień? widzisz go! jucha się w korty wystroiła, i myśli, że sielny pan, jak Boga tego kocham! fotela ci tylko potrzeba.

— Jaśnie Pietrze dziedzicu, kiej mi tak kazali.

— Niech mu ojciec da spokój!

— A to w spencerku chodzić nie może?... to darł bedziesz takie ubranie pocziwe, co kosztuje całe dwadzieścia pięć rubli.

— Bartek, idź do Wálka, niech założy cugowe do wolancika, pojedzie z panią do Witowa!

— Bój się Boga, chłopaku! roboty tyła, że niewiadomo, co wpierw robić, ludzi nawet na lekarstwo dostać nie można, a ten, jak Boga tego kocham, parobków na spaceru wysyłać będzie!

— Wiem dobrze, że robota jest, ale Jania musi jechać.

— Tak, muszę jechać! — odpowiedziała z przyciskiem, aby zrobić na złość staremu.

— Grafina zapowietrzona! — mruknął stary ze złością i, nie skończywszy obiadu, wyszedł, a Janka była w takim usposobieniu, że aby mu zrobić więcej przykrości, kazała koniom czekać przed dworem całe dwie godziny, i z pewną przyjemnością widziała, że stary kilka razy wyglądał z oficyny na podjazd, kłął głośno na marnowanie czasu i na jaśnie państwo, i, nie mogąc wkońcu wytrzymać, krzyknął na stangreta:

— Czemu nie jedziesz?

— Jaśnie pani kazała czekać.

— Ażeby pioruny takie rządy, jak Boga... — cofnął się, bo wyszła Janka i pojechali.

XXI

Do Witowa był kawał drogi; jechali wielką aleją, wysadzaną lipami, łączącą oba majątki, kiedyś tworzące całość jedną.

Ciepło było w powietrzu i bardzo spokojnie.

Lipy olbrzymie, rosochate, stały bez ruchu wyciągniętą linią, niby wał zielony. Pola ogołoczone ze zbóż migotały pomiędzy pniami pasami chłopskich kartofli, jeszcze zieleńjących, i wysokimi ścianami końskiego zębu, a na złotawordzawych rżyskach trzęsły się w słońcu srebrnym pyłem pajęczyny.

Pszczoly brzęczały wśród gałęzi lip i na czerwonych kwiatach ostów, rosnących nad rowem przydrożnym, zewsząd pachniało miodem i gryką kwitnącą, której różano-śnieżne pola rozlewały się z drugiej strony drogi, nad łąkami, ku wodom, połyskującym złotem w oddali błękitnawej.

Wieś była jakby wymarła. Domy stały w ogrodach, oddzielone od drogi płotami z desek i wysokimi bramami, nakrytymi gontowemi daszkami, a w środku bram, w wiankach ze zbóż lub ziół pachnących, wisiały obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej. Ściany domów bielily się z sadów śliwkowych, pokrytych owocem, jakby liljową rdzą, i świeciły przepalonymi w słońcu oknami i stały ciche i puste. Tylko gdzie niegdzie błękitne słupy dymów były prosto i wisiały w powietrzu spokojnie, a stare, ośleple i zniedołężniałe psy wylaziły na przyzby i szczekały krótko, albo otwartem oknem wyjrzała jaka twarz, stała chwilę, przyslaniając oczy dłonią, i ginęła w czarnem wnętrzu izb, i znowu było pusto i cicho, bo wszystko, co mogło tylko robić, było na polach i łąkach.

— Proszę jaśnie pani, a to dziedziczka tam idą! — Przerwał milczenie Walek, wskazując batem przed siebie, ku końcowi wsi.

Witowska szła środkiem drogi, otoczona gromadą dzieci, które trzymały się jej rąk, czepiały sukni, wieszały u ramion, tuliły się do niej ze wszystkich stron, niby młody rój pszczół do matki, i cienkimi głosikami śpiewały. A ona z jasną, cudną głową, z uśmiechem, którym promieniały purpurowe usta i głęboko szafirowe oczy, pełnym szczęścia i dobroci nieopowiedzianej — szła i wtórowała dzieciom, to przystawała i mówiła im głośno, a one podnosiły głowy i wszystkie te dziecinne oczy wlepiły się w nią z miłością i zachwyceniem, i wtedy jej wysmukła postać, obwinięta w jasną muslinową suknię, wielkimi fałdami spadającą do ziemi, ściśniętą w pasie niebieską szarfą, oblaną potokami

słońca, co przez sady rzucało skośne, czerwone płomienie — wydawała się cudnym zjawiskiem, widmem, co spłynęło z tych pól ogromnych, z pod tego błękitu nieba, z lasów zielonych.

Walek zjechał na bok; przystanął i zdjął bezwiednie czapkę — i patrzył się takim wzrokiem, jakim chłopci patrzą na obrazy świętych.

Janka patrzyła zdumiona.

Gromada skupiła się przed kapliczką, co stała przy drodze, nad strumykiem, gdzie święty Jan Nepomucen, ciosany z drzewa i polichromowany, stał z krzyżem w ręku, otoczony wieńcami i bukietami kwiatów, wśród ścian wybielonych wapnem. I chór tych młodych głosów, podobny do trzepotania liści wiosennych, do zapachów pól, do szumu strumieni i zbóż — śpiewał:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie, Boże prawy.

I jasne, konopiaste głowy, i modre, niby strumień w dzień pogodny, oczy, świecące w opalonych twarzach, podnosiły się wyżej, i głosiki brzmiały coraz zgodniej, i rozlewały słodkie rytmy, co się łączyły z harmonją wieczoru nadchodzącego.

Jadwiga klęczała w pośrodku gromadki i, skupiona, zapatrzona daleko przed siebie, śpiewała czystym, dźwięcznym, niby bronz, głosem.

Ludzie zaczęli już schodzić z pól, i co chwila ktoś przyklękał na drodze, kładł kosę czy grabie, składał ręce i modlił się lub łączył głos z drugimi.

Wozy ze zbożem, jakie szły, przystawały, i chłopci przyklękali w piasku.

Bydło, spędzane z pastwisk, szło całą drogą w złotej kurzawie pyłów, a za niem piszczałki pastuchów, klekotki zawieszane u karków krów, beczenie owiec, porykiwanie i pieśni, co się skądś zrywały, głosy nawoływań, skrzyp kół — wszystko to łączyło się z tą pieśnią i rozlewało w cichem powietrzu pól, po ścierniskach, po ugorach, po podorówkach, i płynęło ku lasom — hen ku słońcu, co się za nie zsuwało. Wołało głębokim głosem ufności:

Odwracaj nocne przygody,
Od wszelkiej broń nas szkody.

Janka stała z boku i słuchała, i dopiero gdy śpiew umilkł, gdy dzieci kolejno całowały Jadwigę w ręce, a ona każdą głowę głąskała jakimś ruchem miłości matczynej i całowała na pożegnanie, podeszła się przywitać.

— Pani Janina! Ależ zrobiła mi pani ogromnie dobrą niespodziankę.

— Szczęśliwiem trafiła, bo na jakąś uroczystość.

— To dzieci z naszej ochrony śpiewały, odprowadziłam je, bo taki cudny czas.

— Ja dotychczas nie mogę jeszcze pozbyć się zdumienia, patrząc na to.

— Cóż panią dziwi? Wezmę panią pod rękę, bo niezbyt dobrze widzę.

— Mam powóz, to pojedziemy. Jechałam właśnie do pani.

— Przejdźmy, to tak blisko.

— Co mnie dziwi? No to, co widziałam, być może dla pani jest to rzecz naturalna, ale dla mnie zupełnie nowa i zdumiewająca.

— To brata zasługa i inicjatywa ta ochrona. Dawno państwo wrócili? — zapytała prędko, bo nie lubiła mówić o swoich czynach filantropijnych.

— Przeszło miesiąc. Wybierałam się dawno do pani, ale mąż ma tyle roboty, a potem, zanim się do tego nowego życia nieco przyzwyczaiłam...

— Czekałam dawno na panią, dawno.

— Daruje mi pani, bo już jestem.

— I nie puszczę rychło, musi mi pani odświeżyć wrażenia Włoch, bo to już trzy lata, jak tam byliśmy po raz ostatni, trzy lata, jeszcze wtedy zupełnie dobrze widziałam — dokończyła ciszej i smutniej, zwieszając głowę na piersi.

Szły czas jakiś w milczeniu, wśród wrzawy wieczornej wsi, zapełniającej się coraz gęściej ludźmi, wozami i stadami.

Chłopi odkrywali przed niemi głowy, kobiety przychodziły całować po rękach, pochylać się do kolan i witać tem nieśmiertelnem: „Pochwalony”.

Jadwiga poznawała wszystkich, wypytywała o roboty, o dzieci, zajmowała się ich interesami i kłopotami, radziła w niektórych kwestjach, i szła dalej, niby promień słońca przez mroki tej ciemni ludzkiej, co zapychała ulice wioski. Janka milczała, bo zdumienie jej przechodziło w podziw. Patrzyła na nią, nie rozumiejąc wcale. Lubiła lud, ale zdaleka, z przedpokoju, bo chłopą miała prawie za zwierzę i nie zbliżała się do niego bez źle skrywanego wstrętu, czysto estetycznego; nie mogła teraz odczuć i zrozumieć w Jadwidze tego jej szczerzego zajęcia się nimi, wydało się jej to nieco ekscentrycznem. Żyła w ciasnej komórcie wiecznie burzącej się duszy i przez to nie mogła zrozumieć takiej społecznej kobiety, jaką była Jadwiga.

— Pokażę pani coś, co przypomni nieco Włochy, — odezwała się Jadwiga, kiedy już szły ogrodem, wielką aleją, nakrytą wiązami, co jak wielkie, porwane w strzępy parasole, zwieszały cienkie gałązki.

I zaraz ukazał się ten głośny Witów, stary zameczek, zbudowany na sposób dawnych włoskich zamków, z wieżą czworokątną dwupiętrową, zakończoną wysmukłymi blankami, z tarasami, balkonami kamiennymi i żelaznymi, z oknami okratowanymi, ze strzelnicami długimi, z rzędami wąskich okien, z murami zrudziałymi, po których pięły się pędy dzikiego wina aż do wysokości strzelnic i blanków. Zameczek był zbudowany na wysepce, oblanej szerokim pasem wody, rozpalonej do czerwoności zorzami zachodu. Wyniosłe jodły otaczały go wieńcem i kładły na wodę i na brzeg przeciwległy długie cienie.

— Ależ to zamek z legend! Cudowny! — wykrzyknęła Janka, oczarowana, i dosyć długo stała, przypatrując się z rozkoszą.

Przez olbrzymią sień, mogącą pomieścić ze sto osób, ozdobioną głowami jeleni, łosiosów, dzików, zawieszoną bronią i skórami dzikich zwierząt, weszły w głąb domu.

Jakaś klasztorna surowość wiała od wszystkiego i mroziła. Wszystkie pokoje były sklepione, o rzadkich oknach, zastawione ciężkimi meblami starożytnymi, o ciemnych ścianach, robiły wrażenie kaplic w gotyckich katedrach.

Janka szła z pewną obawą za Jadwigą, która, z wyciągniętymi rękami dotykając sprzętów i ścian, rozpoznawała drogę i zaprowadziła ją do pokoju, w którym kiedyś Andrzej powiedział, że nie ma już narzeczonej.

Janka tam dopiero odetchnęła, bo chociaż panował półmrok, ale jasne meble i obicia czyniły ten pokój bardzo wesołym.

Wkrótce przyszedł Witowski i siedzieli tak we troje, w zmroku, który zwolna zalewał pokój, przysłaniał wszystko i wypijał światło ze złoceń sufitu, ścian i sprzętów.

Rozmawiali półgłosem.

Jadwiga chodziła po pokoju z wyciągniętymi rękami, i w swojej białej sukni sprawiała wrażenie widma, cicho przesuwanego się.

Witowski prawie leżał w biegunowem krześle, a Janka siedziała na niskim foteliku, pod oknem, tak, że jej złotawe włosy świeciły się w ostatnich blaskach dnia, i słuchała, uczuwając jakiś dziwny nastrój spokoju i zadowolenia. Czuła na sobie oczy Witowskiego, a jego głos niski, o brzmieniu bardzo miękkim, przenikał ją głęboką rozkoszą, odzywał się echem w sercu i rozlewał po niem nieokreślone dziwne ciepło.

— Włoch nie lubię! — mówił — są dla mnie za jasne, za ładne, tam wszystko się wykreśla z tą wyrazistością geometryczną, jakiej właśnie nie cierpię; tam piękno tkwi w powierzchni, w linji, w formie samej, a ja w pięknie szukam czegoś więcej jeszcze, szukam treści — duszy.

— Ta dusza przecież musi i może się wyrażać w jakiejś formie, ta dusza może być właśnie w samej formie tylko — mówiła Jadwiga.

— Nie, Ada! A pani jak myśli?

— Nie będę przeczyć ani potwierdzać, bo jeśli mi się coś podoba, zwykle nie zdaję sobie sprawy dlaczego.

— Dlatego też podoba się pani i Neapol i Krosnowa — rzucił ciszej.

— Bo i Neapol i Krosnowa są piękne, każde na swój sposób!

— Tak! — rzucił przeciągle i zakołysał się szybciej.

— Mnie Włochy porywały właśnie tem jasnym powietrzem, przejrzystością przestrzeni, tym spokojem dziwnym piękna, taką dziwną łącznością sztuki z naturą. Tam zresztą czułam pierwszy raz głęboką przyjemność samego istnienia.

— Tak... — rzucił znowu.

— Tymczasem tutaj nie czułam nigdy tego; tutaj, idąc czy lasem, czy polami, nawet w zupełnym spokoju duszy, nigdy nie mogę zapomnieć, że jestem, wszystko sprawia mi jeśli nie ból, to przykrość, a ludzie i przyroda jest zmęczona dziką, nieustanną, straszną grozą śmierci; tutaj wszystko zdaje się żyć rozpaczą, walką, obawą, gdy tymczasem tam wydało mi się życie spokojem, niezakłóconym nawet przez obawę śmierci, nawet śmierć sama musi tam nie mieć grozy, tylko jakąś melancholiję gasnącego dnia i kwiatów okwitających.

— Tak! — powiedział po raz trzeci i uniósł głowę z fotelu.

Janka spojrzała na niego ostro, podrażniona tym krótkim dźwiękiem, ale nie miała już czasu mówić, bo wszedł Andrzej.

— Jesteśmy teraz wszyscy, tak, jak chciałam — mówiła Jadwiga.

— Sami bliscy.

— Ja nie mam prawa zaliczać się jeszcze do tych bliskich.

— Zaliczamy jednak panią, bo Andrzej już dawno do nas należy.

Andrzej przysiadł się bliżej niego. Janka wstała, ujęła Jadwigę pod ramię i chodziły przyciśnięte do siebie, i mówiły cicho.

Wniesiono lampę, która napelniła seledynowemi blaskami jedną część pokoju, na resztę rozsypując zaledwie pył świetlany.

— Kochałam panią, jeszcze nie znając, z opowiadań męża, i czekałam dawno tej dzisiejszej chwili.

— Wyglądasz dzisiaj na bardzo szczęśliwego? — zagadnął Stefan.

— Jestem istotnie szczęśliwy, no, bo powiedz...

— Chcesz wyliczać pierwiastki swojego szczęścia, daj spokój, dość mi spojrzeć tam — wskazał głową na Jankę — aby wiedzieć więcej, niż mi powiedzieć możesz... — Usta mu zadrgały, a przez oczy przeleciał jakiś zimny błysk, jakby niechęci czy zazdrości. Patrzył długo na twarz Andrzeja, który siedział przy nim na niskim krześle, patrzył z gniewem prawie, aż rzekł:

— Masz twarz człowieka zupełnie zadowolonego, zupełnie spokojnego.

— Jestem spokojny, tak spokojny, że aż mnie to dziwi, że po tylu burzach wszystko we mnie tak przycichło odrazu.

— Szczęście jest oliwą, przytłumiającą burze wszelkie serc i mózgów.

— Wiesz, nieraz w nocy wstaję, aby zajrzeć do niej, bo mi się chwilami wydaje niemożliwym, aby była pod moim dachem.

— No i znajdujesz ją śpiącą!.. wtedy, ma się rozumieć, klękasz przed łóżkiem i wpatrujesz się w twarz ukochaną.

— Dlaczego drwisz? — szepnął Andrzej z wyrzutem.

Nie odezwał się, bo go złość przygniotła do krzesła; zaczął się kołysać szybko i zagryzał wargi do krwi prawie, przyciszał się z trudem. — Cóż to mnie obchodzi, co oni robią, jak się kochają, czy są szczęśliwi! Cóż mnie to obchodzi! — myślał, ale czuł, że jednak go to obchodzi.

— Nie nudzi się żona w Krosnowie? — zapytał znowu, nie mogąc się oderwać od tego tematu.

— Bój się Boga, dopiero trzy miesiące po ślubie i już nudziłaby się?

— Tak, tak! masz rację, trzy miesiące dla dusz upojonych sobą!..

Andrzej spojrzał na niego uważniej, a on gonił wzrokiem za Janką, spotkał się z jej wzrokiem i przypomniał sobie te ostatnie chwile, przed ich wyjazdem do Włoch, na stacji. Ściągnął brwi i kołysał się prędko, bardzo prędko, a myśli latały mu pod czaszką coraz dziwniejsze, i coraz potężniejsza fala złości zalewała mu duszę, gdy spoglądał na Andrzeja pochylonego nieco i siedzącego tak nisko, że były chwile, w których poczuł szaloną chęć uderzenia nogami w tę głowę i rozbicia jej na miazgę.

— Czuję, że nam będzie dobrze ze sobą — mówiła Jadwiga do Janki — bo czego trzeba, aby się czuć szczęśliwym? Spokoju wewnętrznego i kilku dusz dobrych w otoczeniu,

na których możnaby się wspierać w dniach smutku. — I mówiła długo jeszcze, odkrywała swoją czystą duszę z tą szczerością ludzi dobrych nawskroś. Opowiadała nietylko myśli swoje, ale i marzenia prawie, szczytne przez swój altruizm, przez wiarę w dobro, w cnotę, w sprawiedliwość.

Janka słuchała z początku z pewnym roztargnieniem, które sprawiały oczy Witowskiego, i z pewnym sceptycznym niedowierzaniem; ale później i ją porwała, i już słuchała z chciwością, i wpatrywała się w tę cudną, napół ośleplą, głowę, otoczoną jakby aureolą świętą, dobrocią i zapalem.

— Czy też ona zna anonim? — pomyślała nagle Janka. — Czy ona wie kto ja jestem? — i pierwszy raz w głębi swojej poczuła jakieś szarpnięcie ostre, poczucie niższości swojej wobec tej świętej. Już nie mogła słuchać, bo myślała o sobie, o przeszłości i zestawiała ją bezwiednie z życiem Jadwigi. — Któż ja jestem? — przychodziło jej co chwila na myśl. Puściła jej ramię i usiadła zamroczona temi oślepiającymi przypomnieniami.

— Co pani? — pytała łagodnie i troskliwie.

— Nic, zmęczyłam się tylko! — Opuściła głowę, bała się, aby jej z oczu nie wyczytała myśli, bo jakiś wstyd dziwnie palący przejął jej serce i ubarwił twarz rumieńcem.

Przeszli wkrótce do jadalni, podobnej do średniowiecznego refektarza klasztornego, tak była ciemną i obstawioną olbrzymimi kredensami.

Cisza panowała. Służba w milczeniu grobowem usługiwała, nawet dziesiątki świec, płonących w wielkich brązowych kandelabrach, świeciły jakoś posepnie i nie rozświecały całego pokoju, bo szafy i sklepiony sufit o wydatnych żebrowaniach, podobnych do nóg olbrzymiego pająka, tonęły w cieniu. Później rozmowa była dosyć ożywiona, tylko Janka mówić nie mogła, miała gardło zapchane jakimś cierpieniem bez nazwy i duszę smutną. Wodziła oczyma po wszystkich twarzach, które się uśmiechały do niej życzliwie, po białej plamie obrusa, pełnej sreber i kryształów promieniejących w świetle, po twarzach służby niknącej co chwila w mroku olbrzymiego pokoju, po głębokich niszach okien kolorowych, przez które zaglądał księżyc i kładł na kamiennej posadzce długie płyty światła różnokolorowego, i znowu siedziała zatopiona w sobie, z tem dręczącym pytaniem w mózgu:

— Czy ona wie, kto ja jestem?

Kiedy się żegnali, spostrzegła zły ironiczny wzrok Witowskiego, jakim mierzył Andrzeja i ją. Tak żywo dotknęło ją to spojrzenie, że chciała mu coś powiedzieć, ale nie zdołała, bo podał jej rękę i prowadził do powozu.

— Piękny wieczór, nieprawdaż? — szeptała, aby coś powiedzieć, wskazując na księżyc, wlokący srebrne smugi światła po drżących wodach kanału i wyolbrzymiający cienie jodeł.

— Piękny! Pani jest w stadjum najwyższego szczęścia, więc wszystko się wydaje pięknem, nawet tak banalny wieczór z księżycem, wodą i murami starego zamczku. Szkoda że pani nie maluje, możnaby to uwiecznić akwarelką. Panna Jasinowska już to wyśpiewała w tuzinie sonetów.

Odsunęła się od niego bez słowa, a on natychmiast pożałował ironji, bo, żegnając się, szukał usilnie jej oczu, — nie spojrzała na niego.

Wracali w milczeniu. Andrzej, jakoś dobrze usposobiony, całował ją gorąco i szeptał jakieś prośby, które ją przejmowały obawą, a nieledwie wstrętem takim, że mogła tylko przez zaciśnięte zęby powiedzieć:

— Nie... nie...

Długo w nocy nie mogła zasnąć, tyle myśli naraz skłębiło się w niej, myśli o sobie i o ludziach, a przez które przeszliżgiwały się, niby błyskawica, spojrzenia Witowskiego i cudna głowa Jadwigi.

I jakaś zazdrość takiego życia czystego, i płodnego, i spokojnego, gryzła jej serce aż do krwi i męczyła boleśnie.

XXII

W końcu września Janka pojechała, aby sprowadzić ojca do Krosnowy.

Wstąpiła do doktora i z nim poszła do szpitala, wypytując o stan jego zdrowia.

— Nic się nie zmieniło w jego umyśle, jest zupełnie niepoczytalny i rozprzęgnięty umysłowo; ale u pani cóż słyhać?

- Żyję i jestem zdrowa, to wszystko.
- Wiele i nic jednocześnie zawiera ta odpowiedź.
- Bo i życie moje terazniejsze zawiera to samo, a nawet jest tylko wielkiem nic.
- Jakże można tak mówić, mając męża, dom i obowiązki?
- I nic więcej.
- Tego, co jest, jest aż nadto do wypełnienia życia.

Nie odpowiedziała, żeby nie wykrzyknąć, tak ją to nudziło niewypowiedzianie, ale nie odpowiedziała dlatego, bo zaczynała czuć, że doktor ma rację, że skoro się zgodziła sama i własnowolnie na to jarzmo, to powinna być cicho.

— Bo właściwie czego pani chce od życia, pani Janino? Ja mogę mówić, bo jestem waszym przyjacielem, a pani życzę dobrze z całej duszy, więc niechaj mi pani raz szczerze powie, czego pani chce? a zato, czego pani wymaga, co pani może dać wzamian? Na świecie jest tak, że ten oto dorożkarz, jadący przed nami, wie czego chce? chce zarobić, wyżywić rodzinę, wychować ją, a daje zato pracę; tamten sklepikarz tak samo, większość tak samo. Artysta wielki chce sławy, uznania — daje talent lub genjusz wzamian, daje myśli własne, obrazy, piękno, wrażenia — to prosta wymiana usług. Czego pani chce i co pani daje?

Zawołał szorstko i zakaszłał się tak strasznie, że aż chwilę stał na trotuarze, oparty o jakąś ścianę.

— Czego ja chcę?.. czego chcę? — szeptała... nie, nie mogła narazie sformułować jasno żądań swoich, nie mogła i później. Pragnienie jej i żądania były tak nieokreślone, że miały raczej cechy marzeń. — Czego ja chcę? To proste pytanie onieprzytomniło ją, uderzyło niby młotem, i szła ogłuszona, bezradna i napróżno siliła się wyrwać z siebie to jakieś słowo, któreby określiło jej pożądaną.

Weszli do szpitala i z tych posępnych murów, z tej ciszy grobu, przerywanej echemi dalekich śmiechów i ryków, z tej hekatombi dusz ludzkich, szedł za nią strach jakiś ostry i poznanie własnej nicości.

— Ci także czegoś chcieli! Ci także za czems gonili! — szepnął doktor, przeprowadzając ją do celi Orłowskiego, który się podniósł na ich wejście.

Janka przypadła do niego; cofnął się prędko pod okno i zwrócił się do doktora:

— Aha! jesteś, przeczytam ci raport, jaki napisaliśmy.

Zaczął szukać w stosach papierów. Mówił bezładnie, zapinał mundur, odpinający się ciągle, dawnym ruchem gładził brodę. Wyglądał strasznie, bo włosy na wąsach, brodzie i głowie nie odrosły po opaleniu, więc cała głowa była podobna do kuli czerwono-żółtej, pokrytej szramami, przeciętej sinemi ustami i czerwonymi oczodołami.

— Chodźmy, nie poznał pani, to i nie pozna! Ja się zajmę przewiezieniem do Krosnowy. Na wieczorowy pociąg niech pani czeka na stacji. No, do widzenia.

Wyszła bez słowa i dopiero na ulicy spostrzegła, że idzie. Była zdziwiona, że widok ojca nie poruszył w jej sercu żadnej struny, ani bólu, ani litości. Nie chciała przyznać przed sobą, że był jej prawie obojętny ten biedny obłąkaniec.

— Ale dlaczego?

Nie szukała odpowiedzi, tylko pojechała odwiedzić Zaleską.

Nie mieszkali już na Pięknej; z trudem dostała nowy adres i, mając do wieczora dosyć czasu, odszukała ich gdzieś na Chłodnej, w podwórzu na trzecim piętrze, w domu brudnym i zapełnionym po wręby wrzawą jeszcze brudniejszych dzieci. Z obrzydzeniem szła po schodach zasłanych śmieciami, pełnych zapachów kuchennych, nie dotykając poręczy lepkich od brudu, przez korytarzyki zapchane sprzętami gospodarskimi; otwarte drzwi pokazywały wnętrza izb małych, zapełnionych brudem, nędzą, kobietami podobnymi do widm, parą bijącą z kuchenek, czadu z węgli, zapachów porozlewanych na blaty kuchenne tłuszczów, smrodu okropnego.

Zaleską zastała przy fortepianie.

— Pani Janina! Pani Janina! — zakrzyczała, rzucając się jej w ramiona i rozplakała się z radości; potem zrzucała z krzeseł rozmaite przedmioty, podsuwała je nogą pod łóżka, kręciła się oszołomiona z całą swą dawną bezradnością po ciasnym pokoiku o jednym oknie, przepelnionym nędznymi gratami.

— Jaka pani dobra, nigdy tego nie zapomnę, nigdy... — Znowu płakała, ocierając oczy brudnym fartuchem. — Waciu! Hela! — krzyczała przez okno na podwórko. —

Weronika! — zawołała do małej ciemnej kuchenki. — Boże! jak zwykle niema nikogo, kiedy potrzeba. To niespodzianka! To niespodzianka! — wykrzykiwała, a ujrawszy, że Janka, nie odpowiadając prawie, rozgląda się jakby z litością po mieszkaniu, po tych nędznych sprzętach, z których wyzierała cała jej nędza, usiadła apatycznie i ze splecionymi na kolanach rękami siedziała, tłumiąc z trudem jakiś krzyk, wzbierający w duszy. Po jej brzydkiej, podstarzałej twarzy, ciągnącej się długimi, wychudłymi włóknami ku dołowi, przelatowały łzawe błyski biernej rozpacz; rozprostowana grzywka niby rudawym mchem oblepiała jej czoło, a warstwa pudru, zmyta łzami, opadała na czarny kołnierz stanika, który wisiał na wychudłych ramionach, niby na manekinie.

— Panno Janino! Panno Janino! jaka jestem nieszczęśliwa!.. — i płakała długo i cicho, i cicho i długo opowiadała: że mąż w Medjolanie uczy się śpiewać, że ona utrzymuje się z lekcji, i miałaby prawie dosyć dla siebie i dzieci, gdyby nie musiała posyłać mężusiowi, któremu tak mało daje ten mecenas na kształcenie, że ciągle pisuje do niej rozpaczliwe listy; że Hela spadła ze schodów, że wszystko zastawiła, co mogła tylko zastawić, że nie mogła wziąć lekcji lepszych, bo wprost nie ma sukni i bucików całych.

Chwilami przerywała opowiadanie, zrywała się na nogi, chwytając za głowę i szeptała nieprzytomnie:

— Wytrzymam przecież! Wytrzymam! Na wiosnę mąż już skończy naukę, a może mnie się uda koncert zimą! — Chodziła po pokoju i uspakajała się znowu, i poprzez rozpacz i łzy, płynące niepowstrzymanie, prześwitywała w jej piwnych oczach nadzieja i marzenia słodkie o powrocie, pieniądzach, sławie. I jak dziecko tuliła się do Janki i żebrała potwierdzenia.

— Przecież to możebne, prawda?

— Prawda. Tak pani pragnie, że stać się musi — odpowiadała Janka cicho, bo ją głęboki ból litości i współczucia zalewał, i gładziła niby dziecku włosy, i całowała ją po czole i oczach, i wlewała w nią wiarę i nadzieję w przyszłość drżącymi ustami i sercem pełnym łez, bo jej się przypomniawszy dawna przeszłość, i zdawało się jej, że to ona, Janka, tak klęczy, tak płacze, tak narzeka, tak się wije w pazurach życia. Siebie odczuwała w niej, dawną Jankę, umarłą już na zawsze, bo teraz, w tej chwili spostrzegła, że choć ją to boli, co słyszy, nie przerywa jednak, że więcej współczuje jej nędzy życiowej, niżli duszy zawiedzionej. A potem siedziała w milczeniu, gdy pierwsze wrażenia przeszły, i patrzyła zimno i spokojnie na Zaleską, i już nie miała dla niej w sercu nic — prócz litości.

Zaleska zaczęła ubierać się pośpiesznie.

— Na lekcję śpieszę się, bo to aż w Aleje Jerozolimskie.

— Niech pani weźmie dorożkę!

— Ba! czasem na obiad nie mamy czterdziestu groszy — szepnęła cicho.

Janka zerwała się śpiesznie, jak błyskawica, przypomniawszy się jej te dni głodu w teatrze i taki ją żal ścisnął, że pożegnała się zaraz.

Uciekła prędko z tego domu, od widoku nędzy.

W jakiejś cukierni napisała kilkanaście słów, dołączyła do tego wszystkie pieniądze, jakie miała i wysłała Zaleskiej, prosząc najusilniej o przyjęcie.

Każde, najmniejsze dobro, czynione drugim, jest rozkoszą dla czyniących, odczuła to Janka i zaraz postanowiła, że się zajmie losem Zaleskiej.

— Jadwiga zrobiłaby tak samo! — myślała przez całą drogę na stację, zadowolona z tego postanowienia, poddając się dobroczynnemu wpływowi tej cudnej duszy. I takie zadowolenie z siebie czerpała z postanowienia swego, że radość powlokła jej twarz weselem, że nawet zbyt się nie zdziwiła, dojrawszy Andrzeja, stojącego w drzwiach stacji.

— Tutaj? Kiedyś przyjechał?

— Dostałem telegram, że maszyny, jakie zamówiłem, przyszły do Warszawy, a że jednocześnie chciałem ci zrobić niespodziankę... więc i jestem — kłamał spokojnie, ale w oczach miał niepokój i jakby ból, że musi ją oszukiwać.

— Jadę prosto od Zaleskiej. — I opowiedziała mu wszystko, co widziała i słyszała, zamilczając tylko o pieniądzach i postanowieniu.

Odpowiadał jej monosylabami, to czasem jakimś krótkim zdaniem, nie wiążącym się zupełnie z jej opowieścią, a tylko pobladły, z przysłonionymi powiekami, siedział nawprost niej w wagonie. Kiedy już jechali, śledził jej twarz, jej oczy, doszukiwał się tam śladów czegoś, do czego przyznać się przed sobą nie śmiał i bardzo często wychodził zajrzeć do

sąsiedniego przedziału, gdzie siedział Orłowski z dozorcą; wracał więc panujący nad sobą i wypytywał się jej troskliwie, co robiła przez dzień cały w Warszawie.

Dławiła go zazdrość.

Wszystko jej przebaczył i wszystko chciał zapomnieć, ale zapomnieć nie mógł tego anonimowego listu.

To była zhora, co mu w pewnych chwilach przypinała się do duszy i ssała ją straszliwie.

Był zazdrosny o jej przeszłość, bo zdawało mu się, że w niej tli się jeszcze jakiś płomyk dawnej miłości i nieraz, całując ją lub trzymając w ramionach, spostrzegał, że ona patrzy jakimś dziwnym wzrokiem na niego, jakby na kogoś, którego pamięć zachowała jej dusza. Wtedy odsuwał się i w ponurym gniewie na świat cały przepędzał dnie całe, aby przyjść do wniosku, że jest najgłupszym człowiekiem na świecie, że jego podejrzenia są szaleństwem i tam, gdzie widział wczoraj pewne potwierdzające jego przypuszczenia rysy — nie znajdował nic.

Pojechał za nią do Warszawy, bo nękała go myśl dzika i szalona, że może ona pojechała spotkać się z tamtym...

Teraz, zobaczywszy jej twarz spokojną i śmiało patrzącą oczy i tę jej dumną wyniosłość, wstydził się własnych podejrzeń i już przed Bukowcem był tak daleki od wszelkich posądzeń, że miał ochotę uklęknąć przed nią i ucałować jej nogi i przepraszać.

Janka zauważyła jego stan dziwny, ale nie myślała o nim, ześlizgiwały się jej oczy po tej brązowej od słońca twarzy, błyszczącej jasnymi oczyma, jakby po rzeczy martwej, i odczuwała z pewnym zdumieniem, że to miasto, które widziała dopiero, ten szalony gwar, ruch, ta płątanina spraw i podrażnień, to życie tak zupełnie inne, do którego tęskniła całą mocą, sprawiło jej przykrość, nużyło ją i przenikało pewnego rodzaju niechęcią. Wyjeżdżała z Warszawy z jakąś ulgą i z pewną niecierpliwością liczyła stacje, oddzielające ją od Bukowca.

— Dlaczego tak wolno jedziemy?

— Jak zwykle.

— Czy zgodzisz się, żeby ojciec zamieszkał ten narożny pokój?

— Gdzie ty chcesz, byle mu było dobrze.

— Będzie mu przecież lepiej w Krosnowie, niż w szpitalu.

Zamilkła i dziwiła się znowu, że ona myśli o Krosnowie, że tam ją coś ciągnie, jakby własna emanacja w tym pustym, wielkim dworze.

I bardzo rada była, kiedy stanęli w domu, bo czuła się daleką od wszystkiego, co mogło przypominać jej przeszłość i mącić tę jakąś ciszę, która zwolna zaczęła wylaniać się z fermentów jej duszy.

Orłowskiemu ulokowano tak, jak Janka proponowała, dając specjalnego chłopaka do usług. Przyjmował wszystko obojętnie; jeść mu się chciało, to pisywał raporty, a zresztą pełnił ciągle tę imaginacyjną służbę i spacerował po parku. Ogrodzono barjerkami długą ścieżkę nad jeziorkiem, niezaslonioną drzewami i w tem ogrodzeniu, suwając rękami po poręczach, chodził całymi godzinami, rozmawiał z sobą, czasem się kłócił, czasem bił usługującego chłopaka i tak wiódł życie.

Przyzwyczajali się wszyscy do niego prędko, a jeszcze prędzej przestał ich obchodzić. Tylko stary Grzesikiewicz, którego gryzły powiększane ustawicznie wydatki domowe, nie zapominał o nim. Z początku patrzył na niego z szacunkiem, bo go przecież niedawno widywał w Bukowcu, gdzie mu imponował jako urzędnik; ale później zaczynał patrzeć na niego i jego kalectwo po chłopsku, t. j. z nienawiścią prawie.

— Zdechłby sobie, jak Boga tego kocham, a za to co zje, toby parę koni utrzymał, coby się na coś zdały — i tak go to gniewało, że raz przy kolacji dosyć delikatnie zaczął Andrzejowi wymawiać, że trzyma darmożjadów, do których jeszcze trzeba służby.

— Mój ojciec — przerwała mu wzburzona Janka — na utrzymanie mojego ojca łożę ja, więc nie ma mi prawa ojciec wymawiać.

— Juści... ale z czyich pieniędzy to pani synowa daje, hę?

— Niech ojciec da spokój! Ojciec niedługo gotów mówić, że za wiele jadamy — wtrącił się Andrzej, któremu zresztą te ojcowskie uwagi nie sprawiały przykrości, bo w głębi przyznawał im pewną rację.

— Przecież, że za dużo, abo to matka nie mówiła...

— Pietrusz, a co ty plótł będziesz! Mówiłam ino la ciebie.

— A co nie mam mówić, bo to nie mnie kosztuje wszystko, co? A poco to trzymać kucharza, co? Abo to Magda, albo i ta stara krowa, Janowa, ugotować nie mogą, jak Boga tego kocham, co? A to płacić takiego byka, co se tylko jucha cygarusy ćmi, kiej jaki dziedzic, co?

— A masłem sobie ogień podpała! — wtrąciła żałośnie stara.

— Co nie mam mówić! Ty cicho bądź, stara — krzyczał podniecony wódką i ciszą, jaka zapanowała przy stole. — Pani synowa tylko spaceruje i zagraniczne książki czyta, a tyle dba o dom, co pies o zesłe lato. Cicho bądź, stara. Ja mówił będę, bo tu pan jezdem i dziedzic. — Uderzył pięścią w stół.

— A to co? — zawołała Janka rozgniewana; stary zmieszał się nieco. — Więc gdzież ja jestem? u siebie, czy u tych ludzi? — zapytała hardo.

— Ci ludzie są moimi rodzicami, bądź łaskawą nie zapominać — powiedział Andrzej z naciskiem. — Jesteś u siebie, a jeśli ci robią przykrości, to nie pozwól na to. A ojciec mógłby nie przychodzić pijany i nie robić awantur, bo tutaj nie karczma! — krzyknął rozirytowany.

— Takiś-to, synku!... jak mu rogi wyrosły! a dobrze Józia mówiła, jak Boga tego kocham, że jak ojciec zapisze, to wezmą ojca za łeb. Takiś-to, synku.

— Niech ojciec cicho będzie i pójdzie spać lepiej.

— Mnie tak śpiwasz jedynaku!... mnie, jasnie dziedzicu — hę?...

Janka wyszła i zamknęła się u siebie, ale długo jeszcze słyszała odgłosy kłótni i płaceliwy, rozbijający głos starej.

Dosyć już miała wszystkiego; te codzienne drobne ukłócia, te nędzne oszczędności, te pootłukane talerze i półmiski, jakie podawano, aby oszczędzić nowych; ta ustawiczna kontrola, te grubiaństwa, to skąpstwo obrzydliwe, płaskie i głupie, które ją otaczało coraz silniejszym kołem — przejęły ją niepohamowanym wstrętem. Miała ochotę odjechać natychmiast, rzucić wszystko i uciec w świat szeroki, bo czuła całą swoją bezradność wobec tych ludzi brutalnych, wobec tego życia płaskiego. Biegała po pokoju, nie wiedząc, co zrobić z sobą, tysiące myśli i postanowień zjawiało się w mózgu i rozpryskiwało bezsilnie, wreszcie zadzwoniła.

Zjawił się Bartek, ale w koszuli tylko, nawet bez spencerka.

— Poproś pana. Jak ty chodzisz, co?

— A kiej proszę jasnie pani, starszy dziedzic złał me kijem i kazał zdjąć luberję.

— Poproś pana! Dobrze — mówiła do siebie — rozmówimy się teraz. — Ach, to jest małżeństwo! — Zaczęła nerwowo szarpać koronki szlafroczka. — Dobrze, to ja muszę znieść od tych chamów, ja! — myślała coraz wolniej i szalony gniew wzbierał w niej, niby burza.

Andrzej wszedł i usiadł w milczeniu.

— Prosiłam cię, bo mam pilny interes.

— Przypuszczałem, dla czego innego nie zapragnęłabyś widzieć się ze mną!

Mówił twardo, gniewem płonęły mu oczy i jakąś nienawistną zaciętością.

Oprzytomniała, dotknięta akcentem jego głosu.

— Słucham! bo jest już tak późno... — spojrzął na zegarek.

— Jeśli ci pilno iść spać, to nie zatrzymuję! — zawołała porywczo.

— Ale zanim to zrobię, mogę jeszcze usłyszeć, co mi powiedzieć chciałaś.

— Chciałam się ciebie spytać, jak my dalej żyć będziemy? — zapytała po długiej pauzie.

— To już od ciebie tylko zależy, panią tutaj jesteś, jak zechcesz tak będzie.

— Tak, a tymczasem twoi liczą mi każdy kawałek chleba i traktują jak obcą.

— Bo jesteś obcą, bo chcesz nią być, bo nic cię my nie interesujemy, albo przynajmniej tyle, co te sprzęty. — Odsunął nogą krzesło, wszystkie żale do niej, długo tłumione, budziły się i rozpięły duszę, gorycz sączyła mu się z ust.

— Zamknęłaś się w sobie i nie dbasz o resztę, która żyje obok ciebie, i być może, iż żałujesz wyjścia za mnie, być może... — powtórzył ciszej.

— Nie, o nie! — zawołała, przeniknięta jego głosem.

— Traktujesz wszystkich zgóry, a nie wiem dlaczego, chyba dlatego, że cię tak bardzo kochają.

— Nie, nikogo i nigdy zgóry nie traktowałam, zobacz raczej, jak mnie traktują twoi rodzice.

— Głupstwo! co tam ojciec lub matka wygadują, nie zważaj na to.

— To mnie obraża! — wykrzyknęła zdenerwowana tą kłótnią spokojną.

— Na to jest rada. Ponieważ rodziców od gadań nie odczy nikt — wiesz przecie, że to prości ludzie, że nic nie mogą skryć w sobie — trzeba wszystko wziąć w swoje ręce, cały zarząd domem; zresztą jeśli chcesz, to możemy się oddzielić od nich, wrócą do swojej oficyny, a ty będziesz mogła spokojnie nie widywać ich, kiedy cię rażą. — Wyrzut zadzwieczętał mu w głosie.

Ona patrzyła na niego, dotykały ją boleśnie niektóre słowa, odczuwała ich wagę, odczuwała ból męża i jego niespokojne, wyczekujące spojrzenie, i prawie mówić nie mogła z jakiegoś dziwnego dławienia, jakie czuła w sobie.

— Dobranoc! — powiedział, nie doczekawszy się jej odpowiedzi.

— Idziesz już? — zapytała cicho.

— Późno, po dwunastej.

— Odchodzisz, jakbyś się gniewał... — mówiła i miała ogromną chęć przeproszenia go, powiedzenia jakiegoś słowa, któreby mogło rozproszyć tę niechęć, jaką w nim czuła, ale nie mogła nic znaleźć w mózgu.

— Nie, cóż znowu... miałbym się gniewać na ciebie! Niedobrze mi jakoś — ścisnął się za głowę i obcierał spocone czoło.

— Możeś chory?... a może...

— Może... — powtórzył szeptem i patrzył na nią tak jakoś dziwnie, że zadrżała, postąpiła kilka kroków bezwiednie i usiadła przy lampie, a jemu dusza miękła, zawziętość ustępowała prędko i wstawało w nim ogromne pragnienie słyszenia jej głosu, wzięcia w ręce tej bladej pięknej głowy, ucałowania tych ust dumnych i zaciętych.

— Janiu!.. — powiedział bardzo cicho i bardzo proszącym głosem. — Przebacz mi te przykrości, bo widzisz... — Urwał, a ona podniosła oczy na niego i patrzyła i czekała, co dalej powie; chciała mu nawet ułatwić, chciała sama coś powiedzieć, nie mogła. Cisza się taka zrobiła, że słychać było pianie kogutów w czworakach i lekki szum parku. Postać chwilę jeszcze, oczekując, i wyszedł.

Gdy drzwi się zamknęły, odzyskała władzę nad sobą, ale jego już nie było.

— Czego ja chcę? Czego ja chcę? — wykrzyknęła boleśnie.

XXIII

Rano, nim jeszcze poszła na herbatę, wszedł Bartek, rozczarwiony, z jakimś rozpaczliwym postanowieniem w oczach. Pochylił się do jej nóg i rzekł:

— A to dopraszam się łaski jaśnie pani, niech mnie zwolnią od luberji i od tego lokajstwa, bo ja już docna zgłupiałem, a po drugie, na ty harbacie toby się człowiek zamorzył na śmierć. Dopraszam się łaski jaśnie pani — zaczął po raz drugi.

— Dlaczego nie chcesz służyć?

— Służyć już chcę, bo co ja bym biedny człowiek robił? służyć jako i u państwa, ale do kuni, do wszystkiego, ino do tej ścierwy pokojów to służyć nie będę.

— Dlaczego?

— Abo wczoraj jaśnie pan młodszy dziedzic zdzielił me w pysk, że nie byłem w luberji, a dzisiaj starszy pan dziedzic wylał me lachą, że chodziłem w luberji. Ja już całkiem nie wim. Śmieją się ze mnie wszystkie. Ja już służyć nie będę, bo jeszcze sobie co złego zrobię, a ja jestem...

— Jesteś głupi, słyszysz?

— Już ci niby słyszę — rzekł pokornie, prostując się na jej podniesiony głos.

— To słuchaj dalej: liberję włóż i chodź i jakby ci kto mówił, to powiedz, że ja ci kazałam.

— A jak starszy pan me wyleją i wypędzą? — pytał płacziwie.

— Służysz u mnie, ja jestem twoją panią i młodszy pan, nikt więcej, rozumiesz?

— Rozumiem! Włóż liberję i chodź, a kiej kto spyta abo i spierze, to powiedz, że służę u młodszych jaśnie państwa, że jaśnie pani kazała, rozumiem — wyprostował się i wyszedł.

— Zaczyna się wojna, dobrze! — szepnęła twardo. — Chcicie, abym wam panowała, będę! Poczujecie władzę i albo ja stąd wyjdę, albo będzie tak, jak ja chcę.

Mysłała gniewnie, patrząc przez okno na ojca, który w czerwonej czapce i w starym mundurze spacerował pomiędzy oplotkami, podnosił nogi wysoko i maszerował uroczyście.

— Raz... dwa!.. Raz... dwa... Mieczu! — wołał ustawicznie, domaszerował do końca, zawracał i wciąż chodził.

Oderwała oczy od ojca i poszła do jadalnego pokoju.

Andrzeja już nie było, siedział tylko stary przy stole ze szklanką herbaty w obu rękach i matka. Kiwnęła im głową i zabrała się do śniadania. Janowa jakoś cicho dziwnie, z zaczerwienionymi oczyma i obrzękłą twarzą, usługiwała.

— Niech Janowa otworzy okno; ten ojca tytuń jest wprost obrzydliwy.

— A boga! — mruknął, postawił szklankę i patrzył na nią niechętnie.

— Da mi Janowa inne nakrycie, nowe, na tych wyszczerbionych skorupach nie będę jadła i niech je Janowa zbierze i wyniesie do kuchni. Nie podawać ich nigdy.

— Janiusiu! Kiej to jeszcze takie dobre talerzyki — oponowała stara.

— Cicho matka! Jaśnie pani tak każą, to słuchać, jak Boga tego kocham, a nie to jeszcze powie: pszoł wszyscy i basta! — wybuchnął urywanym ze złości głosem.

Prędko skończył śniadanie i wyszedł, bo złość go dławiła.

— Będę walczyć za masło, za talerze, za liberję! — myślała z pewną gorącością urągliwą.

Matka wyszła cicho, nie spojrzawszy na nią, a ona długo siedziała przy stole i myślała.

— Czego ja chcę? a, czego ja chcę? — zadzwoniła gwałtownie na Bartka.

— Zawołaj zaraz kucharza. Ale poco mi to wszystko? dlaczego nie mogłam żyć wolna i niezależna! A teraz co? — chodziła gwałtownie po pokoju i prawie nienawiść miała w sercu do tego domu, do tych pokojów, które widziała w długiej amfiladzie przed sobą, do tej ziemi, oblewającej niby morze dwór dookoła. Czuli się upokorzona tą rolą, jaką grać musiała i tą nędzną walką.

— Od dzisiaj niechże Jan przychodzi do mnie po wszystkie dyspozycje.

— Dobra! bo to rzeknę, że stara to już mi kością w gardle stoi — mruknął, stojąc rozparty w drzwiach, z papierosem w ręku.

— O kim Jan mówi?

— A no, o starszej pani! — Uśmiechnął się pogardliwie.

— Niechże ja to słyszę po raz ostatni, jak po raz ostatni znoszę, żeby Jan przychodził z papierosem.

— Ale proszę jaśnie pani, bo to... — zaczął przestraszony.

— Bo co?

— Bo ta stara...

— Cicho! — krzyknęła. — Niech Jan wraca, a pamięta, co mówiłam.

— Zobaczycie! Poczujecie mnie! — szepnęła zirytowana i później siedziała w skupieniu, zbierając siły do walki, pełna podniecenia, ale i trwogi zarazem przed tem jutrem, do którego iść musiała. Rozbiegały się jej myśli i uczucia, niby jastrzębie na łowy i krążyły ciężko w pustce i szarości. Cofała się w głąb, w przeszłość niedawną, otaczała wspomnieniami, ale były one niby mgły, których nic ująć ni zatrzymać nie jest w mocy. Pustkę coraz większą czuła w sobie. Gdzie się to wszystko podziało? — myślała z żalem i przerażeniem prawie czuła, że nie jest w stanie zerwać się, obudzić dawnych marzeń i pożądań dawnych, że serce jej i dusza wypaliły się ze wszystkiego i tylko świecą dogasającymi żużłami.

I wstawało w niej ciche jeszcze i nieświadome pragnienie czegoś, coby zapełniło tę pustkę wewnętrzną, czegoś bardzo bliskiego i dobrego; pragnienie oparcia się i obwinienia koło jakiej duszy kochanej.

— Czego pani chce? — wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie to proste zapytanie doktora. Obejrzała się błędnie po pokoju. Tak, czego ja chcę?.. Nic nie wiedziała dokąd idzie, czego chce, poco żyje. Przecież... — i powtarzała puste dźwięki — mam dom, męża... obowiązki... dlaczego innym wystarczy takie życie, dlaczego?.. Bo kochają! odpowiedział w niej głos jakiś. — A ja? i zaczęła na swoje usprawiedliwienie szukać w pamięci i w sercu tych rozproszonych ździebeł sympatji do męża, czepiała się ich rozpaczliwie,

zwiększała je, podnosiła na chwilę do miłości, wmawiała w siebie, że przecież ona go kocha, rozrzewniała się nad jego dobrocią i chwilami czuła w sercu jakiś żar, jakby refleks jego miłości i rozdmuchiwała w sobie dotąd — aż te drobne iskierki gasły i ciemniało jej w duszy.

— Nie Kocham go! — szepnęła wtedy upokorzona, niezdolna do dłuższego oszukiwania siebie samej. Był jej obojętny nawet, a w pewnych chwilach wstrętny.

Obtarła usta, bo ją zapiekły przypomnienia pocałunków i pieszczot.

— Oszukuję świat cały! — I dręczyło ją to poznanie bardzo głęboko i upokarzało ciężko, tak ciężko, że chwilami uderzała ją myśl zerwania wszystkiego, wyjazdu i ucieczki; ale wtedy zrywała się w sobie na chwilę i opadała, bo nie wiedziała już, dokąd iść, nie miała już sił, ani chęci do walczenia ze światem, tysiące skrupułów, nieznanych dawniej, tamować zaczynało jej ruchy woli. I tak się w niej wszystko skłębiło, porwało, obezsiłło, że była podobną do ula, w którym rój zamarł i tylko czarne robaki zgryzot, męki strachów, syciły się miodem jej życia i huczały coraz głośniejsze w pustych komórkach.

Wreszcie, nie mogąc się pozbyć z siebie tego chaosu, ani zapanować nad nim, uciekła prawie z mieszkania i poszła do matki.

Stara w drzwiach oficyny, swoim wiecznym zwyczajem, darła pierze i gderała na służące.

— Może mama pójdzie na wieś, co? — ozwała się Janka.

— A zajrzeć do Jadamki by trza; dobrze. Magda! o świniach nie zapomnij! Chodźmy zajrzeć do chlewów po drodze.

Wzięła kij, obwinęła głowę chustką i szła naprzód nieco, nie odzywając się wcale, chmurna i zła, tylko chwilami jej siwe oczy ślizgały się ukradkiem po Jance i zaraz przysłaniały powiekami, kryjąc niechęć i żal.

A Janka w tym stanie duszy patrzyła się na nią pokornie prawie, czekała na jakieś słowo ciepłe, pragnęła je usłyszeć; bo czuła jakąś nagłą potrzebę sympatii, potrzebę przyciśnięcia głowy do jakiejś piersi, jakiś głód miłości.

— Bartek! Chodź tu! — Bartek niechętnie opuścił ławkę pod podjazdem. A to zdejm te luberje próżniaku i idź pomagać Magdzie — krzyknęła stara ostro.

— Nie póde i luberji nie zdejmę; jaśnie pani kazała nie zdejmować, siedzieć w przedpokoju i nie słuchać, to słuchał nie będę, bo jako i swyniarkiem nie jezdem — gadał hardo, a patrzył na Janke.

— Co ty szczekasz, gadzino podła, co! — wykrzyknęła zdziwiona, trzęsąc się z gniewu.

— Ja ta nie szczekam, bom nie pies żaden, ino powiadam...

— Ty nie szczekasz! luberji nie zdejmiesz, słuchał nie będziesz! Tak! O ty zapowietrzona sobako! Ty mnie tak pyskujesz, co? mnie! — Uderzyła go kijem przez głowę i zaczęła, nim się spostrzegł, okładać potężnie, chwyciwszy go garścią za włosy.

— Gospodyni! laboga gospodyni! — bełkotał ogłupiały.

— Dosyć tego! Niech mu mama da spokój! — krzyknęła Janka, oderwała matkę od niego i zasłoniła sobą. — Robi mama, jak pijana baba w karczmie, a nie jak dziedziczka, to wstyd przecież.

— Baba jezdem! chłopka jezdem, a tobie zasie do mnie! Chłopka jezdem, a nie żaden darach, abo inny obieżyświat. Widzicie ją! jaka wielka pani, abo może mnie weźmiesz za łeb, co? O mój Jezus słodki, o Matko Częstochowska, żebyś się takiej pociechy doczekała na stare lata! O mój Jezu!

Lamentowała tak głośno, aż dziewczki zaczęły wychylać się z okien oficyny.

— Cóż ja mamie zrobiłam złego? Że nie dałam bić Bartka! On robił tylko to, co ja kazałam.

— To ja już nic nie znacę, to mają me za popychadło, to już im przeszkadzam.

— Co mama wygaduje? — zawołała zirytowana i, aby powstrzymać gniew, nie słuchała dalszych lamentów i poszła. Kazała założyć konie i pojechała do Witowa.

Siedziała tam kilka godzin w jakimś ociężeniu i apatji, aż Jadwiga zwróciła na stan jej uwagę.

— Co pani jest? — pytała troskliwie.

— Nie wiem. Wiem tylko, że stoję na rozstaju i żadnej drogi nie widzę przed sobą — powiedziała i zamilkła, chociaż wyznanie miała na ustach, bo wstyd się jej zrobiło zakłócać spokój tej czystej duszy. Przesiedziała kilka godzin przy fortepianie, ale i muzyka nie

przyniosła uspokojenia. Przed samym wieczorem, ponieważ było bardzo cicho i pięknie, odesłała konie, a sama powracała pieszo do domu. Szła wąską dróżką, biegnącą naprzelaj pól ogromnych, patrzyła daleko przed siebie, w głąb jakąś, z której zdawały się wychylać kontury postanowień jakichś. Uciszała się zwolna, bo te przestrzenie, po których zaczęła błądzić oczyma, przyciszały w niej burzę i rozlewały spokój, dając moc wytrwania.

— Nie jestem potrzebna nikomu! — myślała i poczuła po raz pierwszy chęć stania się czemś, zajęcia jakiegoś miejsca w tem życiu ją otaczającym, poczuła znowu tę pustkę osamotnienia, w jakiej żyła, tylko głębiej i szerzej.

Usiadła pod krzyżem, co w środku pól, nad drogą, na wzgórk, zarosłym cierniami i krzewami dzikich malin, stał i ramionami ogarniał te olbrzymie, odarte z roślinności, senne jakieś łąny i zapatrzyła się w jesień idącą wszystkimi miedzami.

Nie widziała ucieczki nigdzie, więc zaczęła pilniej patrzeć w otoczenie, szerzej obejmować życie i widzieć, że ma ono swoje czary, że można się z niem pogodzić, że może w niem jest jeśli nie szczęście, to spokój.

Zapominała chwilami o własnych myślach i czuciach, tylko poddawała się biernie fali piękna, jaka biła z pól i z przestrzeni i patrzyła duszą całą w tę jesień, w tę przeboską, polską jesień, która się snuła po polach pustych — w tę jasną panią, o cichem złotawem obliczu, w liljowych astrów wieńcu na lnianych włosach, w długiej szacie z pajęczyn babiego lata, przetykanej czerwonymi jagodami jarzębiny, która w słoneczne, ciche popołudnie przepływa nad rdzawymi rżyskami, nad czerwonawą runią zbóż kielkujących, nad wodami przymglonemi i, zapatrzona w siebie, rozsiewa w przestrzeniach ciszę pełną smętku i woni ostatnich powoi, gasnących po jej przejściu; muska szatą bratki modrawe, że przymykają oczy i padają martwe; potraça suche badyle dziewanny, odziera krwawe liście z grusz, co przysiadły na polach, i niknie w lasach, w gąszczach czarnych olch i świerków, w żółtych brzozech i tylko włókna pajęczyn drżące mówią, że tutaj była, że tędy przeszła, że jest tam... gdzie wody czarne odbijają srebrnawe drżące liście osiki i krwawe grona wilczych jagód; tam — w tej pustce oniemialej, na tych rozłogach i polankach leśnych, w tej świątyni, podpieranej przez tysiące kolumn, gdzie tylko słychać stuk dzięciołów i chrzęst spadających szyszek i krzyki ptactwa oddalone.

W tę jesień patrzyła i zwolna zaczynała się rozszerzać na te pola, na lasy, na te wsie, których błękitne słupy dymów szły prosto wgórze; zaczynała je pojmować i odczuwać, jak kiedyś, i jak kiedyś zaczęła się snuć myślą wszystkimi drogami, po wszystkich kniejach, po wszystkich wodach, po wszystkich dniach pełnych słońca i spokoju, jak kiedyś zaczynała odczuwać głęboką, odżywczą miłość do tego wszystkiego, zaczynała znowu łączyć się z ziemią i z tem powszechnem pulsującym życiem dokoła. Nie czuła się już ani tak obcą, ani tak samotną.

Patrzyła i widziała tę jesień, jaką widać w przedwieczorza, jak płynie w nimbie zórz miedzianych zachodu nad miedzami, gdzie siedzą stare drzewa, tarniny i kępy jeżyn rosną na kamionkach. Przepływa, a liście drzew lecą za nią obumarłe, trzciny po stawach szemrzą sennie, ptaki zrywają się i z krzykiem trwogi uciekają do siedzib ludzkich, wrony stadami płyną za nią i kraczą pieśń grobową, smutną głosę jesieni, a ludzie stają po drogach, przy pługach, przed domami i milkną, patrzą w świat ze smutkiem głębokim i z trwogą. Pieśni po pastwiskach cichną, dusze się skupiają, bydło porykuje głucho i patrzy w zamgloną przestrzeń tępej spojrzeń obawy. Dymy tłuką się pomiędzy wpólnagami sadami i wiatr powstaje z przestrzeni, przychodzi z lasów, podnosi się z pól i zaczyna szumieć głucho i smutnie, szare chmury pędzą jak ptaki i jak ptaki rzucają cień posępny, przysłaniają zorze, tłumią światło, wypijają ciepło i rozlewa się wtedy smutek, w którym, jak cienie cieniów, tłuką się ostatnie, rozbite w pyły, konające widma lata.

Długo siedziała, nie spostrzegłszy, że za nią prawie stał Witowski, konia trzymając za cugle. Siedziała, zapomniawszy zupełnie o sobie, przeniknięta słodyczą tej jesieni i tej *vis medicatix naturae*, płynącą z pól i ze skupienia się w sobie.

XXIV

— Odprowadzę panią! — szepnął, stając przed nią — bo od roznaturzenia i zachwytyw na łonie wilgotnej przyrody do kataru i przeziębienia niedaleko.

— POCO ten ton? — zapytała, powstając, niezdziwiona jego obecnością, ale dotknięta ironją, dźwięczącą mu w głosie.

— POCO jest wszystko — aby było.

Zajrzeli sobie w oczy, tak samo prawie, jak wtedy, przed wyjazdem do Włoch.

Jankę oblał rumieniec, odwróciła głowę, a Witowski zaciął usta i trzaskał szpicrutą po butach i jakaś nagła, ostra złośliwość przejęła mu duszę. Pragnął, potrzebował drwić.

— Idzie pan do nas? — mówiła, kiedy już szli.

— Nigdzie nie idę, idę z panią. — Odsunął się nieco i patrzył długo na nią.

Była dzisiaj przepiękna na tle pól zabłękitnionych i zórz purpurowych.

W oczach miała rozręsknienie, zadumę i jakąś tajemniczość, jak te pola, co pod lasami okrywały się już mrokiem.

— Wygląda pani niby *Gioconda* Lionarda.

— To jest?

— Dziwnie pięknie, za pięknie — dodał ciszej.

— I nic więcej... — szepnęła ironicznie. — To stary repertuar...

— Znudził panią! a dobrze, popiszę się nowym natychmiast.

— Ciekawam.

— Ciekawość jest pani cechą bardzo ważną.

— Czy to określenie jest już z nowego repertuaru? Pytam, bo wydaje mi się znajomem...

Nie odezwał się, zabolą go ta ironja, bo zresztą jej ruchy, nieco ciężkie, lekko rozkołysane, te ramiona wspaniale uformowane, te usta purpurowe, zmysłowe, przy oczach spokojnych i głębokich, ta cała postać dumna i drażniąca działała na niego dziwnie: przyciągała i gniewała na siebie, że ulega czarowi. Ogarnął ją płomiennym wzrokiem; spostrzegła to i włożyła kapelusz, który dotychczas niosła w ręku.

— Niech pani się nie szpeci tem pudłem — zaprotestował.

— Nie lubię, żeby mnie taksowano oczyma — powiedziała twardo.

— Kto pani jest? — Uderzyły go jej słowa, niby pejcz przez twarz.

— Człowiek.

— Wielka ambicja jest zasadniczą cechą pani.

— Mówimy o umarłej! bo gdyby jeszcze ta ambicja żyła we mnie, to nie szłabym tą drogą z pewnością.

— Nie rozumiem.

— Byłabym gdzieś w świecie. Może byłabym wielką artystką, może niczem, ale nie siedziałabym w Krosnowie, to pewna.

— Z dobrych żon wprawdzie mniej jest pożytku, niż z wielkich artystek, ale... można być i wielką kobietą w Krosnowie.

— Dla kogo? — Pożałowała tego zapytania, wydało jej się dziecinnym.

— Dla samej siebie, dla ludzi, dla męża, dla jaśnie Piotra dziedzica.

— Dlaczego pan zawsze kończy drwinami?

— Drwiny są często tarczą przed własnym sercem — odpowiedział ciszej i smutniej.

— A może tylko flirtem z nowego repertuaru...

— Bardzo pani jest szczęśliwą w Krosnowie?

— Panie...

— Dlaczego się pani oburza? Podchwyciłem tylko ton pani.

— Dobrze; więc jakże z pańskim szczęściem w Witowie!

— Jestem kwadratowo szczęśliwy. Tak, odżywiam się doskonale, kocham w miarę potrzeby, śpiam kiedy chcę, drwię z ludzi, kiedy pragnę, nie dbam o nic i o nikogo i mogę w każdej chwili rozbić sobie czerep, jeśli mi się spodoba. Uśmiecha się pani drwiąco! nie wierzy pani, bierze mnie pani za jednego z tych nędznych błagierów, pozujących na nudę i weltszmerc. Mogę panią zaraz, natychmiast, przekonać, że to, co mówię, gotów jestem zrobić, jak ów Anglik! — Mówił prędko, oczy mu zaświeciły taką zdeterminowaną stanowczością, tak strzeliły płomienną gwałtowną siłą, gdy wyciągał z kieszeni rewolwer, że Janka zbladła i bezwiednym ruchem zatrzymała mu rękę, podnoszącą się do czoła. Strach oblał ją płomienną, była najgłębiej przekonaną, że byłby się zastrzelił.

A on stał chwilę i wpijał się w nią swojemi oczyma magnetyzera, twarz, podobna nieco do dzikiego Antinouse, drgała mu na chwilę wszystkimi muskulami, wreszcie zdjął ze swojej dłoni jej rękę i rzekł drwiąco:

— Jest pani za nerwową na żonę Andrzeja, a przeto trudno będzie zapanować nad gospodarstwem, bardzo trudno...

— Nie kończ pan! — syknęła, przychodząc do siebie, i taki nagły, oślepiający gniew ją ogarnął, że w pierwszym odruchu byłaby go uderzyła parasolką.

Nienawidziła go w tej chwili tak silnie, że, nie powiedziawszy słowa więcej, poszła naprzód bardzo śpiesznie.

— Pani Janino! — zawołał za nią zdumiony. Nie obejrzała się nawet, tylko przyśpieszyła kroku, serce biło jej gniewem, a w oczach poczuła lży zdenerwowania.

— Błagam o przebaczenie. Nie chciałem pani obrazić. Niech pani tak nie odchodzi.

— Rozejdźmy się lepiej; nie przywykłam, aby eksperymentowano dla zabawki na moich nerwach i wrażliwości.

Patrzył się w jej oczy tak smutnie, że stopił gniew, i zadrgała w niej litość i współczucie.

— Ciekawe wrażenie wyniosłby ten, ktoby nas widział i słyszał teraz — powiedziała, usiłując panować nad sobą.

— Zrozumiałby, że ma przed sobą dwie dusze, które się szukają i które się boją własnych przepaści.

— A pan coby powiedział? — Serce zabiło jej mocno.

— Żeśmy szukali bezwiednie dróg do dusz własnych.

— Dobranoc panu, dojdę już sama.

— I żeśmy zajrzeli do ciemni — mówił, nie słysząc jej pożegnania.

— Mając takie cuda przed sobą! — Wskazała wiszące nad lasami słońce, co się krwa-
wiło w szybach stawów i pływało w mgłach sinych.

— H₂O — zabarwione metalicznie, chce pani, to określę formułami resztę.

Spojrzała na niego i jakieś dziwne uczucie obawy ścisnęło jej duszę, jakby istotnie zajrzała w przepaść niezgłębioną.

Szli w milczeniu, spoglądali na siebie chwilami zimno i badawczo, a dusze się im trzęsły w jakimś nieopowiedzianem uczuciu miłości i zgryzoty, w uczuciu pożądania i strachu przed tem pożądaniem, a pomiędzy nimi snuły się błyski żrenic rozpalonych i te niezliczone prądy, biegnące z duszy do duszy.

Od kapliczki z Witowa leciał głos sygnaturki i łączył się z muzyką koników polnych i z rytmicznym turkotem młyna, huczącego w Krosnowie, i biegł po rosie i rozlewał się coraz szerzej.

Milczeli wciąż, bojąc się przerwać ciszę, bojąc się przemówić, aby czasem to pierwsze słowo, jakiego się wyrwało z ust, nie było tem, co tak chcieli mówić, a co tak pragnęli zachować w głębi własnej. Janka czuła zawrót głowy, czasami fala krwi tak uderzała w jej serce i mózg, że chwiała się, bliska runięcia na ziemię. Przystawała nieco, aby oprzytomnieć, i znowu szła. Nie myślała nic, ani pamiętała, prócz niego, prócz tego dziwnego wyrazu oczu, gdy mówił: Szukaliśmy dróg do dusz własnych. Drżała coraz silniej wewnętrznie i obwijała się w pelerynkę coraz szczelniej, jakby chcąc się zamknąć przed jego oczyma, które ją magnetyzowały; czuła je na ustach swoich tak silnie, jakby pocałunki, aż pokryły się wilgotnym, promieniejącym karminem upojenia; czuła je w oczach swoich i opanowywała ją dziwnie senna ociężałość. Szła coraz wolniej i niepewniej, chwilami budziła się z tego czaru dziwnego, jakim ją opanowywał, spoglądała przymglonym wzrokiem dookoła; ale, spotkawszy się z jego wilgotnemi, świecącemi dziwnie oczyma, opadała w siebie, przeniknął ją taki dreszcz dziwny, aż rozkładała ramiona, oddychała głęboko i miała szaloną chęć przyciśnięcia się do niego z całych sił, z całej duszy i przepadnięcia chociażby.

W nim działo się prawie toż samo, czuł, że go jakaś siła porywa i przykuwa do niej, tak ją czuł obok siebie, tak wchodziła mu w duszę głęboko, aż uczuwał pewien tępy, nieświadomy ból fizyczny. Zajmowała go całego, przycichał, ale w głębi podnosiła się w nim złość na samego siebie, na nią, na wszystko.

— Kocham cię! Kocham! — biło mu serce ze straszliwą jednostajnością, a wyrazem ust szydził, nienawidził i bronił się do ostatka, by nie upaść przed nią na kolana, by nie objąć jej stóp i nie przywrzeć ustami chociażby do kraju jej sukni, której szelest suchy

przenikał go męką, i nie wypowiedzieć tego wszystkiego, co miał w duszy, a co dopiero teraz sobie uświadomił.

— Dobranoc panu! — szepnęła cicho, gdy wchodzili do wsi i śpiesznie ukryła ręce pod okrywką, nie spojrzała nawet na niego i poszła dalej sama, bo nie starał się jej zatrzymać, ani iść z nią; patrzył tylko, jak jej jasna suknia migotała w zmroku i zlewała się z cieniami.

— Kocham cię! — myślał długo i tak stał zapatrzony w te miejsca, gdzie zniknęła, a gdzie on widział ją jeszcze oczyma duszy.

Janka szła szybko i dopiero ocknęła się, usłyszawszy tętent jego konia, gdy odjeżdżał; obejrzała się za siebie i jakiś żal zatargał ją silnie.

— Czemu nie poszedł ze mną! — myślała, ale później, gdy ruch wrócił ją do przytomności zupełnej, zacięła usta z gniewu, była bardzo niezadowoloną z siebie, jeszcze resztki tego nastroju przenikały ją dreszczem rozkosznym, ale się im broniła myślami i rozważą.

Przy kolacji zauważyła tylko, że matka miała zaczerwienione oczy, stary był pijany i groźnie patrzył na nią, a mąż, weselszy niż zwykle, namawiał ją usilnie, aby co zjadła koniecznie.

— Nie mogę. Zmęczyłam się trochę i głowa mnie boli...

Nie, nie mogła mówić, nie słyszała nawet, gdy mówiono do niej, była bardzo daleko od nich wszystkich myślą, błądziła po jakimś świecie rozmarzeń, pełnym błysków spojrzeń, konturów twarzy, dźwięków głosów, wyrazów ócz, pełnym słodkiego chaosu.

— Panna Jadwiga zdrowa? Widziałaś się ze Stefanem?

— Zdrowa, zdrowa — powtórzyła. — Pana Stefana podobno od rana nie było w domu.

Dlaczego tak odpowiedziała, nie umiała zdać sobie sprawy, ale to ją zmieszało.

Poszła zaraz do swojego pokoju.

A rano obudziła się dziwnie dobrze usposobiona, tak dobrze, tak się czuła spokojna, pełna sił, chęci do życia i do czynu, że poszła do oficyny.

Matka zajęta była powłóceniem świeżych poszewek na poduszki.

— Ja to prędzej zrobię! — powiedziała, odbierając jej z rąk poduszkę.

— Hale!.. bo to taka jaśnie pani potrafi... — szepnęła uszczypliwie.

— Zobaczysz mama. — Powlekła poduszki, posłała łóżko, poustawiała na komodzie niezliczone figurki i obrazki świętych, zapaliła lampkę przed obrazem, a stara nie rozmarszczyła się jeszcze, tylko z chłopską zaciętością i pewną ironją w siwych oczach śledziła jej ruchy i wdychała. Dopiero gdy Janka porobiła, co było, i, nie doczekawszy się słowa nawet, chciała wyjść, stara zawołała:

— Janusiu! — Pozostała, siadając obok niej.

— Nie gniewaj się, córuchno, na mnie. Widzisz, stara kobieta jeźdem, prosta i prędką i nienauczna, to mi się ta łacno jakie złe słowo wypśnie z gemby.

— Co tam, nie mówmy o tem mamó, ja mamę przepraszam. — Pocałowała ją w rękę, co starą tak rozrzewniło, że pochwyciła ją w ramiona i długo całowała.

— Bo to cknij mi się córuchno, zagadnąć do kogo nima, Jędrusz z dziewczkami przestać nie da, z ojcem niema co, bo zaraz kłótnia i obraza boska, z Jędrusiem niema kiej, z tobą nie śmiem, no, bo co ja taka prosta kobieta mówiła będę?... to sie i człowiekowi i życie przykrzy i tak markotność rozbierze, że sie chodzi z kąta w kąt i ino szuka do czego się przyczepić.

— Hol ho! taka zgoda! — zawołał Andrzej, wchodząc.

— A bo widzisz synku, ja tak opowiadam, co mi się tak cknij do wnuczków — powiedziała chytrze.

Andrzej spojrział jakoś dziwnie na Jankę, że się oblała rumieńcem i wyszła bez słowa, podrażniona tym wzrokiem.

— Kwoczka jeszcze niesna, to ją nieprzyniewoli siedzieć! — Śmiała się stara.

— Niechże mama o tem przy niej nie mówi.

— Czegóż to wstydzic się będę, że trza mi wnuczków, co?

— Ma mama Józki dzieci.

— A jak mi się chce twoich, mój parobku kochany, co? twoich mój Jędrusiu.

Uwiesiła mu się u ramienia i głaskała go po twarzy i włosach, rada z własnej śmiałości i okazji wypowiedzenia najgłębszych swoich pragnień, na których urzeczywistnienie czekała z coraz większą niecierpliwością.

— A może dochtór je potrzebny, abo co? — szeptała dalej.

— Nie mówmy o tem. — Ucałował matkę i poszedł do pałacu.

I on tego pragnął niemniej od matki, bo czuł, że dziecko związałoby ją silniej z nimi, rozmyślał o tem, gdy usłyszał jej głos.

— Poproszę cię o wielką łaskę.

— Wiesz przecie, że dla ciebie zrobię wszystko.

— Daj mi sześćset rubli w ratach miesięcznych.

— Dobrze. Kupujesz co?

— Nie, nie... — zawahała się, czy mu powiedzieć, że chciała pomagać Zaleskiej, przyszło jej na myśl, że może on to przyjmie z niechęcią, więc nie powiedziała.

— Właściwie to chcę sobie coś kupić, ale mam w tem pewien cel, że kupię na rozplaty.

— Masz czeki na bank handlowy. Wpisuj żadaną sumę na okaziciela, wypłacą natychmiast. Ciekawy jestem, co kupujesz?

— Później ci powiem.

Zastanowiła go tajemnica i, gdy jechał w pole, jakieś ciemne podejrzenie zaczęło kiełkować mu w mózgu.

— Komu ona posyła, na co? A może!... nie, nie... — zaprzeczył sobie energicznie i zawrócił, wszedł do mieszkania cicho, bo dywany tłumyły odgłos kroków, tak, że, bez szelestu wszedł do jej pokoju.

— Przyszła mi myśl... — zaczął od progu — żeby w niedzielę złożyć kilka wizyt w sąsiedztwie, jeżeli zechcesz, ma się rozumieć.

— Trzeba żyć z ludźmi. Mówiła mi nawet p. Jadwiga, że sąsiedztwo jest dziwione, że jeszcze nie składaliśmy wizyt — odpowiadała spokojnie, wyciągając bibułę atrament z listu i tym sposobem przykrywając go.

Zobaczył to dobrze i przez ten cały dzień tłukło mu się pytanie:

— Do kogo pisała?

Janka pojechała na pocztę, aby osobiście list wysłać z pierwszym czekiem. Potem odwiedziła Józję, która od kilku dni leżała chora ze zmartwienia, bo jej cały drób wyzdychał na czerwonkę. Nasłuchiwała się dosyć skarg na niedołęstwo męża i niegodziwość służby i dosyć fałszywych, obłudnych uniesień nad sobą i znudzona tem powracała do domu.

Deszcz zaczął padać gwałtowny i gliniaste drogi rozmiękły, tak, że konie słyły noga za nogą i ślizgały się co chwila, wieczór się robił prędko, wieczór czarny, zimny, przesycony wilgocią, obrzydliwy.

Jechali już lasem prędej, bo droga była twardsza, gdy Janka usłyszała tętent konia tuż za sobą. Obejrzała się i spostrzegła Witowskiego.

Uklonił się jej i nadjechał tak blisko, że bok jego konia ocierał się o skrzydła powoziku, nie powiedział nawet zwykłej formy powitania, tylko nachylił się ku niej i szepnął głucho:

— Muszę z panią dzisiaj mówić! — Chwycił jej rękę i zamiast pocałować ugryzł tak silnie, że krzyknęła, a on zawrócił błyskawicznie konia i zginął w mroku lasu.

Nim zrozumiała, nim się obejrzała, już zniknął, jak cień.

Siedziała w jakimś oniemieniu wewnętrznym, pochodzącym ze strachu i zdumienia.

— Jedź prędej! oszalał! — myślała, z trwogą prawie spoglądając po lesie, czy gdzie z drzew nie ujrzy jego twarzy; przeraziła ją taka gwałtowność i sprawiła jednocześnie bardzo dziwne, bardzo podniecające wrażenie.

Przycisnęła usta do tego miejsca, gdzie ją ugryzł, bo ją paliło bardzo, ale tak silnie przywarła ustami i z takim uczuciem, jakby całowała kogo bardzo kochanego. A potem, ochłonawszy, przynagliła Walka do pośpiechu.

W domu zastała gości, przyjechali Wolińscy z Rutowskim.

Bardzo się ucieszyła narazie, ale później ciążyli jej nieco. Miała duszą zajętą czem innym, to „muszę się widzieć dzisiaj z panią” tkwiło ustawicznie w myśli i przejmowało ją lękiem, obawą i dreszczem zdenerwowania. Słuchała, mówiła i bardzo często chwytala się na śledzeniu wszystkich, bo się jej wydawało, że wiedzą i szczególną uwagę zwracają na nią, a najbardziej niepokoił ją mąż, który patrzył tak dziwnie dzisiaj! Siedział chmurny,

przygryzał wąsy i silił się na rozmowę, która co chwilę się rwała, nie umiał jej podtrzymać, bo dręczyło go zapytanie:

— Komu wysyłała pieniądze?.. a może... — nie kończył nawet w myśli i zwracał się do Rutowskiego, ciągnął oczyma za Janką i nic nie słyszał, a Rutowski, poruszony i rozpromieniony, nie mogąc wyciągnąć wiele z niego, przesiadał się do Janki, ale ta go zbywała ogólnikami o Włoszech, bo była zajęta Wolińskimi i ich dziećmi i tą ciekawością dręczącą coraz bardziej:

— Czego on chce! Co powie — myślała i na każdy szelest wiatru, co tłukł i wypychał prawie szyby, drgała żywo i nasłuchiwała odgłosu kroków; patrzyła nieznacznie w okno, czy poza szybami nie zarysuje się sylwetka Witowskiego, znajdowała nawet sposobność wyjścia na podjazd i spojrzenia w czarną, pełną plusku deszczu, zimną noc. Potem zirytowana na siebie, zdenerwowana, siadała przy Helenie.

— Wyglądasz dziwnie imponująco, dziwnie pięknie... — mówiła Helena.

— Krosnowa tak zmienia.

— Włochy, pani dobrodziejko, tego i owego, Włochy — wtrącił Rutowski — aura tam panie...

— Ale ty zawsze świetnie wyglądasz, przytyłaś tylko nieco.

— A tak!.. — wykrzyknął Woliński, siedzący przy Andrzeju. Helena pochyliła głowę.

— W okolicy żadnych nowin? — zaczęła Janka, aby ją wywieść z kłopotu.

— Są: pani Stabrowska napisała nową powieść p. t. *Pomyje*. Drukuje ją w jakimś tygodniku, którego nikt nie czyta, więc ażeby zmusić całe sąsiedztwo do czytania utworu, kazała wszystkim sąsiadom, w promieniu trzymilowym, rozsyłać ów tygodnik.

— Dopłaca do rozgłosu.

— Ale zmusza do czytania, a przeto i do myślenia — szepnęła Janka i podniosła się nieco, bo się jej wydało, że jakiś głos znajomy rozległ się w przedpokoju. — Czytałaś, czy to bardzo zła rzecz? — pytała dalej.

— Czy państwo byli w Loreto? — wsadził znowu Rutowski.

— Nie czytałam, mąż powiedział, że to wprost niemożliwa rzecz.

— Tytuł w tym razie najlepiej definjuje treść.

— Że mężowi się nie podobała, no to może nie w jego guście, ale ty powinnaś się była przekonać. Bartek! — zawołała, podniosła się i poszła do przedpokoju, spojrzała przez szyby i powróciła.

— Bo to trochę na boku od Ankony, ale ślicznie. Morze, panie tego i owego, u nóg.

— Gdzie? — zapytał ostro Andrzej, bo ten niepokój Janki nie uszedł jego uwagi.

— Pod Ankoną, państwo byli w Loreto?

— Jechaliśmy zwykłym szlakiem jeżdżących do Włoch.

— Pobożnych pielgrzymów, t. j. z omijaniem pięknych miejscowości, a wstępowaniem do cudownych! — szepnęła Janka więcej do siebie.

— Ależ wspaniale mieszkanie, po książęcemu... — odwróciła rozmowę Helena, spozstrzegłszy, że Andrzej spojrzał ostro na żonę i rzucił się na krzesło.

— O tak!.. jest to przepych wielkiego składu mebli na Pocięjowie.

— Ale, byłabym zapomniała ci powiedzieć, Janiu! Głogowski pisał do Stabrowskich z Paryża, obiecuje przyjechać do nich na wiosnę.

— Kto?.. a Głogowski! Głogowski!.. Jakże tu zimno! — Wzdrygnęła się, otuliła szczerze jakimś szalem i nachylona nieco ku Helenie słuchała, ale oczyma błędziła po oknach i duszą była gdzieś na drodze, wiodącej z Witowa do Krosnowy.

— Te karebym kupił od pana... — mówił Woliński, zapalając cygaro.

— Są do sprzedania, może pan z ojcem pomówi o tem, to jego wydział.

— Nie jest panom ta para potrzebna?..

— Nie, a zresztą, my wszystko sprzedajemy, jeśli się trafi kupiec.

— Widzę, że macie wielki młyn.

— Walcowy, systemu amerykańskiego. Wszystko zboże mielemy i sprzedajemy mąkę.

— A, teraz się nie dziwię, że macie takie wspaniałe inwentarze...

— Mamy zasadę nie sprzedawać nic z surowych produktów, tylko przerabiamy u nas. Nawet od wiosny przestaniemy sprzedawać poręby, bo zakładamy tartak.

— Macie zbyt na rżnięte i obrobione drzewo?

— Prawie mamy.

— Przetwarzacie gospodarstwo na fabrykę.

— Chcę doprowadzić do tego. Chciałem nawet znacznie więcej robić, bo chciałem założyć wielką cegielnię, kolej zabudowuje się i potrzebuje kilku milionów cegieł; chciałem założyć browar, bo piwo ma pewny zbyt koleją, podniosłoby to uprawę jęczmienia i dało możliwość wypasania wielkiej ilości bydła, chciałem założyć gorzelnię, bo wtedy żyto da więcej niżli dotychczas przerabiane na mąkę.

— Ale... boi się pan tych milionowych przedsięwzięć?..

— Nie, tylko mi się nie chce, energię, kapitały mam, tylko poco to robić? — Opuścił się w krzesło, strząsnął popiół z papierosa i zamilkł, utkwivszy jakiś wilgotny wzrok w Jance; zniechęcenie i ból miał w duszy i żał do niej, że mu odbiera siły. Woliński rozważał słyszane projekty i spoglądał na niego z jakimś szacunkiem pełnym podziwu.

Cisza zalegała salon.

Helena nachylona mówiła coś szeptem do Janki, siedzącej pod wielką brązową lampą, której zielonawe światło, przesiane przez jedwabny abażur, powlekało jej twarz sinawym refleksiem. Słuchała uważnie, ale oczy jej ciągle błędziły z niepokojem po salonie i twarzach siedzących i jakieś nieznanne, denerwujące drżenie nękało ją coraz boleśniej.

Rutowski przy osobnym stole siedział, zatopiony w albumach, przywiezionych z Włoch, a z dalszych pokoi dochodził krzykliwy głos dzieci, które wzięła stara pod swoją opiekę.

Deszcz bił monotonicznie w szyby, wiatr uderzał z taką siłą, aż portjery się chwiały i światła kołysały się co chwila; park szumiał głucho i dorzucał swoje głosy. Chwilami robiło się tak cicho, że wszyscy spoglądali ze zdumieniem na siebie i jakby z trwogą. Wieczór był ciężki i przygnębiający.

Koło dziewiątej wszedł Witowski. Ujrzała go dopiero, gdy stanął przed nią i wyciągnął rękę do powitania. Ciepło radości ogromnej rozlało się po niej, ale marmurowa twarz ani drgnęła, oczy patrzyły spokojnie w jego zamkniętą, zimną, ale dziwnie wychudłą twarz.

— A siostra? czemu pan jej nie przywiózł?.. — pytała wolno, bardzo wolno, bo drżała jej dusza i głos chwilami wiązał w gardle.

— Teraz jest w kaplicy i prawdopodobnie wyżebruje miłosierdzie dla nas wszystkich.

Przywitał się ze wszystkimi i swobodny, elegancki, ironiczny, jak zwykle, wziął krzesło i usiadł obok Janki.

— Wcisnąłem się pomiędzy panie, niby klin niebardzo pożądanym.

— Bardzo nie, ale zniesiemy pana, chociażby ze współczucia, żeby pan nie był zmuszony rozmawiać o gospodarstwie z paniami.

— Dziękuję, ale przyznam się szczerze, iż miłszy mi szczebiot dam.

— To znaczy, że pan lubi muzykę słów.

— Pochlebia pani słowom, wyrzeczonym przez damy.

— Muszę, skoro pan prawi im impertyncje.

— Tak ciągle okłamują mężczyźni panie, tak ciągle są panie przyzwyczajone do słodkiego brzęku flirtowych dzwoneczków, że głos brzmiący naturalnie wydaje się paniom skrzekiem barbarzyńcy.

— A jeśli my lubimy ten brzęk! A jeśli, słuchając, nie wierzymy wam nic a nic, to co?

— To nic, bo okłamywana obłuda godna jest okłamujących.

— Ależ państwo naprawdę brząkacie w dzwonek flirtu! — zauważyła Janka, siedząca cały czas w milczeniu, bo napróżno chciała wziąć udział w rozmowie, nie mogła słowa wydusić z siebie.

— A czy niedość wprawnie to robimy? — zapytał, nie patrząc na nią.

Zaśmiała się jakoś przymuszenie.

— Co do pana, to tak, i gdyby były medale za mistrzostwo w tej specjalności, sądzę, że należałby się panu — powiedziała dosyć cierpko, powstając. Gniewał ją dzisiaj jego ton lekko cyniczny, a zresztą czuła w sobie jakiś strach, głuchą obawę przed tem, co nastąpić miało.

— Co on mi powie? — pytała i tysiące myśli cisnęło się do jej duszy. Prawie wiedziała, co jej powie i ta pewność przenikała ją dreszczem dziwnej, nigdy nieodczuwanej rozkoszy.

— Niestety, ale we flircie, jak i we wszystkim, jestem tylko dyletantem — odpowiedział.

Nie odpowiedziała i poszła do jadalni, gdzie już Janowa z Bartkiem nakrywali do stołu. Przechodząc obok okien, spostrzegła przez nie ojca, siedzącego na werandzie.

— Janowa! Bartek! Ojciec na taki deszcz i zimno na werandzie!

I pomogła im sprowadzić Orłowskiego, który, zapomniany w swoich opłótkach, przywłókł się na werandę i tam siedział skulony i przemoczony zupełnie.

— A któż to o nim będzie pamiętać, he? kiej jaśnie pani córka nima czasu, bo ino na spacerach i wesamblach — szepnął stary i tak się zatoczył na stół, że kilka talerzy z brzękiem spadło na podłogę.

— To moja rzecz, ale ojciec tak się upił, że nie wiem, jak się ojciec śmie pokazywać; są przecież obcy ludzie, to wstyd doprawdy.

— Co mi to obce, dziedzic tu jezdem i pan, a komu się to nie widzi, to pszo! jak Boga tego kocham. — Matka! — ryknął, grzmocąc pięścią w stół, ale matki nie było, stała tylko Janka, dygocąca ze złości.

— Zaraz zawołam mamy, to możeby kazała zaprowadzić ojca pod studnię, żeby trochę wytrzeźwiał.

— Pod studnie! mnie... kiej swyniaka! A, jak Boga tego kocham, kuniec świata! mnie, dziedzica, pod studnie, a ścierwo sobacze... pszo!... Matka!

Nie słuchała, poszła powiedzieć Andrzejowi, który zaraz kazał go wziąć i zanieść do oficyny.

Janka zapraszała wszystkich na kolację i tak się jakoś stało, że szła ostatnia z Witowskim. Nie mówili do siebie, ale na środku długiego, prawie ciemnego pokoju, przez który przechodzili, Witowski ujął jej rękę i szepnął:

— Przyjdę pod pani okno od ogrodu, musi mnie pani wysłuchać, musi... — szepnął twardo i nakazująco, puścił jej rękę i złączył się z towarzystwem, a ona stała chwilę nieprzytomna i ogłuszona.

— Janiu! — Andrzej zawołał, wchodząc drugimi drzwiami i widział, że Witowski mówił z nią, słyszał nawet dźwięki jego szeptu, tylko nie mógł ich zlepić w słowo, w treść jakąś. Podejrzanie dziwnie oślepiające zalało mu duszę.

— Chodź na kolację! — szepnęła cicho i przez cały czas kolacji poruszała się jak senna, patrzyła, nie widząc, słuchała, nie słysząc, rozmawiała, nie rozumiejąc słów własnych. Śmiała się z byle czego, to chwilami zapadała w jakieś posępne zamyślenie, z którego ją budziły oczy Witowskiego, uporczywie patrzące; oczy dziwnie rozszerzone i tak świecące i tak ogromne, że chwilami spoglądała w nie, jakby w jakąś przepaść, która ją ciągnęła swoją głębią i te skrzące płomienne spojrzenia rozpały w jej sercu żar potężny, przepalały ją nawskróś i tak obezsiły, że chwilami siedziała zupełnie zahipnotyzowana, gotowa na każde skinienie, wpatrzona w nie z pokorą i poddaniem się zupełnym.

Kiedy się skończyła kolacja i wszyscy rozchodzili się spać, Witowski, odjeżdżając, tak spojrział na nią i ścisnął jej rękę, że oprzytomniała zupełnie. Chciała mu powiedzieć, żeby nie przychodził, chciała go błagać o to, bo wszystko się w niej zatrzęsło ze strachu; ale nie można było nic mówić. Andrzej zimno patrzył na nich, Wolińscy stali także i każde słowo, każde nawet poruszenie byłoby zauważone. Patrzyła na niego z przerażeniem i rozpaczą, nie zwrócił na to uwagi i odjechał. A ona długo siedziała u Heleny, sama rozbierała dzieci i kładła je na posłanie, otulała z dziwną troskliwością, przeciągała rozmowę do nieskończoności, byle dłużej być z ludźmi, byle później pójść do swojego pokoju. Chodziła jak błędna, czepiała się najbłahszych pozorów pozostawiania, aż wreszcie, widząc, że Helena zasypia ze znużenia, szła do siebie.

— Czy spuścili roletę? czy?... — myślała ciężko i teraz, w tej chwili, czepiała się tej myśli, zawisała na niej całym życiem. Stanęła pode drzwiami, bo bała się wejść, bo już stąd zdawało się jej, że widzi za szybami twarz Witowskiego, że słyszy jego głos. Omdlewała z dziwnego uczucia, wszystko w niej pożądało go i wszystko w niej protestowało przeciwko temu widzeniu.

Wreszcie, zbierając siły, weszła.

Okno nie było zasłonięte. Krzyknęła z przerażenia i długo patrzyła w czarną zadeszczoną noc, przeglądającą szybami. Lampa paliła się na stole, w pokoju była cisza zupełna, biały futrzany dywan tłumiał zupełnie kroki. Przebiegła gorączkowo oczyma pokój, oglądała po tysiąc razy te jasnobłękitne meble, wielkie łóżko pod kotarami z błękitnego

aksamitu, tysiączne drobnostki, poustawiane na biurku i tualecie, i zawsze wkońcu oczy tonęły z jakąś bolesną ulgą w tem oknie, jakby w jakiejś strasznej ranie ściany.

Była taka straszna cisza, że słyszała skwierczenie knotów świec, zapalonych przed tualeką, szum drzew w parku i chlupot wody, rozbijającej się o brzegi jeziora i monotony, okropny szelest deszczu, padającego bezustannie, i te wszystkie smutne, rozbite na atomy głosy dnia, co się tłukły ostatnimi echemi po parku. Tysiąc razy zrywała się w sobie, aby iść i zasłonić okno — i nie mogła, bała się ruszyć z kanapki i nie umiała zdać sobie sprawy z niczego, ani z tego, co się z nią dzieje, ani z tego, co się stać miało. Czuła tylko, że ją porwał jakiś wir straszny, z którego nie miała sił się wydobyć.

Zadrżała, bo doszedł ją słaby, w normalnym stanie mózgu niedosłyszalny chrzęst żwiru i odgłos stąpań. Słyszała dobrze, tak strasznie dobrze, że każdy ten krok odbijał się echem okropnym w jej mózgu; zerwała się i, nie wiedząc co robi, zadzwoniła gwałtownie. Oprzytomnił ją ten dźwięk; byłaby pół życia dała, żeby stłumić te dźwięki, huczące w ciszy.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytał Andrzej, wchodząc.

— A... a... to... nie, nie, nie mogę spać — wykrztusiła z trudem i zadygotała, bo odgłos kroków był coraz bliższy; patrzyła się to w okno, to na męża, z niedającym się określić przerażeniem i bólem.

— Co ci jest, dziecko, wyglądasz tak dziwnie? — zapytał miękko i jego dobre serce zwyciężyło, zapomniał o podejrzeniach, o męce, jaką przechodził do tej chwili; porwany jej stanem dziwnym, przysiadł się do niej, ujął jej zimne ręce i zaczął okrywać pocałunkami.

— Co ci jest, dziecko moje, co ci jest, Janiu! — I mówił długo, przygarniał ją do siebie, całował jej oczy i usta, przytulał jak dziecko chore, a ona przyjmowała te pieszczoty, nie wiedząc o nich, wpatrzona w okno i wsłuchana w te coraz bliższe kroki.

— A!.. — krzyknęła, wrywając mu się z objęć: cień Witowskiego przemknął po szybach i przepadł w nocy.

— Zobaczyłaś kogo w oknie? — zapytał, idąc za kierunkiem jej szeroko z przerażeniem otwartych źrenic.

— Nie, zdawało mi się tylko... nie, doprawdy tak jestem strasznie zdenerwowana.

— Przysłonię okno! mówię zawsze, żeby zamykano okiennice. — I podniósł się.

— Ja zasłonię! — zawołała, bo przemknęła jej myśl, że on, spuszczać roletę, może zobaczyć tamtego. Skoczyła śpiesznie i zapuściła, ale roleta nad samym parapetem zatrzymała się nieco na wazonach z kwiatami, tak, że od dołu została szeroka szpara przez całą szerokość okna, którą z zewnątrz można było doskonale widzieć, co się dzieje w pokoju.

Usiadła zpowrotem przy nim, a on z tą samą serdecznością mówił:

— Tak chciałem przyjść do ciebie, tak mi bardzo było potrzeba widzieć cię samą, tak bardzo się męczę... widzisz, chciałem cię szczerze zapytać...

— O co? — pytała cicho, tak cicho, jakby nie chcąc, aby jej głos mógł być słyszany przez okno.

— Ale mi daruj, przebac moją podejrzliwość, ale już dłużej nie mogę wytrzymać. Ja potrzebuję sił, a to mnie zamęcza, nie daje spać, nie pozwala myśleć o niczem... tylko mi przebac, moja droga, moja najdroższa!

— Ale co?

— Powiedz, komu posyłałaś pieniądze! — powiedział prędko, obejmując ją i chowając twarz na jej piersiach.

— Zaleskiej — odpowiedziała prosto. — Nie chciałam ci mówić, bo myślałam, że byłbyś się gniewał, miałam ci później powiedzieć.

— Ach, to idjota ze mnie! Przebac mi, przebac!

Nie odpowiedziała, bo całe swoje jestestwo skupiła w wyczuwaniu. Nie słyszała nic, ale czuła, że Witowski jest pod oknem; zdawało się jej, że tą szparą z pod rolety patrzą na nich jego oczy. Odsunęła bezwiednie męża i chciała się podnieść, ale pozostała, bo nie miała sił powstać, bo zresztą nie wiedziała, co robić, spoglądała na męża, to na okno i czekała, ze śmiercią prawie w duszy, na to, co się stanie. Andrzej, nic nie przeczuwając, uszczęśliwiony odpowiedzią, która mu kamień zdjęła z serca, zaczął ją pożerać pocałunkami.

— Jakaś ty dobra! jaka pocziwa, jak ja cię kocham.

— Nie, nie — wydzierała mu się już z ramion, bo była tak bezprzytomna, iż zdawało się jej, że to tamten siedzi przy niej, że to tamtego głos, tamtego pocałunki, tamtego palące

oczy i wtedy przyciskała się do męża, zarzucała mu ręce na szyję i wpijała się spragnionemi ustami w jego usta i całowała, całowała...

— Kochasz mnie? — pytał cicho, coraz ciszej.

— Kocham! Kocham!.. — odpowiedziała dyszącym namiętnością głosem i miała ochotę rzucić się na kolana i tarzać się przed nim w prochu i wtedy serce biło jej tak silnie, a dusza nabrzmiewała taką radością ogromnego kochania, że twarz jej promieniała szczęściem nieopowiedzianem, upojeniem, szalem prawie.

Coś się poruszyło za oknem, szyba zadźwięczała dosyć głośno, wiatr zatargał silniej drzewami i szumiał głucho, trząsł, uderzał w ściany, wył w kominach, prześwistywał pomiędzy nagimi konarami.

Wyrwała mu się z objęć, stanęła na środku pokoju i przerażona, wstrząśnięta, patrzyła się na męża, nie mogąc zrozumieć, skąd się wziął. Oglądała się po pokoju — nie było nikogo więcej.

Wtedy zrozumiała wszystko. Patrzyła długo na niego tak dziwnie, tak jakoś żałośnie-litośnie, że się poruszył niespokojnie. Usiadła i taka ją niemoc schwyciła i takie straszne rozżalenie, że wybuchnęła płaczem, długim, strasznym płaczem zawodu i żalu.

Zaniósł ją na łóżko, rozebrał, mówił do niej najczulszemi słowami, całował po nogach, ale płakać nie przestawała, a on uspokajał ją jak mógł i umiał i gdy wkońcu przycichła, że tylko od czasu do czasu łkanie wstrząsało jej piersiami, zaczął prosić bardzo pokornie.

— Dobrze! — szepnęła apatycznie i ostatnie łzy, jakby pogrzebowe łzy marzeń wszystkich popłynęły strumieniem z jej oczu.

XXV

Całe dwa miesiące Witowski się nie pokazywał w Krosnowie, dopiero trzeciego przysłał list, adresowany do Janki.

Otworzyła z jakąś smutną ciekawością, jakby list był pisany przez kogoś, kto umarł dawno, tak dawno, że już rysy jego zatarły się prawie w pamięci.

List zawierał kilkanaście wierszy i był bez nagłówka i daty.

„Dlaczego nie chciała mnie pani wysłuchać? Dlaczego nie oszczędziła mi pani widoku małżeńskich pieszczot. Kochałem panią o tyle, o ile dzisiaj nienawidzę, a nienawidzę tak, jak Kocham — bezgranicznie. Nie zebrzę tym listem litości, nie; chcę tylko przesłać pożegnanie, bo jutro wyjeżdżam i chcę rzucić ostatnie: dlaczego? Widzi pani, że nawet nie ironizuję, nie mam sił, dusza mi odpada kawałami, niby znoszony łachman. Kochałem panią od pierwszego dnia poznania i Kocham panią całą nienawiścią. Zabiłbym panią tylko dlatego, żeby samemu umrzeć. Nie moglibyśmy nigdy być szczęśliwymi, ale mogliśmy próbować zostać nimi; dlaczego pani nie chciała? Złękłaś się jak gołąb jastrzębia? Tak, ja byłbym ci zabił duszę, wyssał ją i zaprzepścił w sobie, albo sam zginął w tobie. Pożeralibyśmy się, alebyśmy żyli, gdy tymczasem zgnijemy: pani w małżeństwie ubłogosławionem obficie, a ja na śmietniku dusz samotnych. Nie jestem tak szlachetnym, aby pani szczerze życzyć szczęścia, nie, nie mogę... Nie żegnaj i nie mówię do widzenia! tylko zapytuję: dlaczego? Nie czekam nawet na odpowiedź. Nie czekam na nic. Rozbiegły się nasze drogi i nie zejdą nigdy!.. nigdy!!!...”

Czytała po kilka razy ten list, a potem zatopiła się w długim rozpamiętywaniu bolesnym i gdy się obudziła z niego, była zupełnie spokojna i zrezygnowana, czuła tylko potrzebę odpowiedzi, napisania kilku słów; ale napróżno napisała i podarła kilka arkusików papieru, nic jej nie zadawało; wreszcie przypomniał się jej ten wiersz Langego, który kiedyś tak długo tkwił w jej pamięci. Znalazła książkę, wydarła z niej kartkę i, nim ją włożyła do koperty, raz jeszcze przeczytała:

My się nie możemy kochać, jak gołębie,
Dwie nasze dusze są jak dwie otchłanie,
Co wzajem patrzą w swe bezdenne głębie —
I nigdy wzrok ich u kresu nie stanie.

— Tak, my się nie możemy kochać! — powtórzyła — nie możemy.

Nie czuła już nic z tej burzy, co przeszła przez jej serce, prócz żalu i smutku, jaki przysłonił jej oczy zadumą. Zgodziła się już na życie takie, jakim było, bo nie miała sił

wywalczyć sobie takiego, jakiego pragnęła, bo zresztą nie wiedziała, czego pragnie. Wypaliło się w niej wszystko, zagasło i poszarzało, jak te szmaty pól, na które teraz patrzyła oknem, przyprószone śniegiem, przez który czerniały grzbiety zagonów, wypłókane deszczami; jak te smutne, nagie drzewa parku, co niby szkielety, poobdzierane przez wichry, tłukły się o siebie i bełkotały drżącą, lodowatą pieśń zimy; jak to szare, nisko wiszące niebo, co niby brudna ścierka zwieszało się ciężko nad ziemią.

Zbudziła się z rozmarzenia i zadzwoniła.

— Bartek! Zawołaj mi zaraz Walka, pójdzie do Witowa, tylko prędko.

W kilka minut był już Walek, ale stał przy drzwiach i drapał się po głowie.

— Odniesiesz ten list do Witowa i oddasz panu, idź zaraz.

— A kiej ja mam jechać ze starszym panem i już kazali zakładać konie.

— Pójdiesz do Witowa i to natychmiast, słyszysz?

— Ano juści, kiej rozkaz to i posłuchanie, a co starszy pan me spierze po pysku, to spierze. — Zabrał list i wyniósł się.

Wkrótce wpadł stary i zaraz od progu zaczął krzyczeć, był pijany zupełnie, bo od pewnego czasu był pijany ciągle.

— Co to za rządy! Walek jedzie ze mną.

— Gdzie? do karczmy! Nie spóźni się tam ojciec, jak pojedzie przed wieczorem, tymczasem zdąży przyjść z Witowa.

— Do karczmy, czy nie do karczmy, to od tego wara, ja tu każe, bo ja tu dziedzic, jak Boga tego kocham!

— Niech ojciec nie krzyczy, bo się nie złąknę i niech ojciec wróci do przedpokoju i oczyści sobie buty ze śniegu, bo szkoda dywanu.

— Ale, jak chcę, to chodzić po dywanie będę, bo ja tu jezdem dziedzic, ja tu jaśnie pan, to moje wszystko!.. — krzyczał coraz głośniej.

— Nie jest ojciec żaden jaśnie pan, tylko zwyczajny cham i parobek, a nawet i tacy jeszczeby więcej po ludzku się zachowywali.

Powiedziała pogardliwie i wyszła.

— Pszo!.. jak Boga tego kocham, pszo!.. — wykrzyknął po chwili. — Ja cham, ja parobek! Dziedzic psia ścirwo jezdem, osim folwarków mam, jaśnie pon jezdem — krzyczał rozwścieklony. — Dywany ci psuje, czekoj!

Wybiegł w podwórze, skoczył w gnojówkę aż po kolana, umazał buty w śniegu i poszedł, rzucił się na wykwintną kanapkę, obita perłowym jedwabiem, wytarł o nią nogi, a potem tarzał się po jasnym dywanie, zostawiając wszędzie olbrzymie i obrzydliwe plamy.

— A masz grefinio, masz chama, masz parobka, teraz se ugaszczaj swoich szlachciców. — Kopnął jakieś krzesło, plunął w lustro, obok którego przechodził, bo ujrzał w niem czerwonosiną, obrzękłą twarz swoją i poszedł w podwórze.

— Grefinia! Ja cham, ja? Cham jesteś jaśnie Pietrze dziedzicu, cham i parobek! A ścirwo, bo dam w pysk! Cham jesteś! — powtarzał z uporem pijackim. — Ja! cham, ja! Nie szczekoj, bo ubije jak psa marnego! — Chwyił się za głowę i uderzył nią w ścianę stodoły. — To mnie chamem nazywać! Wygonię, pszo!.. jak Boga tego kocham pszo! wszyscy... — Był tak pijany, że się przewrócił pod stodołami, przynieśli go do domu i ciepła pierzyna tak go rozmarzyła, że napół senny gadał:

— Janucho! jaśnie synowo, a toć jezdem twojego Jędrusia ociec, a toć uszanuj. Cicho stara, cicho! ino kulasy zbierze, to zaraz pójde przeprosić — odpowiadał starej, która nad nim kilka godzin wykrzykiwała. — Cicho stara, cicho... niech tylko ma chłopaka, to już me może prać i po pysku i pary nie puszcze, jak Boga tego kocham.

*

W półtora roku później, w cudowny zmierzch majowy, siedziało całe towarzystwo na werandzie Krosnowskiego dworu.

Wieczór szedł cichy z pól zielonych i rozwieszał nad ziemią, pokrytą młodą zielenią, nad drzewami kwitnącymi po sadach, subtelną oponę szarawego fioletu. Słońce zaszło, tylko ostatnie zorze rozlewały się długimi pasmami złota i purpury po szybie jeziorka. W gąszczach kwitnących bzów, podobnych do ognisk płonących fioletem, ozwały się chóry drozdów i słowików. Powietrze przesycone było zapachami wiosny.

— Cudowny czas! — ozwała się pierwsza Janka i przechyliła się przez balustradę do niańki, niosącej rocznego chłopaka, który z piąstkami w oczach, z buzią otwartą, spał jej na rękę. — Łusia, chodź prędzej, bo dla dziecka za zimno — i z wielką macierzyńską troskliwością patrzyła się w oczy jedynaka, a gdy służąca przechodziła obok niej, pocałowała dziecko w białą nóżkę, wysuwającą się z pod czerwonej sukienki.

— To jest widzę ogromnie kochane przez panią! — szepnął Głogowski, który od kilku dni bawił w Krosnowie i dzisiaj szykował się do wyjazdu.

— Tak, to, jak pan nazywa, jest istotnie bardzo kochane, ale bo czy nie piękne?

— Zachwycający robak! — zawołał Staś Babiński, teraz już zawiadowca stacji Bukowiec i przesłał od ust pocałunek w stronę dziecka.

— I ogromnie mądry! — dodała jego żona, zazdrośnie śledząca dziecko.

— Nadzwyczajnie! Cudowne dziecko, samo już dłubie w nosku i samo pakuje sobie nogę do buzi! Niech zdechnę, ale to przesada — zawołał Głogowski, zwichrzył mocno przerzedzone włosy, rzucił cygaro w klomb rozkwitłych tulipanów, podniósł się i zaczął drobniemi, niecierpliwemi krokami przebiegać werandę.

— Bartek, czy konie już są?

— Gdzie się panu tak śpieszy, czemu pan nie może zostać z nami?

— Dokąd? i poco?

— Dokąd pan zechcesz, załóż pan u nas pracownię, osiadź, nikt cię nie będzie krępował i w niczem, doczekaj się pan, aż mój chłopiec będzie potrzebował nauczyciela.

— A ja tymczasem zidjocieję, dziękuję. Muszę jechać.

— Teraz ja spytam: dokąd i poco?

Odpowiedział dopiero wtedy, gdy Babińscy odjechali. Stanął przed nią, przypatrywał się jej chwilę, zwichrzył włosy i powiedział cicho:

— I ja nie wiem poco i nie wiem dokąd! W świat, przed siebie na dalszą tułaczkę. A jednak od kilku dni, jak tu jestem, patrzę na panią, słucham i ciągle się pytam, gdzie jest dawna panna Janina? Ja pani takiej, jaka stoisz przede mną, nie znam; niedość, ja takiej nie chcę: Co pani zrobiła ze swoją duszą? — zapytał prawie ostro i jakiś ból świecił mu w szarych oczach, gdy się przypatrywał tej wysokiej, wspaniale rozwijającej się figurze Janki; zaglądał w jej oczy spokojnie patrzące, śledził twarz piękną jakąś pięknnością kończącej się wiosny, obmacywał jej duszę, wsluchiwał się w dźwięki jej słów i napróżno — dawnej Janki nie było, bo dawna Janka umarła, stała przed nim inna zupełnie kobieta. — Co pani zrobiła ze swoją duszą? — zapytał ciszej jeszcze.

— Spytaj się pan o to życia.

— Sfilistrzała pani do szpiku.

— Frazes — szepnęła, urażona nieco.

— Frazes, frazes! Wszystko jest frazesem i wszystko nim nie jest. Ale jestże pani przynajmniej szczęśliwą?

— Jestem zupełnie spokojną.

— A tu... — wskazał na piersi i głowę — nic się już nie pragnie, nic się już nie marzy, wszystko wygasło pod popiołem filisterstwa, wszystko zapomniane.

— Nie, panie Głogowski, wszystko, co potrzebne mi w obecnym życiu, jest i pozostanie, bo to wszystko...

— Nie kończ pani, na Boga, nie pokazuj mi pani tego zwykłego chlewika duszy gospodarskiej i obywatelskiej.

— Pan mnie obraża!

— A pani mnie zabija! Wie pani, siedziałem w Paryżu, tłukłem się po świecie, robiłem coś, tworzyłem, myślałem i miałem w dniach znużenia tę jedną pociechę, gdym myślał o pani. Kochałem pani duszę, czepiałem się nieraz jej własną duszą, czerpałem z niej nieraz siłę, bo czułem wtedy, że nie jestem tak strasznie samotny na świecie, tak zupełnie wyodrębniony z życia, które się toczy dookoła mnie. Przyjechałem i poco? aby zobaczyć panią w glorii rodzinnego, zapasonego szczęścia! Obcą mi, tak obcą, jak ten Bartek, jak pani mąż, jak reszta świata! Ja pani nie znam!

— Konie czekają! — zameldował Bartek, stając we drzwiach.

— Dobrze, jadę natychmiast. Żegnaj.

— Więc nie zostanie pan?

— Nie, co jabym tu robił? nie mogę patrzeć na trupy, które znalazłem i kochałem. Żegnaj panią.

— Do widzenia, a nie zapominaj, że tutaj są zawsze życzliwi i nie potępiaj pan nas, a mnie w szczególności. Tak jak żyję, żyć muszę, bo inaczej nie umiałam. Przekona się pan sam, że to nie zbrodnia takie życie, lecz tylko obowiązek mój społeczny.

— Żegnaj panią! — Uścisnął jej ręce, spojrzął po raz ostatni na jej twarz spokojną, zimną, wystygłą, pogodzoną zupełnie z losem, twarz, na której nie było już i śladów dawnych marzeń i wzlotów ducha, zwykłą twarz dobrej matki, żony i kobiety świadomej życia i celów jego, pochylił głowę i wyszedł.

Patrzyła za nim chwilę, żal jej było, że odchodzi, ale wydał się jej dziwnym, histerykiem o przedrażnionej i przesubtelnionej duszy, niezbyt nawet przyjemnym, bo drażnił ją rozmową i przypominał sobą czasy, o których chciała zapomnieć zupełnie; a potem zwróciła oczy na park tonący w zmierzchu, na ojca spacerującego jeszcze pomiędzy opłotkami, na te głębokie ciche przestrzenie nieba, z których wykwiwały gwiazdy, niby kwiaty, i cofnęła się do jadalnego pokoju, bo wszedł Andrzej.

— Żono, kolację, bom głodny jak wilk! — wykrzyknął, całując ją głośno w usta — a gdzież ten „Fliegender literat”? — zapytał, nie zobaczywszy Głogowskiego.

— „Fliegender literat” odleciał.

— I nie chciał pozostać?

— Nie. Prosiłam, nic nie pomogło, uparł się i pojechał.

— To nic, obejdziemy się bez niego, nudna pała. Łusia, a dajno tu synka — krzyknął na dziewczynę do drugiego pokoju.

Przyniesiono chłopca i wkrótce oboje rodzice, starzy Grzesikiewiczowie, niania, a nawet Janowa, szykująca do herbaty, zaczęli przyglądać się z niesłychaną ciekawością i uniesieniem dziecku, które, rozbawione, wesołe, tarzało się po wielkiej otomanie, ciągnęło ojca za wąsy, włożyło Jance na głowę, spadało i wybuchało śmiechem i piskiem dziecięcym.

A „Fliegender literat” jechał tymczasem do stacji.

Noc się roztaczała nad ziemią, noc pełna wiosny i czaru, pełna zapachów pól, pełna głosów przyrody potężnej, zmartwychwstającej, pełna śpiewów ptaków, chórów żab, chrzęstu drzew, pełna białych kwiatów na gruszach, siedzących po miedzach. Wsie stały ciche, pokryte całe wiśniowemi sadami, które, niby fale kwiatów blad różowych, drżały i dyszały wonią i radością. Siedział, kuląc się coraz bardziej, i z coraz większą nienawiścią spoglądał dookoła; jakiś wąż oplatał mu duszę i ssał ją okropnie, wąż żalu, osamotnienia i obcości.

Czuł się tak strasznie samotnym i pokrzywdzonym, tak mu duszę żarła niewypowiedziana żalność i ból zawodu, że skrzył się prawie we dwoje na siedzeniu, trząsł się cały i syczącym, pełnym nienawiści i cierpienia głosem zawołał:

— Psiakrew!.. Trzoda filisterska!.. Świnie!.. — i splunął z taką pogardą i nienawiścią, jakby pluł w twarz całej ludzkości, całej przyrodzie.

Wolbórka 1896 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/fermenty-tom-drugi/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, *Fermenty*, tom II, nakł. Gebthner i Wolff, druk Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem Aleksandra Kopec. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0795-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).